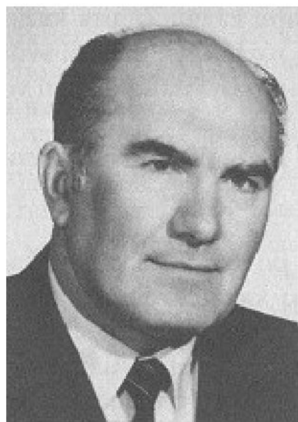
Vlastimil Pospísil

Powrót do domu ojców







O autorze...

Vlastimir Pospiszyl urodził się 26 grudnia 1931 roku we wsi Sikawica-Faustynów k/Zelowa w Polsce. Rodzice Pavel Emil Pospíšil i Matylda, z/d Němcová, byli potomkami czeskich wychodźców, emigrantów religijnych z XVIII wieku oraz członkami zelowskiego zboru Kościoła Ewangelicko-Reformowanego. Mieli dwójkę dzieci: Vlastimila i Josefę (1933). Zarabiali na życie jako tkacze i rolnicy. Druga wojna światowa negatywnie wpłynęła na możliwości edukacyjne Vlastimila. Gdy tylko zaczął chodzić do szkoły, Niemcy na cały okres wojny zamknęli wszelkiego rodzaju szkoły dla dzieci czeskich i polskich, więc rodzice zmuszeni byli sami uczyć dzieci. Kiedy wojna się skończyła, Vlastimil poszedł do polskiej szkoły, ale w tym samym roku wielu Czechów z Polski, w tym Pospíšilowie, przeniosło się do ojczyzny swoich przodków, Republiki Czechosłowackiej. Po przybyciu skierowano ich do Kraju Sudetów, i Pospíšilowie osiedlili się w Albeřicach w Žluticku. Rodzice starali się, aby oboje dzieci uzupełnili luki w edukacji szkolnej, dlatego po ukończeniu szkoły podstawowej Vlastimil przez dwa lata uczęszczał do szkoły rolniczej, a następnie do jedenastolatki. Maturę zdał w 1958 roku, potem studiował teologię na Wydziale Ewangelickim im. J.A. Komeńskiego. Wcześniej, w 1949 roku został członkiem czeskiego Kościoła Chrześcijan Baptystów. Starał się o przyjęcie na studia na Ewangelickim Wydziale Teologicznym w Pradze, ale nie został przyjęty. Dopiero gdy sytuacja polityczna nieco się poprawiła, został przyjęty na wydział w 1957 roku jako jedyny kandydat. Studia na tym wydziale ukończył w 1962 roku. W tym samym roku został powołany na kaznodzieję w Miłosławowie koło Bratysławy i wyświęcony do posługi kapłańskiej.

Po rewolucji listopadowej (1990-1993) został ostatnim przewodniczącym Bratniej Jedności Baptystów w Czechosłowacji. W 1991 roku został wybrany wiceprzewodniczącym Ekumenicznej Rady Kościołów w Czechosłowacji. Brał udział w pracy dot. Przygotowaniu Historii Kościołów Baptystycznych w Czechach i na Słowacji, „Nosili światło Ewangelii" i „100 lat życia wiary". Opublikował także trzy zbiory wierszy – „Kwiaty wiary" (1993), „Pasja" (1994), „Kwiaty nadziei" (1995). Nadal pracuje nad Historią Baptystów w Czechach. W 2001 roku wydał prozę o tematyce biblijnej „Rachel", w 2003 roku wydał książkę z okazji 200. rocznicy założenia „Homecoming". Był członkiem (1994-1995) Komisji ds. Stosunków Ekumenicznych. Jest zastępcą redaktora naczelnego czasopisma „Rozsévač". W tym periodyku publikuje artykuły na różne tematy, głównie historyczne. Od 2003 roku jest członkiem Komisji Służby Duchowej. Vlastimil Pospíšil wycofał się z aktywnej działalności zborowej w 1996 roku i w tym samym roku poślubił Vlastę Švejdovą, członkinię brneńskiego zboru. W Brnie pracował w Jednocie Kostnickiej jako przewodniczący związku lokalnego i przez trzy kadencje był członkiem Komitetu Centralnego Jednoty Kostnickiej w Pradze.

W 1984 roku otrzymał honorowe obywatelstwo miasta Temple w Stanie Teksas, USA.





Ilustracja: Vlasta Švejdová

Vlastimir Pospisil

Powrót do domu ojców

Tłumaczenie czeskiego oryginału

pt.: "NÁVRAT DOMŮ"

Jerzy Swoboda



Wydawnictwo im. Jakuba Szeli

Clit, 4 Stradă Livezii

Arbore - Romana



Wszystkie imiona i nazwiska bohaterów niniejszej książki, celowo zostały zapisane zgodnie z pisownią w języku czeskim. Wyjątek stanowią osoby narodowości polskiej i niemieckiej, ktorych dane zapisano w ich językach. Nazwy miejscowości w Czechach z wyjątkiem stolicy Pragi, zapisano wg. tej samej reguły.



Jerzy Swoboda - tłumacz przysięgły języka czeskiego.

Wracam wspomnieniami do miejsc, w których doświadczałem rzeczy, których nie chciałabym już nigdy więcej doświadczyć i nie życzę nikomu ich doznawać. Nie byłem w tym sam. Nie chcę zapomnieć tego, co było piękne, ale chcę zapomnieć to, do czego nie chciałbym nigdy wrócić w żadnej formie. Nie chcę tego pamiętać, ale mój umysł się temu przeciwstawia i jest silniejszy niż moja wola.
Z reguły powracamy wspomnieniami do miejsc, w których czuliśmy się dobrze lub przeżyliśmy coś niezwykłego. Ale czy w dzieciństwie mogliśmy doświadczyć czegoś niezwykłego? A tak,mogliśmy. I tam właśnie idą moje wspomnienia. Nawet nasze dziecięce marzenia mogą się spełnić. Miejsca, do których wracam wspomnieniami to Faustynów, Zelów i okolice. Osobą, która z mojego dzieciństwa najlepiej pamiętała swoją przeszłość, była moja babcia Anna Pospisilova. Być może wśród tych wspomnień znalazły się także jej sny, które na starość przedstawiała jako coś, czego doświadczyła w dzieciństwie. Czy nie mogłoby to znaleźć odzwierciedlenia także w moich wspomnieniach?

Nie było takiego stulecia, w którym ludzie by tego nie robili - nie uciekali do innych regionów, krajów przed głodem, przed prześladowaniami rasowymi, religijnymi. Opuszczali swoje domy, posiadłości skromne i duże, krewnych, miejsca pracy, własną ojczyznę, tylko po to, by ratować życie, ale także wyznanie wiary, swoje przekonania polityczne. Byli zdeterminowani, wędrując po okolicznych terenach, gdzie szukali schronienia i możliwość normalnej egzystencji. Tak to kiedyś wyglądało w przypadku członków Jednoty Braterskiej w XVII i XVIII wieku.
Jeszcze w ubiegłym stuleciu (wieku XIX) członkowie Jednoty odeszli za granicę, szczególnie do polskiego Leszna (wówczas na terenie Królestwa Prus), ale także gdzie indziej, dalej...

Gdy opuszczali ojczyznę, liczyli więcej niż z nadzieją, że kiedyś powrócą lub przynajmniej wróci ich następne pokolenie, gdy minie burza gniewu, która spowodowała ich wyjazd, daleko i na długi czas poza swoją ojczyznę. Ale czas biegł, a szansa na powrót malała lub znikała na zawsze, aż po wielu dziesięcioleciach, powrót wydawał się już niemożliwy. Gdzie rzeka zapomnienia odpędziła gniew tubylców i znaleźli wśród nich trochę zrozumienia, kupili ich szacunek swoją uczciwością, pobożnością, wiarą. Wycięli lasy, budowali duże domy i małe chaty, nawet ziemianki, budowali fabryki, warsztaty, sklepy, piekarnie - zajmowali się różnymi interesami, ale najwięcej z nich uprawiało pola na dobrej i gorszej roli. Kiedy możliwa stała się także sposobność prowadzenia działalności tkackiej, w obfitości uruchamiali kolejne warsztaty, ręczne krosna przywiezione z ojczystej ziemi. Do swoich małych skrawków roli, lasów, łąk, dokupowali więcej, jeśli to możliwe, więcej mórg gruntu. Założyli cmentarze, żeby mieć gdzie pochować swoich zmarłych, budowali kościoły, aby służyć Panu Bogu. Pożegnali ukochaną ojczyznę, z której wyjść w świat musieli... Pomału kolejni potomkowie wychodźców, zapominali o miejscach, z których przybyli ich ojcowie i dziadkowie. Co z tego, że im po przodkach największa fortuna pozostała - Biblia Kralicka (pol. Królewska). Wieczorami, po nakarmieniu bydła, przy świecach i lampach, czytali wspólnie w rodzinie, Pismo Święte. Ich pieśni ze śpiewnika, odbijały się echem poza ścianami ich domów. Podczas czytania Pisma Świętego i pokrzepiania braterskiego ducha swoimi piosenkami, często zapominali o swoim trudnym losie imigranta za granicą. A początkowo obcy kraj stawał się dla nich nowym domem. Tutaj mieli dzieci, które znały ojczyznę swoich matek i ojców, dziadków i babć, już tylko z ich opowieści.
Ale nawet obce kraje, na które patrzyli z pewnymi nadziejami, nie zawsze były dla nich wystarczająco sprzyjające. Wiedzieli jednak, że na tej ziemi są tylko imigrantami i gośćmi. Musieli pożegnać się ze swoją, braterską Jednotą. Jeśli chcieli dalej żyć duchowo, musieli przyłączyć się do istniejącego kościoła protestanckiego, luterańskiego lub do ewangelicko-reformowanego, optowali zazwyczaj za drugą opcją. Bliższa im była pobożność i teologia Kościoła Reformowanego. I tak zbór czeskich uchodźców z późniejszego Zelowa został zborem ewangelicko-reformowanym.
Czesi ze Śląska szukali innych miejsc, w których mogliby się osiedlić, gdyż na Śląsku nie było dla nich miejsca na założenie nowych osad, a nawet do postawienia nowych domów.

Kiedy dowiedzieli się, że pod Łaskiem jest duża posiadłość, którą mogą kupić, wyrazili zainteresowanie. Kupili i tak zaczęła się historia czeskiego Zelowa.
Niedługo po tym, jak w Zelowie zaczęło się rozwijać czeskie osadnictwo, przybyło tu więcej Ślązaków, którzy kupowali działki pod Zelowem. Stopniowo powstawały wsie: Ignaców, Józefatów, Pożdżenice, Kuców, Faustynów i inne.

Latem roku pańskiego 1841, dowiedzieli się Czesi w Zelowie o zamiarze sprzedaży majątku hrabiny Faustyny w Woli Pszczółeckiej. Zelowianie wysłali do niej negocjatorów, aby dowiedzieli się o warunkach zakupu. Wkrótce potem zawarli i podpisali umowę, kupując gospodarstwo. Założoną na tym terenie wieś nazwali imieniem Faustynów, od Faustyny, pierwotnej właścicielki majątku.

Negocjatorzy odkryli, że na sprzedaż jest duży las. Kiedy kupili go, zabrali się za wycinanie i karczowanie, budując z pozyskanego drewna, skromne domostwa dla siebie i swoich dzieci. I karczowali tak, że powstały pola do sadzenia buraków, kapusty, do siewu żyta, jęczmienia, owsa, prosa. Mieszkańcy Faustynowa nie radzili sobie za bardzo z uprawą zboża, ale bób i inne rośliny strączkowe rodziły się tutaj nadzwyczaj dobrze, w wystarczającej obfitości.
W niektórych bagnistych miejscach odkryli torf, który następnie wykorzystywali do ogrzewania w zimie. Jednak nie tylko wykorzystywali na opał torf, pozyskiwali także mnóstwo drewna. Początki życia osadników w Faustynowie i okolicach były jednak skromne i trudne. Nowi mieszkańcy jednak z wielkim zapałem i determinacją zabrali się do pracy i pokonywali jedną trudność po drugiej. Pierwszymi mieszkańcami Faustynowa byli Czesi: Stehlík, Tomeš, Petrozelin, Rajf, Šrajbr Jan, Cejnar, Burnaut i znowu Šrajbr, Tomeš Karel, Andržej Jan, Glovacky Jan, Strelec i pozostali Stehlík, Dostal, Šťastek, Dočkal, Kumpolt, Unger, Kulhavý Karol.
Stopniowo do Sikawicy i innych wsi, sprowadziły się dwie niemieckie rodziny: Polatschek i Pospiszyl. I tak Faustynów się zaludniał, po pewnym czasie przenieśli się tu i Polacy, a także dwie rodziny żydowskie: Wigda i Pestka. Zmniejszała się ilość lasów, zwiększała się powierzchnia gruntów ornych. Chociaż dobrobyt tutaj nie kwitł, ludzie zadowalali się tym, co mieli. I w tak skromnych okolicznościach ,niektórzy dorobili się stosunkowo przyzwoitego majątku jak na tamte czasy i miejsce. Budując swoje domostwa, pamiętali także o życiu duchowym. Zbudowali szkołę, w której odprawiano nabożeństwa i nauczano religii. Pierwszy kantor Kulhavý pochodził ze Śląska. Od czasu do czasu dojeżdżał tu proboszcz z Zelowa, odprawiał nabożeństwa w niedziele; pod nieobecność proboszcza kazania w niedziele wygłaszał kantor. Proboszcz zawsze odprawiał ceremonię pogrzebu. Spośród wsi należących do zborów w Zelowie, zarówno tego ewangelicko-reformowanego jak i baptystów, Faustynów był najdalej położony od Zelowa, około dziesięciu kilometrów. Mieszkańcy Faustynowa założyli w pobliskim lesie cmentarz, chowali tu swoich bliskich, aż do czasu, kiedy ich nie przesiedlono w związku z powstaniem odkrywki (kopalni) węgla brunatnego w latach siedemdziesiątych XX wieku. Był to typowy cmentarz czeski, przeznaczony wyłącznie dla protestantów. Polacy nigdy nie pochowali na nim nikogo ze swoich rodzin. Mieli swój cmentarz katolicki w Wygiełzowie, w miejscu, gdzie mieszkali ich współwyznawcy.
Cmentarz czeski w środku lasu był płaski, otoczony drewnianym płotem; groby były skromne. Prowadziła tu leśna droga z Faustynowa, która potem wiodła dalej do Folwarku. Mimo, że cmentarz znajdował się w lesie, nie był aż tak samotny. Tutaj ptaki śpiewały, aby zmarli dobrze „spali". Najczęstszymi bywalcami były tu zające i dzikie króliki, ale te pozostały przed płotem i przed zamkniętą bramą. Dopiero gdy jakiś złośliwy człowiek wyłamał deskę w płocie, po grobach biegały zające i dzikie króliki. Ale często krewni przychodzili na grób, a mianowicie do świeżego, na którym wieńce jeszcze nie wyschły. Ale w miarę upływu czasu droga do grobu również się dłużyła. Czasami też mieszkańcy Faustynowa przychodzili tu, żeby wspominać miłe i piękne chwile spędzone wspólnie z tymi, którzy od tego czasu tu odpoczywali.

Spoczywali tu starzy, młodzi i dzieci. Wiele matek i ojców przez długi czas miało łzy w oczach. A może niektórzy tu przychodzili po to, żeby otrzeć łzy. Mam nadzieję, że nie zostanie to zapomniane...
Śpiewano na cmentarzu podczas ceremonii pogrzebu. Nie, żeby przy innych okazjach tu nie śpiewano. Ptaki niebieskie przejęły śpiew dla spoczywającego ludu. Las stwarzał ku temu wiele możliwości.
Cmentarz był właściwie drugim Faustynowem, każda rodzina miała tu swoich bliskich, zarówno dorosłych, jak i dzieci. Ale nawet żywi „przygotowywali" tu skromne mieszkanie, dopóki nie przebyli odmierzonej dla nich, życiowej „pielgrzymki".
Od zakupu dużego, hrabiowskiego majątku, na którym powstał Faustynów, minęło sto sześć lat i w tym czasie cmentarz faustynowski pamiętał wiele rozpaczliwych lamentów i wylanych tu wielu łez. Tych, którzy zasnęli tu swoim wiecznym snem, było już znacznie więcej niż tych, którzy zamieszkiwali domy faustynowskie...
Polacy nie mogli zrozumieć, jak Czesi traktują swoich zmarłych, że nie obchodzą ich święta. Obie społeczności musiały się do siebie przyzwyczaić i podjąć wysiłki aby zrozumieć się, co zajęło dużo czasu. I czy kiedykolwiek zrozumieli, dlaczego niektórzy są tacy, a pozostali są inni? Obydwie nacje wiedziały, że każda z nich jest inna . Tym, co najbardziej ich od siebie różniło, była religia. Polscy katolicy przyzwyczaili się już do tego, że Czesi nie obchodzą świąt kościelnych w takim samym stylu jak oni. Czesi byli tolerancyjni wobec polskich zwyczajów i odmienności. Nie pozostało im nic innego. Byli właściwie obcokrajowcami, byli tu tylko dzięki łasce miejscowych. Kiedy było święto katolickie, Czesi nie próbowali podburzać i złościć przeciwko sobie swoich, katolickich sąsiadów. Polaków dziwiło, że Czesi nie oddawali czci swoim zmarłym, nie chodzili aby regularnie porządkować groby, zapalać znicze, modlić się za zmarłych w Dzień Wszystkich Świętych, ale stopniowo się do tego przyzwyczaili. Czesi i Polacy byli od siebie oddaleni pod względem religijnym. Także małżeństwa między nimi było rzadkością. Jednakże stosunki sąsiedzkie, były dobre i przyjazne. Czesi byli dumni z bycia ewangelikami reformowanymi, baptystami, podczas gdy Polacy z tego, że byli katolikami. Rzadko kiedy jedna lub druga strona, wypowiadała się zjadliwie na temat tej czy innej religii. Zwykle nie było napięcia między obydwoma narodowościami.

I tak każdy doświadczał swojej religii na swój własny sposób. Jeden nie narzucał nic drugiemu. Także i rodziny żydowskie mogły żyć swoją religią, według własnego obrządku i własnej tradycji. Wszystkie strony zachowały się na tyle rozsądnie, że szanowały i tolerowały się nawzajem.

****

Nasz staw.

Miałem około czterech lat. Mieszkaliśmy u babci Pospíšilovej w Sikawicy. Ta mała wieś miała tylko czternaście zagród. Mieliśmy numer „7". W ciągu jednego roku urodziło się na wsi siedmiu chłopców! Ponieważ urodziłem się pod koniec roku, byłem najmłodszy, a mimo to byłem ich „dowódcą". Zawsze bawiliśmy się razem.
Na niektórych łąkach Faustynowa, wydobywano także torf. I tak powstawały małe i większe stawy, które czasami sięgały nawet ponad dwóch metrów głębokości. Powiedziałem chłopcom w tym samym wieku, żebyśmy poszli wszyscy razem popływać. Żaden z nich nie sprzeciwił się. Byliśmy na tyle „mądrzy", że nikomu nie powiedzieliśmy o naszym zamiarze pływania. Wyszliśmy niezauważeni i ścieżką wiodącą przez nasze pole, dotarliśmy do potoku oddzielającego Faustynów od Sikawicy i dalej szliśmy wzdłuż potoku do miejsca, gdzie mogliśmy przejść na drugi brzeg. Kąpanie się bez nadzoru było prawdziwą przyjemnością!
To było na terenie posiadłości Horáków, ich syn był moim przyjacielem, może dlatego, że tak jak ja miał na imię Vlastimir. Tutaj nasi kopali torf. Tutaj też lubiliśmy się bawić i grać w piłkę. Ich dom znajdował się niedaleko lasu, więc bardzo mi się tam podobało. Znałem staw, w którym

mogliśmy się dyskretnie wykąpać. Woda była tu na ponad metr głęboka! W tym wieku nie bardzo mieliśmy pojęcia, co oznacza ta głębokość wody? A co to oznacza dla nieumiejących pływać, czteroletnich chłopców? Ale nie widzieliśmy w tym żadnego niebezpieczeństwa; widzieliśmy tylko wodę i pływanie!
Z drugiej strony mama, na szczęście zauważyła grożące nam niebezpieczeństwo i pobiegła za nami, tak szybko jak tylko mogła. Byliśmy już gotowi do wejścia do wody, rozebrani do naga. Ale nikt z nas nie chciał wejść pierwszy do wody. Staliśmy przez chwilę. I wtedy Edek Zatorski kazał mi wejść pierwszy. Powiedziałem więc, że jako pierwszy wejdę się wykąpać. W tym momencie przybiegła moja mama. Zamarliśmy wszyscy bez tchu. Kiedy ją zobaczyliśmy, chłopcy zaczęli uciekać, biegnąc we wszystkich kierunkach, tylko ja stałem w miejscu jak sparaliżowany.
Nie wiedziałem dokąd uciec. I w tym wieku po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że największa część winy leży po mojej stronie...
W pobliżu rosły brzozy, mama urwała długą, solidną witkę i dostałem porządne lanie. Mama szła za mną i biła aż do domu, z przerwami.
Kiedy coś poszło nie tak jak to bywało nieraz pomiędzy między dziećmi, w pierwszej kolejności obarczali mnie za to odpowiedzialną. Rzadko kiedy się mylili...
Lubiłem bawić się z psami, kotami, brodzić w strumyku, który płynął pod naszymi oknami. Długo siedziałam na naszej krzaczastej wiśni, żeby nikt mnie nie widział. Nosiłem ze sobą kij, był to taki pogrzebacz od ogniska, zabrudzony popiołem, podobno używano go do wybierania popiołu z pieca. Często przywłaszczałem go sobie.

****

Mały złodziej.

Kiedy po deszczu spacerowałem po wsi, lubiłem wtedy brodzić w kałużach. Szedłem i podpierałem się kijem tak, jak to widziałem u starszych, dla mnie starych ludzi. Kiedy doszedłem do końca wsi, zatrzymałem się pod domem, w którym mieszkał mój przyjaciel, około rok młodszy. Na ogrodzeniu podwórka wisiał wątek. Zręcznie, niezauważony przez nikogo, laską ściągnęłam wątek z płotu, owinąłem go wokół szyi i zaniosłem do domu. Po wsi kręcili się ludzie, ale nikt nie zauważył, że niosę coś, co nie jest moje, choć było to widać na pierwszy rzut oka. Tylko przez jakiś czas byłem bez nadzoru, a mama już szukała mnie zastanawiając się, dokąd poszedłem i co znowu robię? A tu kradzież! – Skąd to masz? - pyta mnie mama.
Musiałem wyznać prawdę. Mama wysłała mnie z wątkiem, gdzie go zabrałem. Wstydziłem się i bałem jednocześnie. Teraz wszyscy mnie widzą! Chciałem, żeby nikogo nie było na zewnątrz, kiedy tam dotrę. Jeszcze dwa domki i będę w tym ostatnim, do którego nie chciałem iść.
Kiedy za płotem zobaczyłam matkę mojego kolegi, do której należał ten wątek, zadrżałem cały ze strachu. Zdejmowała wiązki wysuszonych nici wątku z płotu i wieszała świeżo nakrochmalone, mokre. Wykorzystałem sytuację, gdy nie patrzyła i powiedziałem jej:
- O, tutaj spadł twój wątek!
Uśmiechnęła się: - Jesteś grzeczny chłopczyk.
Odetchnąłem z ulgą i wróciłem do domu. Mama natychmiast zapytała mnie:
- Czy oddałeś wątek? Odpowiedziałem z radością: - Tak.
Nie chciałem, żeby mama pytała mnie o szczegóły. Do końca tego dnia bawiłem się z chłopakami i zapomniałem o kradzieży. Ale to nie był koniec, dopóki nie poszedłem spać.
Nie dokuczało mi bicie, wolałem znosić to, jak okazywać wstyd za swój występek...
Mama i tata na zmianę pracowali na krośnie. Mama powiedziała, że już pora spać dla dzieci.
Potem zwróciła się bezpośrednio do mnie i powiedziała:
- Jestem ci coś winna. A ja jej odpowiedziałem: - Mamo, przecież nic mi nie jesteś winna.
- Ależ jestem ci coś winna, gdybym ci nie powiedziała co, nie mogłabym spać – powiedziała Mama. – Chodź, usiądziemy na progu. I usiedliśmy. Mama wróciła do tego wątku. Rozmawiała ze mną jak z dorosłą osobą, a ja po prostu się zastanawiałam nad odpowiedziami. -

- Co sądzisz o kradzieży wątku? Kradzież jest grzechem, Bóg będzie na ciebie zły. Ani dzieciom, ani dorosłym nie wolno kraść. Kiedy coś nie jest twoje, nawet jeśli ci przeszkadza, obejdź to a nie dotykaj. Wiedz o tym, że Bóg gniewa się na nieposłuszne dzieci i dorosłych. Czy chcesz, żeby Bóg był zły na ciebie?
- Mamo, naprawdę nie chcę, żeby Pan Bóg był na mnie zły.
- Jeśli tego nie chcesz, nigdy więcej nie kradnij! – powiedziała mi mama. Musiałem jej to obiecać, ale w głębi serca nie byłem pewien, czy uda mi się tego dotrzymać. Nie pamiętam, co powiedziała potem moja mama. Ale fakt, że Bóg byłby na mnie zły, zasmucił mnie, nie chciałem, żeby Bóg był na mnie zły.
- Mamo, ale Bóg jest bardzo wysoko i na pewno nie widział, jak uciekałem z łupem.
- Bóg cię widział. Widzi każdy nasz krok, słyszy nasze myśli.
- Ale matko, jak On może widzieć to, czego nikt nie widzi? Że ukradłem i co wziąłem, jak On to widzi? Czy On ma taką dalekowzroczność?
- Pan Bóg nie potrzebuje lornetki, ma dobry wzrok i nic nie umknie Jego oczom. A teraz obiecaj mi, że już nie będziesz kraść, nie ukradniesz wątków, nie weźmiesz niczego, co nie jest twoje.
I tak już od najmłodszych lat, przykazanie „nie kradnij" - nie dawało mi spokoju.

Nasz pobyt w Sikawicy dobiegł końca. Musiałem opuścić swoich przyjaciół i udać się do „nowego" środowiska, do Faustynowa, ale i tam szybko zaprzyjaźniłem się z chłopcami w moim wieku. I we Faustynowie też przeżyłem ekscytujące chwile wczesnego dzieciństwa, podobnie jak wcześniej w Sikawicy.

****

Przeprowadzka do Faustynowa.

Zwolnił się jeden pokój na Faustynowie u dziadka Jana Němca w jednym z jego dwóch domów i przeprowadziliśmy się z Sikawicy do Faustynowa, aby zamieszkać u mojego dziadka. Tego życzyła nam babcia ze Sikawicy wiedząc, że nasze dotychczasowe lokum, to dla dwóch rodzin jest za mało. We Faustynowie, nasz nowy, duży pokój służył za sypialnię, kuchnię, warsztat tkacki i pokój dzienny „za pryczą". Było to jedno, duże łóżko, na którym wszyscy spaliśmy. W pokoju stało krosno, szafa na ubrania, nawijarka szpulek, stół i cztery krzesła, dwa stoliki i ława przy piecu oraz mały kredens na przybory kuchenne.

****

Żydzi wśród Czechów i Polaków.

Faustynów był wsią dość długą, z szeroką ulicą, po obu stronach której stały działki, gospodarstwa z domami, które poza nielicznymi wyjątkami nie były stłoczone, gdyż każdy domownik miał przed domem lub obok domu pole, łąkę, ogródek lub mały lasek. Im bogatsi byli chłopi, tym większe były różnice, przepaści między sąsiadami. Bogatszy chłop nosił wysokie, skórzane buty, miał konia, wóz drabiniasty i ewentualnie bryczkę. Ale byli też tacy, którzy nie mieli dużego majątku.
Rodzina Pestków była jedną z najuboższych rodzin w Faustynowie. Pamiętam tylko starszą panią i jej dwie starsze córki. Nie pamiętam już Żyda Pestki. Mieszkali kilkadziesiąt metrów od nas.
Ich skromny domek był jeszcze mniejszy niż inne, biedne domy. Niski, miał malutkie okienka.
Drugą była duża, żydowska rodzina Wigdów. Pestkowie mieszkali na podmokłym „Mokrym" krańcu Faustynowa, a Wigdowie na początku „Suchego", przeciwległego krańca wsi. Wigda miał trzech synów i trzy córki. Miał małe pole, więc aby utrzymać rodzinę, pracował także jako przewoźnik. Miał konia i w razie potrzeby, dwa lub trzy razy w tygodniu jeździł do Zelowa, aby zawieźć do fabrykantów tkaniny, wykonane przez faustynowskich tkaczy chałupników, a ze Zelowa

przywoził im osnowy, a czasami (gdy fabrykanci mieli pieniądze) także przynosił pieniądze tkaczom. Wigda był osobą stateczną, uczciwą i godną zaufania.
Nie raz nie mogliśmy się doczekać Wigdy. Niejednokrotnie moi rodzice popadali w kłopoty finansowe. Pamiętam, że nie mieliśmy już nawet pieniędzy na chleb. Było to przed Bożym Narodzeniem, kiedy rodzice desperacko czekali, aż Wigda przywiezie im pieniądze.
Wieczorem ktoś zapukał do drzwi. To była Wigda. Przywiózł osnowę i wątki, żeby ojciec mógł dalej pracować, ale przywiózł też pięć złotych! Były to metalowe pieniądze, które lśniły, jakby dopiero co wyszły z mennicy. Rodzice odetchnęli z ulgą! Mimo, że miałem dopiero pięć lat, razem z nimi przeżywałem strach i radość.

W Sikawicy dorastałem tylko wśród czeskich i polskich chłopców; we Faustynowie moi nowi przyjaciele byli inni, bardziej zróżnicowani etnicznie – choć już wszyscy pochodzili z tego kraju. Byli to Czesi, Polacy, Żydzi i jeden chłopak z rodziny czesko-niemieckiej. Tylko dorośli mówili nam, kim jesteśmy; nas samych, nie obchodziło to zupełnie. Naszymi sąsiadami byli Jelínek i Andrš. Jelínkowie mieli syna Josefa, a ja brata Josefa, oni obaj przyjaźnili się i nie wpuszczali mnie między siebie, bo byli starsi. Musiałem więc szukać przyjaciół pośród młodszych chłopaków ze wsi.
Wolałbym, oczywiście gdyby mnie zaakceptowali, przyjaźnić się ze starszymi kolegami, starałem się „wcisnąć" między nich. Nie zawsze jednak to się udawało. Samorzutnie tworzyły się kasty wiekowe. W czynieniu psot byliśmy wszyscy, z wyjątkiem najmłodszych, zjednoczeni, ale w czynieniu dobrych uczynków, to już wszyscy byliśmy sami. Nie chcieliśmy dzielić się z nikim chwałą tego, co zrobiliśmy dobrze.
Jedno wspomnienie prowadzi mnie do Świąt Bożego Narodzenia. Dzieci chodziły do szkółki niedzielnej, na „Suchy Kraniec" Faustynowa. To była dla nas fajna szkoła. Kantor Horák opowiadał nam historie biblijne ze Starego i Nowego Testamentu. W niedzielne poranki odbywały się nabożeństwa, podczas których kantor wygłaszał kazania. Czasami w niedzielę przyjeżdżał tu proboszcz z Zelowa.
Przyjeżdżał także, gdy ktoś na wsi umarł. W kościele w Zelowie odbywały się chrzty i śluby. Kantor prowadził także przygotowania do bierzmowań. Była to najważniejsza, religijna uroczystość w dzieciństwie, odbywająca się przy okazji Świąt Bożego Narodzenia. Dla nas dzieci, to Wigilia była najpopularniejszym i najbardziej oczekiwanym świątecznym wieczorem w roku. Najbardziej nie mogliśmy się doczekać prezentów świątecznych w szkole. Nie były one jednak zupełnie darmowe. Dzieci recytowały wiersze o treści religijnej, podczas dziecięcej zabawy wigilijnej. Miałem i ja dostać też taki wiersz. Kiedy rozdawano wiersze, nie byłem obecny w szkole i dopiero później przyjechałem z mamą po wiersz. Kantor zaprowadził nas do swojego gabinetu i powiedział, że dzieci już recytują krótkie wiersze. Został tylko jeden, którego nikt nie chciał. Wiersz, który pozostał, był bardzo długi. Kantor Horák powiedział mi:
- Vlastík, nauczysz się tego, rozumiesz? I tak, z pomocą mojej mamy, nauczyłem się. Kiedy się uczyłem, recytowałem go codziennie, więc mi się udało…

****

Wigilia.

Dorośli i dzieci z niecierpliwością czekali na Wigilię; dzieci, ponieważ otrzymają prezenty, ich rodzice nie mogli się doczekać, aż ich dzieci będą recytować, wiersze i kolędy. Na zewnątrz padał śnieg, płatki śniegu były jak puch. Dzieci tarzały się w śniegu niczym koty. Dachy domów, drzewa były białe, a dzieci biegały po wiosce. To była radość! Tylko dorośli często musieli chodzić do lasu po drewno na opał.
Aby mój dzień wigilijny mijał szybciej, stałem przy oknie i patrzyłem na płatki śniegu spadające na ziemię. Mógłbym długo tak stać i patrzeć na wirujące w powietrzu płatki śniegu. Jednak zachmurzenie się rozstąpiło i śnieg ustał. Dopiero około południa zaczęło ponownie padać i to

całkiem sporo. Wreszcie śnieg! Polowaliśmy na siebie śnieżnymi kulami, przy okazji tarzając się w śniegu. I czas oczekiwania na wigilię, dla dzieci mijał szybciej. I nastał wieczór, czas iść na nabożeństwo. W szkole stała już pięknie udekorowana wysoka choinka, pod nią leżały prezenty przykryte prześcieradłem. Dorośli czekali na to, co przygotowały dla nich ich dzieci, wnuki. Impreza się rozpoczęła. Dzieci śpiewały kolędy, recytowały wiersze. Teraz była moja kolej. Wszedłem na scenę, ukłoniłem się i zacząłem deklamować mój długi wiersz. Kantor mnie pochwalił. Powiedział, że miałem mało czasu na naukę wiersza, mimo to nauczyłem się go dobrze. To był dla mnie wielki zaszczyt, taka publiczna pochwała. Jednak my, dzieci, oczekiwaliśmy głównie prezentów. Wszyscy to przecież lubimy najbardziej!

Dostałem dużą białą płócienną torbę, prezent za wyrecytowany wiersz. Po wigilijnej zabawie mama wzięła mnie na ręce i wróciliśmy do domu. Dzisiaj cały Faustynów był razem. Kiedy wyszliśmy ze szkoły, znowu padał śnieg, płatki śniegu były znacznie większe niż rano, a we wsi było więcej śniegu. Kiedy dotarliśmy do domu, wszyscy byliśmy biali jak bałwanki. Ale to jeszcze nie koniec prezentów. Wiedzieliśmy przecież, że Dzieciątko przyjdzie dziś wieczorem. A te dzieci, które były grzeczne w ciągu roku, otrzymają prezent od Dzieciątka.
Tata położył na parapecie dwa talerze i powiedział:
- Zobaczy, czy Dzieciątko włoży do nich prezenty.

Zastanawiałem się, skąd wzięło się Dzieciątko. Tata powiedział, że Dzieciątko pochodzi z odległych krain, nawet że z samego z Betlejem. O tak, słyszałem, jak śpiewano o Betlejem i mówiono o nim w wierszach. W Betlejem urodziło się Dzieciątko i odtąd każdego następnego roku, w dniu swoich narodzin, jeździ saniami po całym świecie i rozdaje prezenty grzecznym dzieciom.
- A co stanie się z tymi niegodnymi, którzy wciąż są źli i płaczą? – zadałem sam sobie i ojcu pytanie. Tata milczał, nie wiedział, jak mi to wytłumaczyć. Mama podeszła do niego:
- Kiedy dziecko płacze, to nie znaczy, że nie jest godne i że się złości, a kiedy się złości, nie oznacza to wcale, że jest złe.
- Wszystkie dzieci dostaną dziś wieczorem poczęstunek – wiwatowałem. Nie byłem do końca pewien, czy zawsze byłem dobry. Ale jeśli dostaną też te niegrzeczne, zobaczymy co będzie z prezentem dla mnie?
W końcu mama powiedziała: - Już jest późno, chodźmy spać i zobaczmy, co Maleństwo zrobi z tymi talerzami?
Rano, gdy się obudzimy – pomyślałem sennie - nasze talerze będą pełne…

Wczesnym rankiem, podekscytowany wstałem z łóżka, podbiegłem do okna i co widzę na talerzu: cukierki, czekolada, jabłka, orzechy, pierniki i cała reszta!
Rano, w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia, dorośli i dzieci udali się do Szkoły na nabożeństwo. U niektórych Czechów, a było ich wielu, pobożność była rygorystyczna, zwłaszcza uświęcanie niedzieli, bardzo o to dbali. Kształtowała dorosłych i dzieci. Lubię i ja wspominać te chwile, kiedy kształtowała mnie ta czeska, surowa pobożność. Inspirowała mnie i kształtowała moje życie. Ta pobożność pozostawiła we mnie niezatarty ślad do dziś. Oddzielała nas także od Polaków. Ta surowa, purytańska pobożność nie dotyczyła jednak całego naszego życia, a jedynie jego marginalną część. Na przykład nie wolno było pracować w niedziele, nie wolno było pracować zupełnie. W niedzielę nie gotowaliśmy nawet posiłków na piecu. W sobotę mama gotowała jedzenie na niedzielę i kładła je pod pierzynę, żeby było ciepłe.
Przed niedzielnymi nabożeństwami, wszyscy mieszkańcy Faustynowa opuszczali swoje domy i udawali się gromadnie do szkoły. To był piękny widok! Nosili pod pachą nieporęczne księgi i Biblie, idąc całymi rodzinami na nabożeństwa. W dniu tym nic nie mogło być robione, tylko wypasano krowy, a inne zwierzęta mogły jeść i pić. Dużą popularnością cieszyły się także spacery do Lubca i na Czerninę. Tam prawie wszyscy mieli własne wykopane pryzmy torfu w postaci cegieł ułożonych do suszenia. Pomiędzy tymi kopcami, ludzie mieli „strefę dla pieszych" - ciasno usytuowaną, po której w niedziele, spacerowano.

Przyjeżdżali tu nie tylko Czesi, ale i Polacy, i to nie tylko z Faustynowa. Zdarzyło się, że z jednej z hałd (kopca) spadła taka„cegła" torfowa i istniało zagrożenie, że podczas deszczu cała hałda się zapadnie i rozsypie. Kiedy z kopca spadła „cegła" torfowa nie, powinno się jej zbierać i naprawiać kopca w niedzielę! W takiej sytuacji Czech zostawiał kopiec nieruszany, nieważne czy świeciło słońce, czy padało. Dla niego podniesienie „cegiełki" torfowej i położenie jej na kopcu, było grzechem przeciw Bogu zgodnie z przykazaniem: „Pamiętaj o dniu szabatu (niepodzielnym), aby go święcić! Sześć dni będziesz się trudzić i wykonywać całą swoją pracę! Ale w siódmym dniu, dniu odpoczynku - mówi Pan, twój Bóg. - Nie wykonasz żadnej pracy!"
Inne przykazania nie były dla nas może tak ważne i można je było łatwo obejść. Gdy ktoś w czeskiej rodzinie w niedzielę wywiesił na płocie wypraną poszwę, chustę lub prześcieradło, to było to haniebne, to był grzech! W niedzielny wieczór lub w sobotę wieczorem, niektórzy młodzi Czesi, tańczyli całą noc i tańce mogły trwać do niedzieli, było to tolerowane. Lubiłem to, chodziłem tam wieczorami jako mały chłopiec, stojąc przy płocie wśród dorosłych i czasami jeszcze dalej od płotu, nie mogłem się nacieszyć tym co się tam działo, może purytanizm w dzieciństwie też miał na to jakiś wpływ?

****

Podróż do Zelowa.

To była Wielkanoc. Plan opracował mój stryjek Jan Němec, który był tylko cztery lata starszy ode mnie, i jego grupa przyjaciół. Tuż przed jego realizacją zaprosili także nas młodszych, na zwiastun, gdzie wszystko miało się rozstrzygnąć. Zwierzyli się nam ze swoich zamiarów, na co my młodsi, chętnie przystaliśmy. Powiedzieli nam:
- Za chwilę pójdziemy kolędować do Zelowa. O naszym planie nikt nie może wiedzieć. Pojedziesz z nami, Vlastík? Byłem podekscytowany ich planem i byłem szczęśliwy, że zabiorą mnie ze sobą.

Było nas około dziesięciu chłopaków, najstarszy był mój wujek, miał wtedy około dziesięciu lat. Moi rodzice nie mogli dowiedzieć się o naszej przygodzie. Udało nam się utrzymać to w tajemnicy. Starsi chłopcy poprosili mnie iść z nimi do Honzy Andrša, chłopca z rodziny, w której również było dużo dzieci. Kiedy dotarliśmy do ich domu, wybrali mnie, żebym do niego zapukał. Byłem zaszczycony, że powierzono mi tak ważne zadanie.
Pukam, drzwi się otwierają, a ja nawet się nie przywitałem (i tak by mnie nie usłyszeli, bo w domu było pełne zamieszanie), tylko mrugnąłem porozumiewawczo do Honzy, on od razu wyszedł, a gdy usłyszał o naszym wyjeździe do Zelowa, natychmiast do nas dołączył.
Honza miał w Zelowie znacznie starszego brata, więc nie mógł się doczekać wizyty u niego. Mój stryjek, który to wszystko wymyślił, ostrzegł Honzę, że nie może wracać do domu i mówić rodzicom, dokąd się wybiera, aby nie zdradzić naszej „wycieczki". To było dla nas wydarzenie życiowe, będziemy sami, bez rodziców i opiekunów! Wreszcie nikt nam nie będzie rozkazywać…

W Wielkanoc było bardzo ciepło, chodziliśmy boso, niewielu z nas miało w domu buty. Aby podróż była przyjemniejsza, skakaliśmy, rzucaliśmy w siebie szyszkami i obrzucaliśmy się piaskiem. Po lewej stronie drogi znajdowały się pola uprawne, a po prawej las. A kiedy tak się wygłupialiśmy, odpadł mi guzik. Będzie źle. Wszyscy go szukaliśmy. Nie znaleźliśmy, niestety… choć szukało nas dziesięciu chłopaków. Musieliśmy wcisnąć go szukając, głęboko w piasek. Nasze wysiłki poszły na marne. Stryjek Jenik (Jan) odwołał poszukiwania i powiedział, że tą drogą do Zelowa prędko nie dotrzemy. I tak kontynuowaliśmy naszą podróż. Droga nie była łatwa. W mijanej wsi, na Woli Pożdżenickiej, biegało stado gęsi. Gdy nas zobaczyły, wyciągnęły długie szyje, zaczęły syczeć i pobiegły za nami. Rozproszyły nas i zanim się zebraliśmy z powrotem, słońce na niebie zbliżało się już do południa. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, przyspieszyliśmy. Pole nie pole, droga nie droga – idziemy dalej. A przed nami były już Pożdżenice. Była to długa wieś, ale przeszliśmy ją bardzo szybko i na jej końcu skręciliśmy w stronę Zelowa. Na szczęście nie było tu gęsi, więc nic nie stało

nam na przeszkodzie. Nikt z nas nie narzekał, że bolą go nogi, że jest głodny czy spragniony, dla nikogo nie miało to znaczenia.
W Zelowie było wielu Żydów, którzy mieli wiele dzieci. W pamięci utkwiły mi długie czarne pejsy, czarne chałaty i czarne kapelusze, które nosili także młodzi Żydzi. A my? Byliśmy ubrani jak włóczędzy. Szliśmy główną ulicą do rynku i tam się rozdzieliliśmy, każdy poszedł do swoich bliskich. Stryjek Jan powiedział:
- Wróćmy do domu na trzecie święto. Spotkamy się po obiedzie tutaj, na rynku.
Jenik i ja poszliśmy na Grzebienie, było to kilka domków, mała wioska na skraju Zelowa.
Bez problemu znaleźliśmy dom wujka Josefa, byliśmy tu już kilka razy. Między rodzeństwem była duża różnica wieku. Josef był pierworodnym z pierwszego małżeństwa, natomiast Honza był ostatnim z drugiego małżeństwa. Wujek Josef Němec i ciocia Amálie, przebywali w domu modlitwy „Wolnych Chrześcijan Refomowanych", gdzie często chodzili na spotkania. Chodziliśmy koło domu i nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć. Czy młodzi są w domu na Święta? Okna zasłaniały firanki. W jednym z okien zasłona zdawała się być podniesiona. Podskakujemy do tego okna.
W domu był tylko mój kuzyn Mirek i jego młodsza siostra Marta; mówimy, żeby nas wpuścili, ale prosiliśmy na próżno. Nie wpuścili nas. Może nas nie rozpoznali, czy co? Prawdopodobnie rodzice powiedzieli im, kiedy wychodzili: „Nie otwierajcie nikomu drzwi".
I grzeczne dzieci posłuchały rodziców. Przez zamknięte okno powiedzieli nam, że ich rodzice się za nich modlą. Musieliśmy poczekać na zewnątrz, aż wrócą…

Kiedy nareszcie pojawili się wujek i ciocia, byli zaskoczeni: - Jak się tu dostaliście? - zapytali zdumieni naszą obecnością. Zatailiśmy prawdę i wszyscy razem, zgodnie powiedzieliśmy coś innego.

Pod wieczór dowiedzieliśmy się, że w Faustynowie doszło do zamieszania. Cały Faustynów szukał nas w lesie, wokół stawów, ale było tak, jakby pod nami zapadła się ziemia.
Dopiero wieczorem wszystko się wyjaśniło, gdy Honza Andrš będąc w odwiedzinach u swojego, przyrodniego, starszego brata w Zelowie, wyznał mu, co zrobiliśmy. Ten zaś wsadził brata na rower i pojechał z nim do domu. Kiedy dotarli do Faustynowa z wieścią gdzie jesteśmy, poszukiwania odwołano. I od zaś tego momentu, rodzice przygotowywali się na nasze „powitanie"…

Nadszedł drugi dzień Świąt, dzień kolędowania. Pożegnaliśmy wujka Josefa i wraz z Jenikiem i Mirošem pojechaliśmy do innego krewnego, wujka Pavla Němca, który miał piękną córkę. Ją zaś, choć to nasza krewna, widzieliśmy pierwszy raz i bardzo nam się spodobała, była od nas trochę starsza. Patrzyła na nas przez chwilę, a potem zapytała:
- Co ci chłopcy tutaj robią? Tata jej odpowiedział: - To są twoi kuzyni z Faustynowa.
- Ale tato, po co oni tutaj przyszli? Wujek Pavel dał nam jajka, które zawinęliśmy w chustę.
W Zelowie zostaliśmy do trzeciego dnia Świąt i po obiedzie wyruszyliśmy w drogę powrotną. Część naszych chłopaków została tu jeszcze kilka dni, ale już za zgodą rodziców. Podróż powrotna wcale nie była szczęśliwa, zwłaszcza dla mojego stryjka Jana. On to wszystko wymyślił a teraz się bał kary. Gdy dotarliśmy do Faustynowa, nasze zdenerwowanie wzrosło. Jenik powiedział do mnie:
- Kiedy wrócimy do domu, pójdziesz i zapytasz: gdzie jest Jenik? Staliśmy już na podwórku, a ja poszedłem do dziadka. Dziadek siedział sobie na krześle przy łóżku i kiedy przyszedłem, zapytałem go: - Dziadku, gdzie jest Jeník? Spojrzał na mnie ze złością i powiedział: - Ty zaś to nie wiesz, gdzie jest Jeník, co? Wróciłem do Jeníka i opowiedziałem mu o reakcji mojego dziadka.
Bał się wracać do domu, ale poszedł. Dziadek był gotowy do użycia pasa i rózgi, którą miał w zwyczaju lać na gołe ciało. Jenika zaś nie ominęła kara. Bał się, ale dzielnie wytrzymał baty…

Poszedłem też aby „zdać raport" moim rodzicom. Miałem już przygotowany plan i to na moje szczęście, zadziałało. Zmiękczyłem rodziców, którzy podejrzewali, że stałem się ofiarą swojej naiwności i namowy ze strony starszych chłopców. Kiedy podszedłem do ojca, nie był dla mnie

miły. Podałam mu obrane jajka, mówiąc, że są dla rodziców. Na szczęście, zasłużonego lania nie dostałem…

Po Świętach nieraz rozmawialiśmy ze sobą o tym gdzie wtedy i z kim byliśmy. Najgorsze przytrafiło się organizatorowi tej całej, zamiejscowej kolędy, mojemu wujkowi Jeníkowi, srogie lanie rózgą od dziadka…

****

Przy warsztacie.

Warsztat tkacki (ręczne krosno) należał do wyposażenia wielu czeskich rodzin w Zelowie i okolicach, stanowiąc nieodłączną część ich sposobu zarabiania na życie - ich utrzymania.
Jaki Czech - taki tkacz.   Jedynie bogaci, czescy gospodarze nie pracowali „przy warsztacie". Fabrykantami – nakładcami rozdzielającymi pracę dla tkaczy-chałupników, byli wtedy głównie Żydzi, ale było też kilku Czechów.
Kiedy osnowa znalazła się na krośnie, w domu od razu zrobiło się weselej. Integralną częścią procesu produkcji tkaniny było czółenko tkackie. Najbardziej podziwiałem, kiedy zręcznie przechodziło przez przesmyk, rozwijając za sobą nitkę wątku - ładnie ją układając pomiędzy dwoma warstwami nici osnowy. I tak tkanina tuż za nim, formowała się z połączenia wątku i osnowy. Niefortunnie było, gdy czółenko wypadło z „toru" (przesmyku), czasami wyrządzało wtedy duże szkody, zrywając nitki w osnowie, a to wyłączało na jakiś czas krosno z pracy. Czasem zdarzało się, że w tkaninie powstała dziura od niedobicia bidłem wątku do osnowy, albo splot lub wzór w tkaninie się przesunął, „skręcił" i to już był duży, poważny błąd (brak), za to groziły „sankcje". Jakie? Finansowe, oczywiście.
Gdy błąd został zauważony wcześniej, można go było jeszcze naprawić poprzez odseparowanie części tkaniny. Tkacz musiał przykładać dużą wagę do swojej pracy. Tata na zmianę z mamą, tak pracowali przy jednym krośnie. Zdarzało się im też, że czasami przysypiali nad ranem, spóźniając się do pracy.
Integralnym „towarzyszem" krosna był mały kołowrotek. Praca na nim, była moją sprawą. Nawijanie cewek z wątkiem, było moim zadaniem. Nie żebym tego chciał czy szczególnie lubił tę pracę, ale ponieważ byłem już „starszy", większość tej pracy pozostawiono mnie. I tak powoli przyzwyczaiłem się też do tej roboty. Czasami ból rąk sprawiał, że łzy napływały mi do oczu. Najbardziej cierpiały kciuk i palec wskazujący lewej ręki, w których przez cały czas nawijania szpulek musiałem przytrzymywać nić i ładnie „modelować" szpulkę. Nieraz, gdy nawijanie trwało dłużej, z pociętych nicią palców leciała mi krew. Musiałem wtedy przerwać pracę, aby nie „pokolorować" krwią nitek i nie stworzyć niepożądanego wzoru na tkaninie. Byłem tutaj „ekspertem" w nawijaniu. Miałem wtedy pięć, sześć lat. Aby mieć dobry widok podczas pracy, ustawiałem kołowrotek przy oknie izby. Widziałem wtedy przez szybę, jak inni chłopcy często grali w piłkę nożną. Kopali starą „gałgankę" (szmaciankę), jakby kopali prawdziwą, nadmuchiwaną piłkę, a ja siedziałem tu przy kręcącym się kole, bujałem się i huśtałem, pochylony nad kołowrotkiem. Ani razu nie udało mi się wybłagać mamy, lub ojca, abym i ja mógł pójść i kopać „gałgankę" jak inni chłopcy.
Koło musiało się kręcić. Czasami zastępował mnie tata lub mama. Gdybym był bardziej pracowity i potrafił nawinąć więcej cewek, to mógłbym częściej wychodzić na dwór do chłopaków…

Kiedy Faustynów palił się i nasz dom spłonął, płomienie pochłonęły mój kołowrotek i całe, nasze utrzymanie, czyli krosno.
Wkrótce po tym, jak minęła „burza gniewu", ludzie otrząsnęli się i zaczęli marzyć o przywróceniu tego, co zabrały im szalejące płomienie ognia, łącznie z odnowieniem krosien i kołowrotków. Ale to marzenie się nie spełniło.

****

Wojsko Polskie we Faustynowie.

Faustynów najwyraźniej był zaliczany do strategicznych miejsc na tym terenie, przed rozpoczęciem II wojny światowej. Wojsko Polskie przybyło do Faustynowa w Listopadzie 1938 roku i żołnierze zajęli miejscowe stodoły na swoje kwatery.
Wojacy codziennie chodzili do Czarnicy (Czerniny) na ćwiczenia. Mieli jedno działo polowe, zaprzężone w parę koni.

Wybudowali w pobliżu cztery betonowe bunkry. Dla dzieci było to nie lada widowisko. Nawet na naszym polu, Wojsko Polskie budowało bunkier. Ile cementu, ile żelaza utonęło tu w jego ścianach, aż zapierało dech! Najpierw zbudowali drewniane szopy, w których składowali materiały budowlane. Już wtedy mówiono o wojnie, że bunkry stoją po to, żeby polska armia miała gdzie się bronić.
Pamiętam, że ludzie mówili: - Co tu Niemcy zrobią? Jeśli Polacy ich tu zatrzymają i pogonią z powrotem? Inaczej nikt nie zobaczy tu armii niemieckiej.
Nadeszła wieść, że sam marszałek Piłsudski* przyjedzie do Faustynowa z Warszawy. Ludzie musieli zamiatać podwórka, żołnierze sprzątali rejony, gdzie kwaterowali i pracowali przy budowie umocnień.
- Będzie wielka ceremonia powitalna - mówili. My, dzieci, też nie mogliśmy się tego doczekać. Chodziliśmy wśród żołnierzy, przyjaźniliśmy się z nimi. Wreszcie wojsko zobaczyło marszałka Piłsudskiego**. Przyjechało kilka samochodów osobowych i przejechał sam Marszałek. Żołnierze oddali mu hołd, on wygłosił przemówienie i odjechał razem z osobami towarzyszącymi i swoją eskortą. Lokalny dowódca, major z Folwarku, wyjechał z kolumną jako ostatni. My, chłopcy, postrzegaliśmy to wszystko jak jakieś objawienie.
Dowódcą tego oddziału WP był major, który mieszkał w ładnym otoczeniu na Folwarku, wśród lasów, jakieś trzy kilometry od Faustynowa. Mówiono, że ten major jest narodowości niemieckiej. Kiedy stosunki między Polakami i Niemcami uległy pogorszeniu, Polacy w naszym sąsiedztwie mówili: - Dlaczego ten major, choć Niemiec, jest trzymany w wojsku? Może nas przecież Niemcom wydać! O pogarszaniu się sytuacji świadczyła wzmożona aktywność przy budowie bunkrów wojskowych. Żołnierze pracowali dzień i noc, aby je ukończyć na czas. Niezależnie od pogody, gdy świeciło słońce lub padał deszcz. Wśród żołnierzy panowało zdenerwowanie.
W Faustynie było wówczas tylko jedno radio, u kupca Tomeša. Radio było wystawione na zewnątrz i grało tak głośno, tak aby po prostu było je dobrze słychać. Przychodzili tu dorośli i dzieci, żeby posłuchać przede wszystkim muzyki, a gdy sytuacja między Polską a Niemcami się pogorszyła, także wiadomości, komunikatów i audycji, których wszyscy słuchaliśmy z zainteresowaniem, zwłaszcza jeśli usłyszeliśmy coś nowego. Napięcie rosło. Armia, która była z nami, musiała przenieść się do granicy z Niemcami. Powszechnie mówiono już, że wkrótce wybuchnie wojna. Ale żeby ludzie musieli opuścić Faustynów, Sikawicę, wioski otoczone lasami? Prawdopodobnie nie. Ale po co te bunkry wojskowe, po co je budowano tutaj przez taki długi czas? Ale dokąd i po co Niemcy mogli przejść przez Faustynów? Z jednej strony były bagna, z drugiej bagna i znowu bagna, darniowe nieużytki. Jak mogła tu dotrzeć tylko armia niemiecka?
I po co fortyfikacje, bunkry?! Okazało się, że to wszystko było niepotrzebne, że zbudowano tam, gdzie nie było żadnego zagrożenia. Kiedy front już przeszedł, ludzie zaczęli szeptać:
- Ten niemiecki major w mundurze polskiej armii bronił się tam, gdzie nie mogło powstać żadne niebezpieczeństwo, a wręcz przeciwnie, tam gdzie kraj mógł być zagrożony, drogi pozostały niezabezpieczone!
Nikt nie mógł tego zrozumieć. Ale najwyraźniej zostało to wszystko zbudowane tylko dla samego budowania. Czy było rzeczywiście tak czy inaczej? Tylko jedno było prawdą, że z bunkrów Fausty-

* ** - w roku 1938, Piłsudski już nie żył. Mogło tu chodzić o Marszałka Rydza-Śmigłego.

nowa, nie wystrzelono ani jednego pocisku przeciwko niemieckiej armii.

****

Cud na niebie - trzy słońca.

Tuż przed wojną, ludzie widzieli najróżniejsze znaki i cuda. Ktoś widział znak w lesie, inny stado dziwnych ptaków i tak dalej.
Opowiadano o strasznych wydarzeniach, które wkrótce spadną na świat. Nie było szeptów, żadnych spekulacji na temat wojny, ale głośno, drżącym głosem, wszystko dookoła, samo za tym przemawiało. Wydawało się, że mieszkańcy Faustynowa doskonale zdają sobie sprawę z tego, co ma nadejść, a także z tego, co może to dla nich oznaczać. Nawet oni pragnęli cudów, tak samo jak chętnie słuchali opowiadań o duchach. Nawet tutaj ludzie widzieli cud wielki, tak wielki, że zadrżeli z trwogi. Przez kilka dni niebo było zasłonięte szarymi lub czarnymi chmurami; tu i tam padało. Radio wygrywało przez całą, codzienną „rundę" wiadomości, którą tylko radio było w stanie wyemitować. Do późnej nocy nie dyskutowano o niczym innym jak o tym, co będzie się działo na granicy polsko-niemieckiej; i co to będzie dla nas oznaczać? Z Warszawy jednak w radiu rozlegał się głos, że Polacy nie oddadzą Niemcom ani centymetra polskiej ziemi, ani nawet „guzika od munduru!". Ale nie tak ludzie myśleli o polskiej armii, przynajmniej nie w Faustynowie.
Młody Czech, Adolf powiedział: - Armia polska przygotowuje się do wojny pod presją krytyki, czyli jest zupełnie nieprzygotowana! Jakby tylko niewielka część polskiej armii przygotowywała się do starcia z armią niemiecką. Mówiono, że przygotowanie to jest mniej niż żałosne. Widzieliśmy ich technikę. Czy zamierzali nią walczyć? Czesi pod Faustynowem wiedzieli już, że Polacy nie są w stanie stawić czoła uzbrojonej po zęby armii niemieckiej. Woleliby jednak nie mieć racji. W końcu chmury zaczęły się przełamywać, promienie słoneczne przedostawały się przez „pęknięcia" w chmurach, aby na powrót ogrzać i rozweselić swym ciepłem strwożoną, zamieszkałą ziemię.
I oto nieśmiało i jakby ze znakiem zapytania pojawiło się słońce, ale nie było samo, miało dwa jednakowe sobowtóry!!! Które z trzech słońc było prawdziwe? Po Faustynowie jak błyskawica rozeszła się wieść o wielkim cudzie na niebie: ukazały się trzy słońca! Ludzie wychodzili z domów, albo otwierali na oścież okna i patrzyli w niebo. Kobiety złożyły ręce jak do modlitwy, mężczyźni zaś dyskutowali w milczeniu, jakby bojąc się tego widoku:
- Co to oznacza? Czy Bóg pokazał nam, co będzie dalej? Tylko, co to będzie?

Ludzie we wsi stali nieruchomo jak świece, patrząc w niebo. Być może nigdy nie wyglądali na tak zjednoczonych w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń i wszyscy patrzyli w niebo. Nikt nie wątpił, że wybuchnie wojna. Z pewnością będzie to straszna wojna, skoro Bóg pokazał ludziom jednocześnie trzy słońca na niebiosach!

Po chwili chmury ponownie zakryły całe niebo. Pozostały tylko domysły. Co to oznacza? Nie mówiło się teraz o niczym innym, jak tylko o tym niebiańskim cudzie. Interpretacje tych trzech słońc były różne, ale wszystkie wskazywały w jednym kierunku: na wojnę…
Ludzie nie byli już na tyle chętni, aby pracować w polu.
- Cała praca i tak pójdzie na marne. Daremność innej zaś pracy jest tu przed naszymi oczami! – Te betonowe bunkry! Kto przeżyje tę wojnę, gdy jedna z linii bojowych znajduje się na Faustynowie, gdzie się ukryjemy? W lesie? Uciekniemy do Zelowa? Nawet później ludzie nie dali się przekonać, że to nie były trzy słońca. Ludzie długo jeszcze utrzymywali w sobie tę wiarę w trzy słońca, aby mieć pewność, że to Bóg pokazał im na Faustynowie, co wydarzy się w nadchodzących tygodniach, miesiącach i latach. Co się stanie? - pytają interpretatorzy tego cudu, ale każdy na swój sposób… A nasza babcia Pospísilová miała poważne wątpliwości co do niebiańskiego pochodzenia tego cudu, w którym ukazały się trzy słońca.

I zapytałem ją - Jak to jest z tą kobietą, którą wszyscy zawsze nazywaliśmy „babcią", że nie wierzy już w Pana Boga?
Babcia odpowiedziała mi wtedy: - Ależ ja wierzę w Pana Boga, tylko te trzy słońca nie mieszczą mi się po prostu w głowie.

****

Odpust i ucieczka – początek wojny.

Zbliżała się godzina „W"...   W niedzielę, kiedy musieliśmy opuścić swoje domy, co roku odbywał się w Lubcu wielki odpust. Byłem na tym odpuście pierwszy raz, jako pięcioletni chłopiec. To, co mnie zainteresowało podczas niego, to wielka karuzela. Ja też na niej jeździłem i było to dla mnie przeżycie! Z niecierpliwością czekałem także na przyszły rok. Na ten odpust przygotowywaliśmy się w niedzielne popołudnie. Rano udaliśmy się na nabożeństwo w szkole, a po południu mieliśmy wszyscy iść na odpust. Radio u Tomeša stało przy otwartym oknie, od kilku dni nadawało muzykę poważną i co chwila nowe audycje o zbliżającej się wojnie. A może już rozpoczęła się wojna?
Kiedy wracaliśmy z nabożeństwa, grupa mężczyzn i kobiet zatrzymała się u rodziny Tomešów, aby posłuchać najświeższych wiadomości. Nikt tutaj jeszcze nie wiedział, że za około dwie godziny i my będziemy musieli opuścić swoje domy. Ludzie zaniemówili. Coś się działo niedobrego...
Odpust, na który tak bardzo czekałem, miał mnie teraz ominąć?
Wydarzenia wojenne, które dotknęły nas jak kamień, nie umknęły uwadze nawet takiego dziecka jak ja.

Kiedy wróciliśmy z niedzielnego nabożeństwa do domu, mama wyjęła spod pierzyny ugotowane w sobotę na obiad kluski, a tata powiedział zdenerwowany:
- Musimy szybko zjeść obiad, sytuacja jest bardzo poważna, prawdopodobnie będziemy musieli uciekać z domu.
Siedliśmy już przy stole. Klusek było pełno w glinianej misie, z której każdy sobie nabierał do jedzenia. Tata w trakcie posiłku powiedział:
- Dzięki temu naszemu obiadowi przypomina się czas w Egipcie, kiedy to Izraelici jedli pieczoną jagnięcinę z gorzkimi ziołami. Nie mieli czasu na jedzenie, więc musieli wszystko zostawić i udać się w daleką wędrówkę, w tym przez Morze Czerwone.
Nie zjedliśmy jeszcze nawet posiłku, gdy wujek Karel Němec przybiegł do nas do domu i zawołał:
- Chodźcie zobaczyć, co się dzieje w lesie!
I wybiegliśmy pośpiesznie z domu. Zobaczyliśmy, jak drogą drogą prowadzącą od naszego lasu jechały załadowane dobytkiem konne wozy, a obok nich tyle ludzi! Prowadzili krowy, kozy, owce, psy, na wozach były koty, kury, króliki, worki, kosze i kufry wypełnione najpotrzebniejszymi rzeczami i jedzeniem.
Wozami drabiniastymi jechały też dzieci, chorzy i osoby najstarsze. Po chwili przejechali obok naszego podwórka i pojechali dalej, nie wiedząc za bardzo - dokąd jadą. Po prostu uciekali.

Nigdy wcześniej ani później nie miałem tak smutnej niedzieli jak wtedy. Niewiele było niedziel, które tak głęboko zapadły mi w pamięć jak ta...
W krótkim czasie na niebie pojawiło się wiele niemieckich samolotów. Latały grupami. Pierwszy raz w życiu widziałem tyle samolotów. Właściwie to nawet nie wiem, czy widziałem wcześniej jakikolwiek samolot?
Uciekać musiały także wszystkie rodziny z Faustynowa, ludzie z Sikawicy i innych wiosek.
Wujek Karel zaprzęgał konia do wozu, dziadek i my go załadowaliśmy. Nie było tego dużo, bo nie było czasu. Zabrano tylko to, co było pod ręką i najpotrzebniejsze rzeczy. Tata był nieobecny duchem i jakby coś przeczuwał, bo wziął, wyniósł z domu stół i cztery krzesła i zaniósł je nad strumyk na drugą stronę wsi. Dziadek wyprowadził ze stodoły dwie krowy, przywiązał je do wozu i

wyruszyliśmy w pielgrzymkę w nieznane. Droga przez Faustynów była pełna ludzi, bydła i przede wszystkim wozów i samochodów tych, którzy uciekali od zachodu i jechali przez Faustynów, ale gdzie? Nikt nie miał na to odpowiedzi. A kiedy dołączyli nasi ludzie, nie było już dokąd się zwrócić. Jakby jakiś głos ich wszystkich wołał:
- Szybko, szybko uciekajcie, precz!
Być może w ciągu niecałej godziny, wszyscy opuścili swoje domy. Trochę nam zajęło, zanim dotarliśmy do suchego krańca Faustynowa! Wszystkie drogi dojazdowe, zarówno polne, jak i leśne, nawet te z łąki lubeckiej, były zablokowane przez samochody, wozy, pełne uciekających ludzi.

Około czterech lub pięciu kilometrów za Faustynowem, kilka samolotów zawróciło nad nami i zaczęło strzelać do nas z karabinów maszynowych. Każdy uciekał przed ich ogniem, gdzie mógł, ludzie padali na ziemię, biegli w pola, kryli się nad strumieniem, między drzewami, gdzie tylko mogli...

To były pierwsze strzały II wojny światowej, które usłyszeliśmy. Być może strzelali tylko, żeby nas przestraszyć, bo żadna z uciekających w popłochu osób, nie została trafiona.
Po chwili samoloty zawróciły i odleciały. Inne samoloty nie atakowały już nas na drodze i kontynuowaliśmy naszą, daleką podróż w nieznane. Ludzie myśleli:
- Dokąd uciekać, gdzie i jak się ukryć? Niemcy są już prawie za nami, a może nawet przed nami?
Pojazdy ledwo poruszały się po wyboistych i wąskich, zatłoczonych drogach. Byliśmy w podróży, która nie miała celu.
Ludzie zadawali sobie pytanie: - Dokąd my właściwie idziemy? Przed tak szybko nacierającą armią niemiecką nie ma ucieczki!
Nikt nie wiedział, dokąd uciekał, po prostu uciekał. Nagle przy naszym wozie pojawił się stryjek Karel Pospíšil, brat mojego ojca. Zapytaliśmy go: - gdzie jest babcia?
- Babcia? Babcia została w domu i powiedziała, że z domu nie wyjdzie, bo woli w nim umrzeć!

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Na drodze było coraz więcej uchodźców. Dotarliśmy już prawie do Zelowa, na początek osady, gdzie mieszkała niemiecka rodzina luterańska. Była tam starsza pani z dwiema córkami. Kiedy nas zobaczyła i dowiedziała się, że jesteśmy Czechami powiedziała, żebyśmy nie szli dalej, ale zostali u nich. A my jej posłuchaliśmy. Zrobiliśmy dobrze. Gdzie tu dalej uciekać?
Z Faustynowa było z nami jeszcze kilka rodzin, na wozach. Te Niemki były dla nas bardzo, bardzo dobre. Rzeczy, które mieliśmy na wozach, złożyliśmy do ich stodoły, krowy przywiązaliśmy do drzew w ogrodzie. Dziękowaliśmy Bogu, że postawił na naszej drodze te kobiety, które przyjęły nas z prawdziwie chrześcijańską miłością. Co mieli to dali nam: chleb, masło, mleko, ziemniaki. Zmęczeni drogą i wrażeniami z całego dnia ludzie, kładli się spać, gdzie tylko mogli. Było ciepło.

Następnego dnia mężczyźni wykopali na polach tej Niemki, dwa schrony i zamaskowali je. Dzieciom najbardziej podobały się te schroniska. Niedaleko miejsca, w którym się zatrzymaliśmy, do Zelowa prowadziła polna droga, którą szło około stu zmęczonych, polskich żołnierzy.
- Ci żołnierze nie będą już walczyć… – powiedział smutno nasz tata. Mnie też było bardzo szkoda tych żołnierzy. Nawet jeszcze dzisiaj ich widzę, gdy szukali jakiegoś ukrycia, chcieli wymienić mundury, choćby na podarte cywilne spodnie i koszule, aby przedostać się do domów i uniknąć niewoli. Jak daleko potem zaszli podczas pieszej ucieczki przed zmotoryzowaną armią niemiecką?
Niecały kilometr od nas była droga szutrowa, główna trasa do Łasku, Pabianic i dalej do Łodzi. Moja mama podbiegła do naszej gościnnej gospodyni, Niemki i powiedziała: - chodź i zobacz! Poszliśmy z nią wszyscy na podwórko, a ona zaczęła wołać:
- Nasi, nasi jadą!
I tak naprawdę było: motocykl za motocyklem. Na każdym motocyklu znajdowało się trzech, niemieckich żołnierzy. Każdy motocykl miał przyczepkę z boku, w której siedział jeden żołnierz z karabinem maszynowym.

Żołnierze niemieccy nie byli w ogóle zainteresowani uchodźcami, zależało im jedynie na utorowaniu im drogi.

Ludzie zastanawiali się, co się stało z ich domami. Część naszych udała się do Faustynowa i przyniosła wiadomość, że na Mokrym Krańcu wsi został tylko popiół, a na Suchym Krańcu, spaliła się tylko szkoła.
Płomienie nie dotknęły tylko sąsiedniej Sikawicy. A nasza babcia, Anna Pospíšilová pozostała przy życiu. Była jedynym świadkiem tragedii faustynowskiej.
Po około dwóch dniach, uchodźcy w małych grupach wracali do swoich domów.
Przygotowywaliśmy się także do wyjazdu. Niemka, u której mieszkaliśmy, namawiała nas, abyśmy zostali u niej na dłużej. - Wasze domy są spalone, dokąd się spieszycie?" – zapytała nas gospodyni.
- Przecież znowu będziemy musieli tam żyć. Lasy nie spłonęły, my je wytniemy a z pozyskanych drzew zbudujemy każdy coś, żeby przetrwać zimę. I jesteśmy teraz znowu „na zero!"

Deszcz padał podobnie jak ponad sto lat temu, gdy budowano Faustynów. Teraz ponownie wycinano lasy, budowano schronienia dla ludzi i bydła. Faustynów nie pamiętał takiej katastrofy...
Pożegnaliśmy zelowskich gospodarzy, którzy zachwycili nas swoją gościnnością i braterską miłością, i przygotowywaliśmy się do powrotu do spalonego Faustynowa. Ci, którzy mieszkali na Mokrym Krańcu wioski, wracali ze łzami i większymi obawami, ci z Suchego jej krańca, nie musieli się nigdzie ruszać, mieli cały dach nad głową.
Było nam też dobrze, albo i nawet lepiej mimo że, nasz dom obrócił się w popiół. Zamieszkaliśmy u mojej babci w Sikawicy.
Przyjęła nas z wielką miłością. Babcia miała wiele, wiele do opowiadania o wrażeniach z tych kilku dni, kiedy została sama z siostrą Emilią na obu wioskach i odmówiły usłuchania wezwania do opuszczenia domów. Do Sikawicy przyszli polscy żołnierze i chodzili od domu do domu, żeby zobaczyć, czy ktoś został. Kiedy żołnierze zobaczyli naszą babcię, szybko ją przegonili. Zapytali ją, dlaczego nie wyszła z innymi? Babcia powiedziała, że za nic w świecie nie wyjedzie, że zabiorą ją stamtąd tylko w trumnie. Żołnierze powiedzieli, że za chwilę wrócą, niech zabiorze najpotrzebniejsze rzeczy i szybko wyjdzie. Może nie chcieli, żeby był świadkiem tego co robi Wojsko Polskie na Faustynowie? Babcia jednak została - ukryła się w domu i żołnierze o niej zapomnieli. Babcia stała się w ten sposób jedynym świadkiem podpalenia Faustynowa i spalonej czeskiej szkoły.
Babcia potem często opowiadała, jak polscy żołnierze podpalali domy:
- Płomienie natychmiast się rozprzestrzeniły, iskry skakały z domu na dom. Tam, gdzie domy były daleko od siebie, przychodzili żołnierze i je podpalali. Drewno z jakiego zbudowano domy, było suche i płomienie nie miały problemu z ogarnięciem. Pożary wybuchały błyskawicznie...
Spłonęła prawie połowa Faustynowa, a w tej połowie był nasz dom i dom dziadka Niemca. Rzekomo żołnierze chcieli oszczędzić domy Polaków, ale wszystkie budynki były tak blisko siebie, że nie można było ich uratować.
Z całego domu i mebli został nam stół i cztery krzesła, które ojciec zdążył wynieść na zewnątrz, gdy wyjeżdżaliśmy z Faustynowa. To był bardzo smutny widok. Kobiety wylały najwięcej łez, mężczyźni byli „odważniejsi".
- To było dziwne" – powiedziała babcia – kiedy żołnierze dotarli do „Suchego Końca" Faustynowa, weszli na dziedziniec szkolny, biegali po podwórzu, wybijali okna i drzwi w szkole, zajrzeli do kurnika, rozpalili ogień na podwórzu, dołożyli polana do ognia, a gdy już się paliły, zdjęli je z ognia i zanieśli do szkoła. Przez rozbite okna wrzucano do środka rozpalone kłody. Szkoła była drewniana. W ciągu kilku minut kilka małych płomieni połączyło się w jedną wielką „całość", jak wtedy, gdy kilka strumieni łączy się w jedną rzekę. Płomienie wznosiły się w górę, jak ogień na ołtarzu podczas ofiary Abla.
- Płonąca na stosie ofiara! - kontynuuje opowieść babcia. - Płomienie „gryzą" ściany i dach. Minęło sporo czasu, zanim płomienie osłabły. Belki paliły się jeszcze długo w nocy, tu i ówdzie pojawiały się większe płomienie, i gdy po chwili połknęły w całości swoją „ofiarę", ponownie

„spadły" na ziemię. Ze szkoły pozostał jedynie popiół. Ale nawet w tych popiołach , pozostało wiele iskier, i to całkiem sporo". Pewnej ciemnej nocy, na miejscu spalonej szkoły, wyglądało to tak, jakby znienacka wyrósł tutaj cały dziurawiec ze wsi. Kiedy powiał ciepły nocny wietrzyk – unosił się z niego płonący popiół i iskry i znowu, spadało to wszystko na ziemię. Szkoły nie ma i nie będzie…
Babcia mruknęła: - Zastanawiałam się, który dom jako następny po szkole stanie w płomieniach. Ale Suchemu Końcu Faustynowa, udało się uniknąć dalszych płomieni.
- Po co oni właściwie podpalili szkołę? Czy ona im przeszkadzała? Czy stała im na drodze? Wiem, że to nie była polska szkoła, więc ją spalili – mówiła sobie babcia w tamtym momencie, a później powtarzała nam to jeszcze nie raz…

Ci którzy stracili dach nad głową, od razu wzięli się do pracy. Poszli do lasu, aby wyciąć drzewa, zdobyć drewno na opał no i do budowy domu. Wszędzie słychać było gospodarzy wycinających drzewa i zamieniających je w belki. A potem położyli belkę na belce, wznosząc domy, stajnie i stodoły.
Zanim nadeszła zima, ludzie mogli znów żyć, przynajmniej tymczasowo. Gdy budowa była już ukończona, znowu można było wziąć się za gospodarowanie na swoim...
Aby zarobić trochę pieniędzy, z okolicznych wsi przyjeżdżali polscy stolarze. Dziadek Němec był chory, nie mógł przystąpić do budowy nowego budynku. Być może będzie musiał z tym poczekać do wiosny.
Kiedy przed wojną żołnierze budowali bunkier na jego posesji, zbudowali też szopy na materiały budowlane. Zamieszkał teraz w nich z babcią, córką Heleną i synem Jeníkiem. Latem można było w nich mieszkać od biedy. Gdy nadeszła zima, dziadek z rodziną zamieszkał u najstarszej córki z pierwszego małżeństwa, Amálii Valtovej, której dom ocalał z płomieni podczas pożaru Faustynowa. Dopóki mój dziadek mieszkał w szopie, byłem u niego częstym gościem. Fascynowało mnie jego życie. Tuż obok, za ścianą z desek, stała krowa, koń i kurczak. Chodziłem do niego głównie dlatego, że gdy padał deszcz, słyszałem krople deszczu spadające na dach; im większe, tym głośniejsze. Podobało mi się to. Nie raz nocowałem u mojego dziadka. Chwile spędzone w tym prymitywnym budynku były dla mnie niezapomniane.
Gdy tylko zobaczyłem, że na dworze zaczyna znowu padać deszcz, szybko biegłem do dziadka na Faustynów, żeby znowu usłyszeć, jak krople deszczu „bębnią" o dach…

****

Babcia Nemcova.

Z Pożdżenic pochodziła druga żona naszego dziadka Jana Němeca. Jako mała dziewczynka kilka lat spędziła z rodzicami w czeskiej osadzie na Wołyniu. Kiedy zaczęli tęsknić za Pożdżenicami i może z innych powodów, wrócili. Kiedy moja babcia, matka mojej matki, z domu Tomešová z Folwarku, zmarła wkrótce po urodzeniu mojej matki, mój dziadek przeżył ciężkie chwile. Miał dość duże gospodarstwo rolne, i oprócz pracy na nim, musiał także opiekować się synem i czterema córkami, więc szukał pomocy. Ożenił się z Alžbětą, córką Matysa z Pożdżenic. I miał także z nią pięcioro dzieci z tego, drugiego małżeństwa, trzech synów Karela, Viléma i Jenika oraz dwie córki Olgę i Helenę.
Kiedy jego syn, Karel wkrótce wyjechał na roboty do Niemiec, chory dziadek został się z żoną i dwójką małoletnich dzieci oraz nieco starszym, niewidomym synem Vilémem. Podczas gdy inni gospodarze z gruzów spalonych domów odbudowali nowe budynki, na spalonego domu dziadka Nemca wciąż znajdowały się kamienie i sterta popiołów. Nie było komu sprzątać pozostałości po spalonych zabudowaniach, a co dopiero postawić nowego domu. Nasz tata nie mógł im pomóc, był poważnie chory. I tak dziadek z rodziną, zamieszkał u córki Valtovej. Mieszkali bardzo skromnie, ale w ich mieszkaniu nie przeciekał dach – nie padał deszcz, nie padał śnieg, oni też nie zamarzała woda w wiadrze. Czego jeszcze mogli chcieć, skoro inni nawet tego nie mieli?

Choroba dziadka pogłębiała się.
Zaczęto już wtedy rozważać, co będzie po śmierci dziadka.
Śmierć dziadka była niedaleko. Nie było lekarza i nie było pieniędzy na lekarstwa, a nawet jeśli były pieniądze, to nigdzie nie było lekarstw. Nie było wyjścia z tego zagmatwanego kręgu nieszczęścia. Kiedy przychodziłem odwiedzić dziadka, to nie mógł nawet uleżeć na materacu łóżka, bolało go całe ciało. Kiedy już kalkulowano, że wkrótce umrze, przyszły jego dzieci, które były w pobliżu i słyszałem, jak żegnają się z ojcem. Na pożegnaniu nie zabrakło też i wnuków.
Dziadek ubolewał: - Co się teraz stanie z moją żoną i małoletnimi dziećmi?
Najstarszy syn Josef powiedział do dziadka: - Ojcze, cokolwiek tylko będzie w naszej mocy, pomożemy!
Po pożegnaniu wszyscy wrócili do domów. Byłem najczęstszym gościem, bo mieszkałem najbliżej Faustynowa, tylko „kilka" kroków dalej.
Dziadka nie było już z nami długo. Kiedy poczuł, że jego życiowa pielgrzymka dociera już do kresu, ostatni raz zwołał do siebie pozostałą rodzinę.
Piosenka: „Tam, ponad gwiazdami w niebie, mam Ojca…" była naszą piosenką rodzinną. Dziadek chciał, żebyśmy często mu ją śpiewali. Jego ostatnim życzeniem było, aby wśród pieśni na jego pogrzebie znalazła się i ta piosenka, którą często śpiewał i która dodawała mu wiele sił duchowych nawet w czasie ciężkiej choroby, czyli „Tam nad gwiazdami w niebie mam Ojca"…

Dziadek zakończył swoją ziemską pielgrzymkę w domu swojej najstarszej córki, Amáli Valtovej.
Na jego pogrzeb, przyszedł pastor Neveceřal, proboszcz ze Zelowa. Przybyło wielu krewnych i znajomych. Na pogrzebie nie zabrakło nikogo z Faustynowa, czy to Czecha, czy Polaka.
Jan Němec należał do szanowanych mieszkańców Faustynowa, a jego „bogactwo" inspirowało ludzi. Być może dziadek Němec był wyjątkiem, ponieważ nie obnosił się ze swoim majątkiem i nie okazywał go noszeniem wysokich skórzanych butów, jak to czynili inni, bogaci rolnicy.
Po pogrzebie dziadka, babcia zaczęła pracować nad popiołami swoich dwóch domów. Chciała zbudować na pogorzelisku przynajmniej jeden dom, w którym mogłaby zamieszkać.
Zatrudniła robotników do wycięcia drzew w lesie, a inni zawieźli ich do wsi. Zatrudniła stolarza z Woli Pszczółeckiej i zaczęła się praca. Babcia Němcová nagle nabrała tyle energii, że zazdrościli jej nawet domownicy. I nie trwało długo, zanim dom stanął gotowy. Wyprowadziła się wraz z dziećmi z domu Valtovej do nowego domu. Lubiłem chodzić tu i tam.
Jednak nie trwało to długo bo po pewnym czasie moi młodzi kuzyni, w tym zaledwie sześcioletni Jeník, wyjechali z kilkoma znajomymi do pracy do Niemiec.
U babci została tylko córka Helena i niewidomy Vilém. Liczyła, że Jeník jej pomoże. Co mogła zrobić? Na kim mogła teraz polegać, była sama , tylko z Heleną. Przez całą wojnę w chacie pracowały tylko dwie kobiety, które uprawiały całe dwa pola. Tu i ówdzie ktoś z rodziny im pomagał, lecz była to pomoc niewielka. Długo czekała, aż Jeník się z nią skontaktuje, ale nie spieszył się.
Nagle pewnego dnia do drzwi zapukał listonosz i przyniósł jej list od Jeníka. Babcia trochę się uspokoiła i pocieszyła tym listem.
Miałem dwie dzielne babcie: Pospíšilovą w Sikawicy i Němcovą na Faustynovie. Obie podziwiałem jednakowo, ale u babci Pospíšilovej miałem więcej tej łączącej nas, emocjonalnej strony, może dlatego, że z nią długo razem mieszkaliśmy. Babcia Němcová śmiała się częściej, też była bliska dobrej zabawy, babcia Pospíšilová nie miała charakteru naśmiewania się z niczego i nikogo. Bardzo cieszyłem się, gdy usłyszałam coś wesołego od babci Němcovej.

****

Najbiedniejsi.

Najbiedniejszą ze wszystkich biednych rodzin w Faustynowie, była żydowska rodzina Pestków.
Stary Żyd Pestka już nie żył, pozostawił po sobie biedną wdowę z dwiema starszymi córkami i

młodszymi synami.
Ich dom także spłonął.
Nie było tam lasu z którego by można było pozyskać drewno do odbudowy spalonego domu, jedynie mały ogród i niewielki pas pola naprzeciwko. Gospodarze z Faustynowa mieli wystarczająco dużo pracy w obejściach i na polach. Ale wciąż byli ludzie, którzy pomagali Pestkom nawet podczas pracy przy budowie schronienia. Na miejscu pogorzeliska wykopali dół długi na około siedem metrów i szeroki na cztery metry, zrobili nad nim solidny, drewniany dach, który potem obsypali gliną, z gliny zrobili też piec i położyli na nim starą blachę od pieca, wyciągniętą z pogorzeliska. Drzwi wejściowe do ziemianki, zrobiono z desek pozostawionych przez polskich żołnierzy podczas budowy bunkrów. Znaleźli też i wstawili kilka małych okienek, żeby stara Pestkowa z dziećmi, mogła się wprowadzić przed zimą.
Odwiedzałem ją czasami jeszcze przed pożarem, była to dobra, życzliwa kobieta, bardzo skromna. Jej dzieci nas lubiły pomimo, że nie raz je mocno biliśmy…
Jeden z jej synów był potem moim, dobrym przyjacielem. Coś mnie do niego przyciągało, ale nie wiedziałem co. Zapraszał mnie do swojego domu nie raz. To, co jego wyróżniało, to to, że w soboty, kiedy my Czesi mieliśmy najwięcej pracy, oni mieli święto (szabat), a kiedy my mieliśmy świętą niedzielę, oni pracowali.

****

W szkole.

Do tej pory wszystko przebiegało normalnie. Szkoły otwierano jesienią. Ja też chodziłem do szkoły przez pierwszy rok, a miałem już osiem lat. W Polsce przed wojną, dzieci rozpoczynały naukę w szkole od siódmego roku życia, ale ponieważ ja urodziłem się w ostatnim tygodniu roku, poszedłem do szkoły rok później. Rozpocząłem zatem naukę, dopiero w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku.
Jak ja na to czekałem! Nadszedł wreszcie ten dzień, w którym poszedłem do szkoły! Miałem tornister od tabliczek do pisania, jak wszyscy inni uczniowie. Jeśli nie mieliśmy takich samych ubrań (mundurków ni mieliśmy), to przynajmniej mieliśmy podobne tornistry szkolne. Nosiliśmy je na plecach. Miałem w nim zamiast zeszytu, drewnianą tabliczkę do pisania, drewniane etui z węglikami, a później także ołówek i gumkę. W szkole siedziałem tu z moim, przyjacielem Stanisławem Kaźmierczakiem, z którym bawiłem się we Faustynowie. Był najmądrzejszym chłopcem w całej klasie. Co on potrafił zrobić, ja niestety nie umiałem.
Może nauczyciel posadził mnie z nim, abym mógł się czegoś od niego nauczyć. Staszek był dumny, że zna już litery alfabetu i potrafi czytać, a ja nic, ale starałam się go dogonić w nauce. Pomyślałem sobie: „Kiedyś go wyprzedzę w nauce!…”
Niestety, nigdy się tak nie stało...
Czeskie dzieci uczące się w polskiej szkole, miały jedną lub dwie lekcje języka czeskiego tygodniowo. Byliśmy w tej samej klasie, gdzie uczył nas kantor Adolf Pospisil. Do Faustynowa przyjechał rok wcześniej, przed wojną (1938), przed nim przez wiele lat był nauczycielem, kantor Karel Horák. Jego pamiętam najbardziej, ponieważ bardzo go lubiłam za to, że kiedyś mnie pochwalił po recytacji wiersza na wigilii. To był pierwszy komplement, jaki pamiętałem.
W szkole zawsze starałem się być dobrym uczniem. Ale pomimo wszystkich moich wysiłków, nauka nie szła mi najlepiej i często bolały mnie dłonie od rózgi nauczyciela.
Droga do szkoły i z powrotem jest dla mnie do tej pory niezapomniana. Do szkoły szliśmy oczywiście boso piaszczystą drogą. Ale niestety, długo nie cieszyliśmy się szkołą.

Kiedyś dotarliśmy do szkoły a ona była zamknięta. Powiedzieli nam, że są tu Niemcy i zamknęli szkołę. Dla nas, dzieci, było to jak pogrzeb.
Koniec szkoły! Po raz pierwszy nawet my, dzieci, poczuliśmy dolegliwość niemieckiej okupacji.

Kiedy jeszcze zacząłem chodzić do szkoły, powiedziałam cioci Amalii Grygerovej, że tak jak kiedyś dzieci jeździły do stolicy Polski Warszawy, tak teraz pewnie pojedziemy do Berlina, a ciocia odpowiedziała:
- Oczywiście, pojedziesz do Berlina, jest duży i piękny, ciesz się tym.
Nie mówiła tego ironicznie. Na początku wojny, Czesi uważali Niemców, jako nam bliskich ludzi (głównie z powodu wyznaniowego), bliższych niż Polacy.
Jednak nie minęło wiele czasu i prędko zdaliśmy sobie sprawę z naszego błędu.

Mama i moi dwaj wujkowie, pojechali do pracy do Niemiec. Myśleliśmy, że wraz z okupacją Polski wszystko się już tu skończyło, że lepiej będzie pracować i zarabiać w Rzeszy. Wiele osób z Faustynowa zgłosiło się ochotniczo do pracy w Niemczech mówiąc, że pojadą tam na rok, zarobią więcej i wrócą, podobnie jak to było przed wojną.
Moja mama była tego samego zdania. Tata był chory, więc teraz zadaniem mamy było zarabianie pieniędzy. Mieliśmy tymczasowo zamieszkać w Sikawicy. Mama pojedzie do Niemiec – myśleliśmy sobie tak wszyscy - zarobi, wróci i znów zbudujemy dom na Faustynowie.
Do Niemiec pojechało także dwóch Karelów, wujek - brat mamy i stryjek - brat taty. Wizja lepszego jutra za zarobione, niemieckie pieniądze, szybko jednak przygasła. Faustynów opuściło kilkudziesięciu mieszkańców - mężczyźni i kobiety.
Niektórzy, już nigdy nie wrócili, odnaleźli swoje groby w Niemczech. Pozostali, którzy przeżyli okropności wojny, wrócili dopiero po wojnie, łącznie z naszą mamą. Nasi wujkowie nigdy nie wrócili. Zginęli w Niemczech.
Byli jednocześnie krewnymi i dwójką przyjaciół na życie i śmierć. Razem pojechali do Niemiec. Kiedy szli na podróż i byli już kilka metrów od naszego domu, zatrzymali się, zawrócili, na chwilę obejrzeli się i poszli dalej. Karel Pospíšil przebywał u swojego brata Josefa w Ignacowie, Karel Němec u swojego brata Josefa na Grzebieniach za Zelowem.
Pożegnali się z bliskimi i udali się dalej do Łasku, skąd pociągiem do Niemiec, gdzie skończył się ich szlak. Nasz tata powiedział wtedy: - Byłem pod wrażeniem, jak tak zatrzymali się i spojrzeli wstecz, jakby to było ich ostatnie spojrzenie na nas; a dla nas było ostatnie spojrzenie na ich twarze.
Po dwóch latach pobytu w Niemczech obaj zginęli tragicznie, w odstępie kilku tygodni...
Przysłano nam ich rzeczy, które zostały po nich, pocztą z Niemiec. Najcenniejszym klejnotem pozostawionym przez stryjka Karela Pospíšila z Sikawicy, była Biblia – Pismo Święte, Starego i Nowego Przymierza. Mam ją po dzień dzisiejszy...
Karel podkreślił niektóre wersety, widocznie lubił je czytać, z czego mogę wyciągnąć wniosek, jak Karel stał duchowo. Studiował te wersety z zachętą i siłą. Tą Świętą Księgę mojego stryja, mam w moim księgozbiorze do dziś, choć w innej okładce. To jedna z najrzadszych książek, jakie posiadam…

****

Czekając na list.

Pamiętam pierwszy list od mojej mamy, na który z niecierpliwością czekaliśmy. Nie tylko my czekaliśmy na wieści od naszych bliskich w Niemczech. List od mamy nie przychodził długo. Nie wiedzieliśmy, gdzie mama jest, gdzie pracuje, a od nikogo nie mogliśmy się nic o niej dowiedzieć.
Listy dostarczał listonosz, który miał kilka wsi na swoim rejonie, zanim do nas dotarł, czasami mijało kilka dni.
Wreszcie nadszedł list od mamy! Napisała w nim, że pracuje u bauera (gospodarza) pod Monachium w Bawarii. Tata czytał ten list wiele razy. Około dwóch tygodni później, dotarł kolejny list, tym razem od stryja, Karela Pospíšila. Napisał, że miał szczęście, że trafił do Niemiec i że pracuje u bauera, na gospodarstwie rolnym. Chciał, żebyśmy przesłali mu adres mamy, żeby

gdy będzie miał dość czasu, mógł ją kiedyś odwiedzić.
W pierwszym swoim liście mama opisała, jak trafiła do gospodarstwa i że gospodarstwo jest duże, że należy do bauera, który jest najbogatszym właścicielem ziemskim we wsi. W późniejszych listach opisywała nam, jak gospodyni, jego żona, jest okrutna wobec wszystkich, którzy dla niej pracują.
Ma dwie córki. Młodsza z nich się z nią zaprzyjaźniła. Gospodyni to kobieta z pewnymi kompleksami. Jej starsza córka jest do niej podobna we wszystkim. W innym liście mama napisała, że poszła do Urzędu Pracy ze skargą na swojego bauera, ale Bawarczyk nie pozwolił jej mówić. Nikt nie mógł sobie z nim poradzić, nawet władze. Gospodyni przydzieliła mojej mamie mały pokój na poddaszu. Powierzyli jej pracę w oborze przy
bydle, karmiła je, doiła krowy, ale także pomagała w kuchni. Od czasu do czasu dzwonili wujkowie, Karel Pospíšil i Karel Němec. Obaj nie mogli się doczekać spotkania z mamą, miejmy nadzieję, że wszyscy razem wkrótce wrócą i będą świętować.
Ponieważ nie byli daleko od siebie, wreszcie się spotkali i wspominali Faustynów, Sikawicę i wszystkie miłe rzeczy, które tam przeżyli. Ile by dali, żeby znowu być w domu.
Pytaniem było jednak to, czy my z kolei pozostaniemy w domu? Niemcy wywozili coraz młodszych ludzi do Rzeszy, więc może i my niedługo znajdziemy się wśród nich...

****

Zelowskie lody.

Na początku wojny, gdy miałem siedem lat, pojechałem z ojcem do Zelowa. Staliśmy przy kościele ewangelickim, za nami była znana piekarnia Smetana. Na dziedzińcu kościoła stała stara drewniana plebania. Przed kościołem, po drugiej stronie ulicy, młody Żyd sprzedawał lody, własnej roboty, zelowskie. Miał rower i ciągnął za sobą wózek z lodami. Kiedy zobaczył dużo ludzi razem, zatrzymał się i zaproponował swoje lody.
Bardzo mi smakowały, były to najsmaczniejsze lody jakie kiedykolwiek jadłem. Ich smak pamiętałem jeszcze długo, przez wiele lat.
Ludzie przychodzili i kupowali, przeważnie rodzice z dziećmi. Lodziarnia tego Żyda słynęła z dobrych lodów. Obok lodziarza, kilku chłopaków awanturowało się i chciało darmowe lody, ale im ich nie dał. Chłopcy zaatakowali lodziarza i doszło między nimi do bójki. W obronie lodziarza stanęli także obecni tam żydowscy młodzieńcy. Któregoś dnia jeden z takich, agresywnych chłopców, chwycił za koło wózka i przewrócił go. A gdy lody leżały na ziemi, chuligani gonili i bili się nawzajem z Żydami. Popłynęła krew. Byłem przerażony tą bójką, bałem się, że też zostanę kopnięty lub uderzony.
Niezaczepiony jednak przez nikogo, ruszyłem w stronę pobliskiej piekarni Smetanów. Z niecierpliwością czekałem na zakończenie walki pomiędzy chłopakami. Najbardziej żałowałem lodów.
Kiedy dorośli to zobaczyli, odwrócili się i odeszli.
Mówili: - Jude, Jude, Żydki! Smród unosi się nad Żydami!
Nie mogłem zrozumieć, dlaczego „smród unosi się nad Żydami”, skoro robili tak doskonałe lody.
Pomyślałem sobie: - mam znajomego Żyda, syna pani Wigdowej, a on wcale nie śmierdzi.
Kiedy wróciłem do domu i spotkałem go, nic mu nie powiedziałem, ale powąchałem go, żeby zobaczyć, czy śmierdzi, ale pachniał tak samo, jeśli nawet nie ładniej, niż ja.
Podczas gdy młodzi mężczyźni kłócili się, a następnie bili, ktoś wezwał Policję, która rozproszyła uczestników zamieszek. Lodziarz podniósł czarny kapelusz, który Żydzi nosili zawsze na głowie, podniósł przewrócone naczynia, postawił wózek na kołach, wytarł kurz z ubrania, wsiadł na rower i odjechał.

****

Żydzi.

Aby odróżnić się od innych, Aryjczyków, Żydzi musieli nosić żółtą gwiazdę na plecach i klatce piersiowej. Gwiazdę tę w naszym kraju nazywano Gwiazdą Dawida. Żydzi mogliby być z niej dumni, gdyby nie była oznaką niemieckiej pogardy dla nich i zwiastunem zbliżających się cierpień. Ta żółta gwiazda „Dawida" zapowiadała ich śmierć. Niemcy jako okupanci zachowywali się tak, jakby Polska już dawno należała do nich. Występowali także w roli tych, którzy mają prawo decydować o życiu lub śmierci kogokolwiek. Nadszedł czas, na który nie byliśmy przygotowani. Dla Żydów szybko już katastrofa .Tutaj byli zarówno w kotle, jak i w fortecy, z której nie ma ucieczki.
W każdym mieście powieszono po dziesięciu Żydów. W Zelowie Niemcy wybrali też dziesięciu spośród najbogatszych Żydów, których przeznaczyli na publiczną egzekucję przez powieszenie. Mówiło się, że Żydzi z Zelowa oferowali Niemcom kilogram złota wykupu za każdego Żyda przeznaczonego do powieszenia, lecz Niemcy odrzucili tę ofertę.
Myśleli: - I tak wydobędziemy od was złoto. Zrealizujemy nasz plan i nikt nas nie powstrzyma, ani wasz Bóg, ani wasze złoto. Nasz producent lodów był jednym z tych, których przeznaczono na śmierć. Egzekucja miała się odbyć na rynku w Zelowie. Żydzi sami musieli ustawić szubienicę dla dziesięciu skazańców.

****

Powieszenie dziesięciu Żydów w Zelowie.

W tym dniu, w którym powieszono dziesięciu Żydów na głównym placu - zelowskim rynku, na niebie nie było ani jednej chmurki, przynajmniej nie było nad Faustynowem. Nie było żadnych łez po powieszonych Żydach w Faustynowie, i to nie tylko w żydowskich rodzinach Wigdów i Pesków. Nasz ojciec także tego dnia pojechał do Zelowa. Chciał pożegnać się po cichu ze swoim, stałym żydowskim fabrykantem. Fabrykant na pewno go nie widział w tłumie stojących , ale tata go widział, stojącego pod szubienicą...
Tata powiedział po powrocie do domu: - To byli dumni ludzie. Byli dumni, że choć stoją na szubienicy, są Izraelitami, narodem wybranym, ludem pokolenia Abrahama, narodem dumnym. Ci, którzy dzisiaj dokonują egzekucji, to nic innego jak okrutni Goje, wściekłe psy. Żydzi, choć stali na szubienicy i mieli już pętle na szyi, wyglądali odważnie, wręcz jak rycerze. Spojrzeli w górę, na niebo; czy patrzyli na łono Abrahama?

Kiedy tata stał tam przed tym potwornie strasznym wydarzeniem, jego życie odtwarzało się przed jego oczami jak film, zwłaszcza ta część jego życia, w której pracował dla Żyda, a którego mieli teraz powiesić na szubienicy! Każdy, kto stał na placu, był zmuszony oglądać egzekucję. Tata był jednym ze świadków i „widzów", którzy musieli, choć mimowolnie, oglądać straszliwą rzecz, której ojciec nigdy już nie zapomniał. Ale nie chciał jej pamiętać i nie chciał o niej rozmawiać. Rynek zelowski nie jest duży, a szubienica została być zbudowana gdzieś tak pośrodku. Tata wyraźnie widział, jak jeden Żyd za drugim wspinał się po rusztowaniu. Każdy z nich stał pod ich pętlą. Po chwili przyszło kolejnych dziesięciu Żydów i to oni musieli założyć skazańcom na szyje - przygotowane już pętle.
Żydówkom nie wolno było nosić chust na głowach, aby nie ocierać łez. Ani kobietom, ani mężczyznom nie wolno było płakać nad straconymi współplemieńcami.
Płacz był zabroniony! Ci, którzy stali na szafocie, czekając, aż zostanie wyciągnięta spod nóg ławka, na której stali, nie mieli widocznego na twarzach strachu przed śmiercią.
Gestapowcy stali z rękami wzniesionymi w salucie: „Heil Hitler". Gdy to mówili, Żydzi wyznaczeni do przeprowadzenia egzekucji na swoich braciach, przewrócili ławę, na której stało

dziesięciu odważnych Izraelitów, i przed całym zgromadzonym tam Zelowem, ale także pod Niebem, zawisło dziesięciu niewinnych synów Abrahama.

Powieszono ich, bo hitlerowcy, okupanci chcieli mieć widowisko, chcieli się zabawić, zaspokoić swoją żądzę krwi. Wystarczająco dużą, aby zrobić radość dla ich przywódcy, Adolfa.
I działo się tak w wielu polskich miastach, w których mieszkali Żydzi. Nad obecnymi czuwała Policja i Gestapo, a także Niemcy w cywilnych ubraniach, nie okazujący żadnej, najmniejszej litości dla mordowanych publicznie Żydów. Niemcy nie mogli jednak kontrolować tego, co ktoś myślał o nich i ich zbrodni. Nie potrafili zaglądać do ludzkich serc.
Ludzie z głębi serca gardzili tymi nadludźmi. Ale nadludziom nie przeszkadzało to, dopóki tego nie słyszeli.

Naszej babci też było tego dnia smutno, miała w Zelowie żydowskich znajomych, którym czasami przynosiła jajka i inne produkty spożywcze. Powiedziała sobie:
- Rano na niebie tu i ówdzie były jeszcze chmury, ale teraz niebo jest tak błękitne, jakiego prawdopodobnie nigdy wcześniej nie widziałam. O, nieszczęsny Zelów! Czego on dzisiaj był świadkiem?! Dziś powieszono tam dziesięciu Żydów! Dzisiejsze niebo było świadkiem tak strasznej rzeczy.
Babcia patrzyła dalej w niebo i po chwili mówiła dalej do siebie:
- Dlatego niebo jest takie niebieskie, żeby ci, którzy dzisiaj byli zamordowani, mogli zobaczyć drogę do nieba. Aby zobaczyć, dokąd idą, nawet chmury ustąpiły im z drogi. Ale czyste i błękitne niebo jest także po to, aby Bóg mógł ich zobaczyć, nawet na szubienicach. Ale On ich by widział, nawet jeśli niebo byłoby zachmurzone lub noc była ciemna. Żadne przeszkody nie mogą stanąć na drodze Pana Boga, aby przyćmić Jego spojrzenie na ludzkie cierpienie.
Ale dlaczego mieliby to być Żydzi, naród wybrany? Okropności zaczęły się od Żydów a zakończą się na nas.
Panie Boże, Ty patrzysz na ludzi, którzy cierpią, ale patrzysz także na tych, którzy powodują ból. Nawet oni nie uciekną przed Twoim sądem, nawet jeśli ukryją się w grobie, w bunkrach, w Berlinie lub na dnie najgłębszego morza!

Babcia w ogóle nie zauważyła, że stoję obok niej i słucham, co mówi, jakby się modliła. Podczas gdy powieszeni Żydzi wisieli na głównym placu Zelowa, inni musieli wykopać wspólny grób na podwórzu kilka domów od apteki. Żydzi musieli zdejmować zamordowanych, zabrać ich do wspólnego grobu, posypywać wapnem i zasypywać ziemią. Wszystko to działo się pod nadzorem policji niemieckiej i Gestapo. Przez kilka miesięcy na podwórze, miejsce zbiorowej mogiły ofiar, nie wpuszczano nikogo poza Niemcami.
Kiedy ojciec wrócił z Zelowa, powiedział, że było to coś tak strasznego, że nie da się o tym mówić. Powiedział:
- W ogóle nie mogę zrozumieć, jak Niemcy mogli upaść tak nisko, jak mogli dokonać tak z zimną krwią, takiej zbrodni! Ta ich potworność, z przyjemnością i bez mrugnięcia okiem patrzeć na cierpienia tych niewinnych Żydów? To jest ten czas, którego się doczekaliśmy!
Ludzie odeszli od Boga, dlatego piekło i jego czarni aniołowie zstąpili na ziemię. A więc to nas czeka? ! Miejmy nadzieję, że Bóg zlituje się nad nami i ponownie zamknie bestię w jej podziemnym świecie.

Dzień, w którym powieszono tych dziesięciu Żydów na rynku w Zelowie, był także dla mnie dniem bólu. Znałem tego fabrykanta, co pracowaliśmy dla niego i był dla nas miły, od niego miałem materiał na spodnie. Tego dnia założyłem te spodnie na znak smutku, na pamiątkę…
Patrzyłem na błękitne niebo. W mojej dziecięcej fantazji było tak, jakbym znów widział niebo wrzące nad Zelowem i dziesięciu wisielców wspinających się do niego, żeby się napić.
I znów było tak, jakbym zobaczył, że w Zelowie ziemia się gotuje, a Niemców pochłonęło piekło. Takie też było moje życzenie.

****

Faustynów żegna się z Żydami.

W żydowskiej rodzinie Wigdów na Faustynowie, wśród małoletnich dzieci niewiele mówiło się o tym, że Żydzi w okupowanych krajach przeżywają trudne chwile i że ich życie jest poważnie zagrożone. Żyd Wigda powiedział:
- Historia pamięta, wie, co nas czeka. Wielokrotnie nas przed tym ostrzegano, ale to, co nas teraz czeka, prawdopodobnie nigdy jeszcze nie wydarzyło się w historii judaizmu.
I otarł łzy z oczu.
Pomiędzy Żydem Wigdą a Czechami na Faustynowie, zawsze panowały dobre stosunki, a siła tej więzi okazała się szczególna w najtrudniejszym dla Żydów czasie. Mój żydowski przyjaciel był bardzo otwarty, spostrzegawczy. Wystarczyła mu atmosfera w domu, wystarczyło zasmucenie ojca, albo milczenie matki, a on już domyślał się, ale nie tylko domyślał, wiele potajemnie podsłuchiwał z rozmów ojca.
Pewnego dnia siedzieliśmy niedaleko jego domu nad brzegiem potoku i wtedy on mi powiedział:
- Nam, Żydom, źle. Myślę, jak moglibyśmy uniknąć tej nieszczęścia?
Wigdowie nie mieli tyle pieniędzy, żeby starczyło na przeprowadzkę do Ameryki czy choćby do Szwajcarii. Wszyscy Żydzi zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji, ale nawet dla bogatych Żydów było już za późno na ucieczkę z tego piekła. Bogaci Żydzi zelowscy nie mogli nic zrobić, aby uciec przed toczącym się, śmiercionośnym głazem, przed tym strasznym horrorem i tragedią!
- Na horyzoncie rysuje się dla nas zła przyszłość, właściwie żadnej przyszłości! I jak uciec z tego piekła? Chronić nas może tylko Bóg, na którego nawet nie liczymy. Przeżyliśmy własne życie. Nasz ojciec nosi Tablice Aarona na czole i na tym polega cała nasza pobożność – powiedział ze łzami w oczach syn Wigdy, Srulek (zdrobnienie od imienia: Izrael).
Kiedyś podsłuchałem rozmowę naszej babci z sąsiadką, która często przychodziła do naszego domu. Nie chciałam, żeby babcia mnie tu widziała, bo wtedy z pewnością miałaby zastrzeżenia do opowiadania tej historii. Sąsiadka tylko pokiwała głową. Stałem za bzem, żeby babcia mnie nie widziała. Nasza sąsiadka Maria Malinowska stała obok mojej babci, babcia jej powiedziała:
- Wiesz, Mario, nadeszły na nas wszystkich ciężkie czasy! Najpierw Żydzi, potem wy, Polacy, a po was my, Czesi, albo mogłoby być odwrotnie, lub nawet w tym samym czasie, bo ja myślę, że Wigdy i Pestkowie nie będą długo w pobliżu nas, kiedy powiesili dziesięciu bogatych Żydów w Zelowie. Teraz wyobraź sobie, że całe rodziny, które tu są od Abrahama, zostaną wymazane. Skończą się tak, jakby nigdy nie było ich na ziemi. To straszna myśl, że rodzina z bogatą przeszłością przestanie istnieć. Nie wyobrażam sobie tego, Mario – mówiła moja dalej babcia
- Jestem tu dzisiaj taka zmęczona, bo nie mogłam spać całą noc – odpowiedziała babci pani Malinowska - córka rano mi zasugerowała coś, co jej mąż powiedział, że z Żydami jest źle, że ich dni są policzone.   W Łodzi i innych miastach buduje się duże więzienia, ogrodzone drutami elektrycznymi. Kto dotknie tych drutów, natychmiast ginie, nikt nie będzie mógł stąd uciec.
Babcia odpowiedziała na to, co powiedziała jej sąsiadka:
- Nigdy nie słyszałam, żeby tak strzeżono więzienia. Człowiek jest zatem czymś mniejszym niż zwierzę. Jak Niemcy mogą tak źle czynić?! Ale myślę, że ci tutejsi, którzy mieszkają w Zelowie, na Kurowie, nie połączyliby się z czymś takim, aby popełnić takie okrucieństwa, czyż nie?
Nie rozumiem tego. Jest to prawdopodobnie dzieło tych Niemców, którzy przybyli tu jako żołnierze z Niemiec. Nasi Niemcy nie mogą tego zrobić, ludzie by ich rozpoznali i oni wstydziliby się.
Babcia wciąż nie mogła sobie tego wyobrazić, choć wiedziała, co się stało z Żydami w Zelowie…

Spotkałem ponownie najmłodszego syna Wigdów. Nie wiem dlaczego, ale miałam poczucie, że

jestem w lepszej sytuacji niż mój przyjaciel. Lubiliśmy razem przesiadywać nad ich strumieniem, były ryby i raki, ale wtedy ich nie łapaliśmy. Teraz opowiedział mi to, co powiedział mu ojciec:
- Tata mi powiedział, że będziemy musieli przeprowadzić się do Łodzi. Łódź to duże miasto, może będziemy mieli tam lepszy dom, tak nam mówi tata, ale w to nie wierzę! Słyszałem, jak moi rodzice i starsze rodzeństwo rozmawiali ze sobą, że to jest dla nas Żydów, bardzo trudny czas, że nawet nie potrafiliśmy sobie tego wyobrazić. Tylko, że oni nadal nie wiedzą o tym, że potajemnie ich podsłuchałem, mówili o Łodzi jako o obozie koncentracyjnym, do którego ściągano Żydów z całej Polski.
Nie wiem, czy tym go uszczęśliwiłem, gdy mu powiedziałem:
- Nie martw się, ja też będę mieszkać w Łodzi, gdy dorosnę to na pewno przyjadę do Ciebie. Wtedy albo pójdziesz za mną, albo znowu przeniesiemy się do Faustynowa.

Na niebie nie było gwiazd ani nie świecił księżyc, choć powinien świecić. Niebo było zasnute czarnymi chmurami. Wigda i jego rodzina poszli spać dość późno.
Najpierw musieli odmówić wieczorne, domowe modlitwy. Wigda przywiązał sobie na czole skórzane pudełko (Tefilim), w którym trzymał miniaturowe tablice Prawa, uklęknął na glinianej podłodze i skłonił się głęboko przed Panem. Następnie wezwał całą rodzinę do oddania czci Panu. Nabożeństwo trwało dłużej niż zwykle. Wigda powiedział:
- Nie mamy czasu spać.
Po odprawionym nabożeństwie poszli spać, a było już około północy.
Srulek wcześniej po rozmowie ze mną, umówił się z Andršem z Suchego Końca, że przyjedzie do nich do domu porozmawiać.
Około drugiej w nocy słychać było szczekanie psów. Dom Wigdów został otoczony przez Gestapo. Przy drzwiach stało dwóch funkcjonariuszy Gestapo, przy każdym oknie stał jeden gestapowiec, pozostali chodzili po domu z psami. Psy szczekały, sąsiedzi nie mogli spać, wyglądali przez zasłonięte okna i mówili:
- Niemcy przyszli po Wigdę. Gestapo pukało do drzwi!
Wigda otworzył drzwi i weszli Niemcy. Dali im godzinę na zabranie tego, co mogli w tej godzinie zabrać. Dwóch gestapowców wciągnęło obydwie córki Wigdy do stodoły i tam je zgwałcili.
W ciągu godziny Gestapo nakazało Wigdzie zaprzęgnąć konia do wozu, załadować dobytek i pod konwojem odjechać.
Dokąd oni teraz pojadą? Do Łodzi, gdzie też był obóz zagłady, czy do innego obozu koncentracyjnego? Nigdy więcej się tego nie dowiemy.
Strach padł na ludność Faustynowa. Było już powszechnie wiadomo, co Niemcy robili z Żydami. Pozostali tu jeszcze Pestkowie, trzy Żydówki, stara matka i dwie starsze córki. Nikt nie wątpił, że po nich też przyjdzie Gestapo. Nie mieli co do tego wątpliwości. Stara Żydówka powiedziała:
- Jesteśmy tu w Europie od wielu stuleci, nasze rody, sięgają Abrahama. Bóg prowadził naszych ojców z egipskiej niewoli przez nieszczęścia asyryjskie, babilońskie, midiańskie i rzymskie; czytamy to w Świętych Księgach pozostawionych nam przez naszych Rabinów. Ale Niemcy pod wodzą Hitlera wykorzenią nas do ostatniego Żyda. Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba rozgniewał się na nas. Cóż złego uczyniliśmy, że ludzie tak bardzo nas nienawidzą? Jesteśmy straceni! Dziesięciu z nas powieszono w Zelowie na szubienicy! Wśród nich był daleki krewny mojego zmarłego męża. Dlaczego muszę tu czekać na takie okropności, czy też Bóg zapomniał o nas, swoim wybranym narodzie, którego wziął wydał oprawcy?
Córki z niepokojem słuchały tego, co mówiła im matka. A wyglądało to tak, jakby staruszka nie zauważała swoich córek, nie rozmawiała z nimi.
Rozmawiała z Bogiem Izraela, bo oczy jej były podniesione.

Ludzie zadawali sobie pytanie, jak długo Pestkowie tu zostaną? Chcieliby pomóc im tu zostać, ale nie było to w ich mocy.
Starsza pani znów przypomniała sobie męża, jak tu, na Mokrym Końcu prowadził zajazd, czasami jeździł z Wigdą do Zelowa, żeby mu pomóc w pracy przy transporcie.

- Idźcie spać, moje córki. Może ta noc będzie ostatnią i może nawet nie będziemy tu siedzieć całą noc. Po Wigdów, Gestapo przyjechało w środku nocy, a kiedy po nas przyjdą? Na pewno Gestapo się nie boi, żebyśmy uciekli. Dobrze, że Srulek Wigdów uciekł gestapowcom. Dziękuję ci mężu, że nie czekałeś się na ten potworny czas. O, błogosławieni i uwielbieni są umarli. Dziękuję Ci Boże, że mój mąż jest już na łonie Abrahama, że nie dożył tych dni terroru i poniżenia. Ile to jeszcze bólu przed nami? Kto da mi odpowiedź na te pytania, kto ma na nie odpowiedź?
- pytała pani Pestkowa. Nie, nie czekała na odpowiedź. Tutaj… Czy w końcu kierowała swoją modlitwę do swego Boga, który milczy na wołanie Żydów?
- Niebo jest jak z ołowiu, żaden krzyk Żydów nie przenika nieba. Gdzie się znaleźliśmy? Czy nasi ojcowie zgrzeszyli? Czy zgrzeszyliśmy? Czy nie ma u Ciebie miłosierdzia i przebaczenia, Ojcze Niebiański? Jestem po prostu starą Żydówką i nie rozumiem już, co mówi do nas Pismo Święte. Nie, nie ma odpowiedzi na moje pytania, a gdyby ktoś odpowiedział, to bym mu nie uwierzyła. Nie mamy odpowiedzi na to, co się teraz dzieje z nami, Żydami" – wołała stara pani Pestkowa...

Na Faustynowie zostało jeszcze troje Żydów, niepewnych swoich dni. Każdy, kolejny dzień, przyjmowali jako łaskę Bożą.
- Aby i po nas przyszli, nie mam już siły czekać, aż Gestapo wyważy nasze drzwi – powiedziała pani Pestkowa. I czekała...
Przyjechało Gestapo, załadowało kobiety na wóz drabiniasty i zabrało je do Zelowa, aby dołączyły do następnego transportu.
Pozostała po nich tylko pośpiesznie kiedyś, zbudowana mała chatka, ziemianka.
Gestapo zamknęło w niej drzwi i okna.
Potem z innymi chłopcami, chodziliśmy po tej chatce i ogarniał nas strach. Dlatego chcielibyśmy powiedzieć Żydówkom: - Wybaczcie nam, że kiedykolwiek Was obraziliśmy.
Ale już nie było komu tego powiedzieć, ani kogo przeprosić…

Srulka Wigdę uratowało bycie poza domem. Srulka pragnęli w Faustynowie ukryć i przechować zarówno Czesi, jak i Polacy, i żaden z nich go nie zdradził, mimo że Niemcy wszędzie szpiegowali. Miał kryjówkę domową niedaleko domu Valtów, niemal naprzeciwko spalonej szkoły we Faustynowie. Miał w lesie dobrze zrobioną kryjówkę, tak przebiegle ukrytą, że nikt postronny nie mógł jej wypatrzeć, nawet Niemcy.
Srulek długo ukrywał się przed Gestapo, korzystając z pomocy mieszkańców Faustynowa, zwłaszcza rodziny Valtów. Syn pana Valty, Władek, pracował w Niemczech ze swoim bratem, który był żonaty z siostrą mojej matki, Amalią. Stara paniValtowa i jej córka Berta pozostały u rodziny w Faustynowie i stały się oparciem dla ukrywającego się Srulka. Jadł u nich i miał wszelkie „wygody", jakie mogła mu zapewnić uboga rodzina w czasie wojny. Ale mógł liczyć na pomoc u każdego na Faustynowie.
Niezamężny Władysław Valta przebywał w Niemczech na robotach, gdzie poznał Polkę, która była z nim w związku. Musiała opuścić Niemcy i przyjechać do Faustynowa, do rodziny Valtów, gdzie miała urodzić dziecko ze związku z Władkiem . A to była najgorsza rzecz, jaka mogła się wydarzyć. Biedny Srulek nie miał pojęcia, że ta kobieta może być dla niego niebezpieczna. Policja była częstym gościem w Fausty- nowie. Nikt nie wątpił, że ich wizyta i „goszczenie" się na wsi miało tylko jeden cel: znaleźć i złapać Żyda Srulka. Niemieckiej Policji trudno było znaleźć jego kryjówkę, ze względu na „zmowę milczenia" wieśniaków. Szukali sojusznika, który zdradzi im miejsce, gdzie ukrywa się Srulek. W końcu znalazł się Judasz...
Wszyscy w Faustynowie dobrze wiedzieli, że Srulek najczęściej przebywa u Valtów i tam jada. Samo położenie jego kryjówki było nieznana i ludzie woleli o tym nie wiedzieć.
Nawet po jego schwytaniu nie odnaleziono kryjówki…
W końcu Niemcy znaleźli go w domu u Valtów, gdzie jadł. Policja widziała, kiedy ktoś do nich przyszedł i został. Znienacka weszli do domu… Zakutego w kajdanki zawieźli na wiejski posterunek w Kurowie. I tak biedny Srulek wpadł w ręce Niemców.

Wydarzenie to było ciosem w społeczność Faustynowa. Jego mieszkańcy długo nie mogli otrząsnąć się z szoku.

Srulek przebywał przez jakiś czas w Kurowie, na posterunku, gdzie na podwórku siedziby Policji kopał dla Niemców studnię na wodę. Kiedy pojechałem do Ignacowa, musiałem przejeżdżać przez Kurów, drogą obok Policji. Wiadomo mi było, że Srulek kopie tam studnię. Chciałem go jeszcze raz zobaczyć. Celowo pojechałem do Ignacowa i kiedy zbliżałem się do posterunku, jechałem powoli.
Z reguły zawsze jechałem po prawej stronie strony ulicy, ale tym razem jechałem lewą stroną, tak, aby może po raz ostatni, zobaczyć mojego przyjaciela. Bałem się przejeżdżać obok Policji. Widziałem, jak ktoś wyrzucał piasek z głębiny studni, to musiał być Srulek, ale go nie widziałem. Niedaleko studni stał ubrany w czarny mundur mężczyzna uzbrojony w karabin, z psem. Ostatecznie Srulek wraz z rodziną trafił do obozu koncentracyjnego!
Policja zapewne zemściła się na nim za to, że tak długo ukrywał się w Faustynowie i nie mogli go schwytać.
Kiedy Władek Valta wrócił po wojnie z robót i dowiedział się, co zrobiła jego żona, wyrzucił ją precz z domu…

****

Strach.

Kiedy Policja schwytało Srulka, ludność Faustynowa i Sikawicy po raz kolejny przeżyła smutne i niepewne dni.
Minęło trochę czasu, zanim ujawniono sprawcę, który doniósł Niemcom o Srulku.
Początkowo nikt nie przypuszczał, że może to być ktoś z domu, w którym Srulek najczęściej przebywał, jadł. Ludzie przestali sobie ufać. Nie wiedzieli, kim jest ów zdrajca, dokąd się przemieszczał i jakie miał inne zamiary. Snuto różne domysły, co spowodowało, że Niemcy w końcu złapali nieszczęśnika. Być może Niemcy złapali go bez ostrzeżenia; może poczuł się bezpiecznie wśród ludzi i przestał być ostrożny? No, bo kto byłby zainteresowany donoszeniem? Albo naprawdę był pomiędzy nami zdrajca?
Wciąż poszukiwano sprawcy. I odnalazł się. Córka Valty Berta, która najbardziej troszczyła się o Srulka, była zszokowana, gdy okazało się, że Judaszem jest ich szwagierka.
- Ty zdradziłaś Srulka?! Jak mogłaś to uczynić?
Ale ona zaprotestowała: - Jak mogłam go zdradzić? Mieszkam tu z wami już kilka miesięcy, żyjemy pod jednym dachem i przyjaźnimy się, jak mogłabym go wydać Niemcom?
Berta jej odpowiedziała: - Mogłaś go wydać i wydałaś go! Kiedyś się pokłóciłyśmy o Srulka, a potem widziałam, jak źle patrzysz na niego.
W końcu ta się przyznała, że doniosła na Gestapo.
Ludziom ulżyło, że sprawczyni została ujawniona, a kobieta mimo że wśród nas mieszkała – nie była stąd…

****

Bestia 666

Ludzie spędzali długie, zimowe wieczory przy świecach i naftowej lampie.
Sąsiedzi zbierali się, siadali przy rozgrzanym piecu i dyskutowali o sytuacji na świecie, zwłaszcza o tym, co dzieje się na liniach frontu. Wśród ludności krążyły różne doniesienia o tym, jak daleko na wschód od nas znajdowała się armia radziecka i ile czasu zajmie jej dotarcie do nas, jeśli będzie posuwać się z taką szybkością, z jaką dotychczas posuwała się naprzód. Ludzie chcieliby przyspieszyć natarcie wojsk radzieckich. Oprócz tego, ludzie opowiadali bajki, a także rozmawiali

o tym co, gdzie, kiedy miało miejsce i historie o... nawiedzeniach.
Bałem się ich nawet leżąc w łóżku. Dlaczego nawiedzają nas duchy? Czasami były to kompletne horrory, ale i tak lubiłem ich słuchać, choć bałem się bardzo.
Toczyły się też poważniejsze dyskusje na tematy opisane w Biblii.
Ludzie mówili, że Hitler był współczesnym Nabuchodonozorem, który w swoich czasach był plagą Izraela; Hitler potrafi być plagą i karą lub sądem za naszą niewierność.
- A kiedy zakończy się Sąd Boży nad nami i czy w ogóle się skończy? Czy doczekamy się lepszych czasów?
Ludzie zadawali takie pytania i na swój sposób na nie odpowiadali.
Biblia, zwłaszcza Objawienie - Apokalipsa św. Jana, była dla nich wiarygodną odpowiedzią. Rozważali, filozofowali i interpretowali ją na różne sposoby. Interpretacja zawsze była dla nas korzystna.
- Hitler i jego Gestapo, to jest bestia, która miała się pojawić na świecie!
Bestia, która nosiła znak - liczbę „666". Ludzie odczytywali ten numer z … insygniów na mundurach Gestapo.
Wiele osób zastanawiało się teraz nad znaczeniem życia. Czy jest sens ukrywać się przed Gestapo i nie cierpieć po ludzku, jeśli Gestapo i tak Cię w końcu dopadnie? Ale krzepki, stary Glovacki był innego zdania i sprzeciwiał się teoriom o rezygnacji.
- Rezygnacja to najgorsza rzecz, jaka może nas w tej chwili spotkać. Głowy do góry, bracia! Pomoc nie nadchodzi z dołu i nie widzimy tam niczego, co mogłoby nas zadowolić.
Naszym wyjściem jest spojrzenie w górę, ponad chmury. I nie bójmy się tej dzikiej, bestii „666."
Z nami jest przecież Ten Silniejszy niż bestia!
Nikt nie pomyślał odważyć się, żeby powiedzieć:
- Przecież gdyby Bóg istniał, nie byłoby takich katastrof, nie byłoby tylu zabitych niewinnych ludzi, nie byłoby tyle krwi i łez. Gdyby istniał Bóg, bestia z liczbą „666" nie wyszłaby z czeluści Otchłani na świat.
W Faustynowie i nie tylko w Faustynowie mówiono, że jest to ostatni raz, kiedy św. Jan pisze w Apokalipsie:
- Któż inny mógłby być tą bestią, jeśli nie Adolf Hitler i jego Gestapo! Żyjemy w czasach ostatecznych! Łańcuchy bestii zostały rozwiązane, a bestia w końcu wypuszczona na zmiażdżenie. Ale kiedy nastąpi zmiażdżenie bestii? Czy to zobaczymy?

Glovacky ponownie zaproponował rozwiązanie, interpretację przepowiedni:
- Wypuścić bestię „666" oznacza to także, że czas końca nadchodzi i mamy oczekiwać powtórnego przyjścia Pana Jezusa. Wraz z nim nadejdzie nowa era, będzie to raj na ziemi! Jest więc na co czekać!
Ale jedna z niecierpliwych sąsiadek powiedziała mu:
- Panie Glovacky, jak może nam pan wytłumaczyć Raj, kiedy Niemcy łapią ludzi i wywożą ich do Rzeszy. Nie zobaczymy tego raju.
Jednak Glovacky nie był zaskoczony wypowiedzią kobiety i powiedział jej:
- Wiesz Mario, kiedy ktoś jest chory, oczekuje uzdrowienia. Po złym czasie przychodzi dobry lub lepszy czas, a po dobrym czasie możemy spodziewać się gorszego czasu i tak właśnie się dzieje z nami dzisiaj.
Sąsiadka już nie odpowiedziała wiedziała, że nikt poza Janem Němcem nie przekona Glovackiego, że jest inaczej.

W Apokalipsie św. Jana ludzie znaleźli wyjście z teraźniejszej sytuacji. Było to dla nich także źródłem nadziei. Przynajmniej w przypadku mieszkańców Faustynowa, którzy wierzyli, że Bóg jest Najwyższy, Prawdziwy Bóg. Chociaż nie wiedzieli i nie mogli zrozumieć dlaczego, wiedzieli, że za to zło na świecie nie można winić Pana Boga.
Perspektywa powtórnego przyjścia Pana Jezusa dodała ludziom sił do przetrwania trudów życia, jakie przyniosła im wojna.

Uwielbiałem słuchać przyjaciół mojego taty, którzy przychodzili i opowiadali nam historie o duchach oraz wspomnienia ze swojej młodości, ale najbardziej podobało mi się to, co opowiadali sobie nawzajem na podstawie Apokalipsy św. Jana. To było bardzo interesujące:
powtórne przyjście Pana Jezusa dla swoich wiernych. Ja też chciałem być wśród wiernych, dlatego odmówiłem Modlitwę Pańską, z jeszcze większą pilnością i modlitwę „ Wierzę w Boga", potem więcej innych modlitw. Ale nie zostały nam modlitwy. Śpiewaliśmy też dużo pieśni religijnych. Zanim poszliśmy spać, każdy mógł zasugerować swoją ulubioną pieśń i prawie wszyscy zaproponowali lubiane przez siebie pieśni.
Na koniec zaśpiewaliśmy pieśń: „Tam ponad gwiazdami na niebie mam Ojca. Czy tam ponad gwiazdami pójdę jeszcze?"

Polscy katolicy też nie pozostali w tyle, oni także szukali pomocy z „Drugiej Strony".
Pewnej nocy Maryja objawiła się dwudziestoletniej dziewczynie:
- Wielkie łzy spływały po jej twarzy, świecącej jak słońce. Ale poza mną nikt inny nie widział tego blasku. Dziewica Maryja poleciła jej przekazać przesłanie swoim czcicielom:
- Modlę się za Ciebie, za Was, za całą Polską, razem z moim Synem. Powiedz moim czcicielom, że przed nimi świetlana przyszłość, wkrótce nadejdzie kres ich cierpień.
Przychodziło tam do tej dziewczyny wielu pielgrzymów, ale tylko potajemnie, żeby Niemcy się o tym nie dowiedzieli.
Dziewczyna zachęcała pielgrzymów, aby coraz cieplej oddawali cześć Najświętszej Maryi Pannie. Wielu Polaków widziało w tym nadzieję, że Maryja Dziewica ich nie opuści, że za swoim wstawiennictwem u Chrystusa, przyczyni się w dającej się przewidzieć przyszłości do położenia kresu ich cierpieniom.
Jeden Czech z Faustynowa powiedział:
- To dziwne, Niemcy są zaślepieni, nie rozumieją, że oszukał ich demon zła. Ich przywódcą jest diabeł wcielony, bestia wypuszczona z piekła i jego Gestapo to jej, bestii upadłe anioły, nosiciele śmierci. Jak jakikolwiek naród może być tak zaślepiony!?
Jan Němec mu powiedział: - Spójrz na Zerbego, spójrz na Arendta z Fraszki, to też Niemcy a kogo oni skrzywdzili? To pobożni ludzie. A ilu ich jest w Zelowie i w całych Niemczech?
Oni nie zgadzają się z Hitlerem, nawet jeśli ich synowie muszą ginąć na linii frontu!
Nie można wrzucać wszystkich Niemców do jednego worka.
Mieszkaniec Faustynowa podrapał się po głowie i odpowiedział:
- Janie, nie bez powodu nosisz nazwisko „Niemiec."
I dyskusja została zakończona. Ale te dwa „koguty" nie przekonały się nawzajem…

****

Ojciec złapany i zabrany...

Nikt nie mógł być pewien, że będzie sobie spokojnie żyć, pozostając niezauważony przez Niemców.
Stało się to tuż przed żniwami, zboże było wysokie, więc łatwo było się w nim ukryć. Była sobota, babcia dzisiaj nie gotowała, leżała bo źle się czuła. Gotowaniem zajmował się tata, który potrafił ugotować doskonałe pierogi. Były smaczne, nawet bez omasty. Po obiedzie tata poszedł do przyjaciela na wieś, do Faustynowa.
Około drugiej po południu rozległo się niezwykłe szczekanie psów, ale nie były to wiejskie psy. Wyszedłem zobaczyć co się dzieje i pierwszy raz w życiu widziałem, jak
Gestapo i Policja z karabinami gonili za ludźmi tak, jak za zwierzyną na polowaniu.
Miejscowa ludność uciekała przed Niemcami w zboże i przez zboże do lasu. Niektórym się udało, innym nie udało się uciec; naszemu ojcu się to nie udało.

Ojciec nie wrócił do domu.
Czekaliśmy na niego do wieczora. Babcia nie spała całą noc. Rano nadal go nie było - nie wrócił. Nikt z nas nie wiedział, co mogło mu się przydarzyć. Ojciec był chory, bolały go nogi, przez co długo nie mógł chodzić, a co dopiero biegać. Babcia wysłała mnie do kolegi taty do Faustynowa, dokąd czasami chodził, żeby się dowiedzieć, czy tam nie był. Poszedłem tam, powiedzieli, że nasz tata odszedł od nich wczoraj dość wcześnie. Przed wyjściem powiedział:
- Idę do domu, wracam, nie będę dłużej u was tutaj, nie wiem, co się dzieje na wsi, lepiej będzie, jak wrócę w domu.
I odszedł. A znajomy nie powstrzymywał go, ponieważ był do tego przyzwyczajony. Powiedział mu: - Dom jest stary, stoi na pewno, nie masz się gdzie spieszyć.
Tata nie martwił się, że zostanie zabrany. Kilkukrotnie grożono mu wywiezieniem do Niemiec, jednak za każdym razem ze względu na chorobę, zły stan zdrowia, był zwalniany.
Tylko nie tym razem.
Schwytanych ludzi załadowano na ciężarówki i wywieziono do Pabianic, gdzie umieszczono ich w więzieniu. W ciągu około trzech dni wszyscy musieli przejść badanie lekarskie. Zdrowych zabierali do Niemiec. Nasz tata został uznany za niezdolnego do pracy.
I tak, wypuścili go po kilku dniach.
Ale w tym czasie nie wiedzieliśmy, co się dzieje z tatą, czy wróci, czy nie? Było nas więc trzech, babcia, ja i Józek. Nie było to nic nadzwyczajnego, bo w komplecie pozostało zaledwie kilka rodzin, w większości – kogoś wywieziono na roboty.
Sikawice nie przejmowały się zbytnio faktem, że odbierano wiele osób rodzinom lub wywożono do pracy całe rodziny, były to raczej wyjątkowe sytuacje.
Spośród rodzin w całej Sikawicy nasza została najbardziej dotknięta. Jako Czesi nie mieliśmy żadnych przywilejów względem naszych polskich sąsiadów, jeśli chodzi wywózkę na roboty, wręcz przeciwnie.
Któregoś wieczoru ktoś zapukał do drzwi. Byłem tuż obok pieca, który stał przy drzwiach. Wskoczyłem i otworzyłem drzwi, zupełnie zapominając zapytać: „ Kto tam?”
To był mój tato! Co to była za radość! Niemcy podwieźli go na Wolę i wypuścili.
Następnie tata wyjaśnił całą sytuację, przez którą przeszedł.

****

Częsty i niepożądany gość.

Kim był nasz jakże częsty w domu gość? Był to nieproszony gość, przychodził zawsze wtedy, kiedy najmniej się go spodziewaliśmy. Choroba. Choroba była nieproszonym gościem.
Nasz tata chorował odkąd pamiętam. Nogi taty nadal były spuchnięte. Im więcej spuchnięte, tym było gorzej. Kiedy pracował na krośnie, jego nogi były szczególnie napięte. Czasami był tak chory, że nie mógł stać. Lub nawet krzyczał z bólu.
Nie było lekarza ani lekarstwa, ale w Zelowie był uzdrowiciel, który wykonywał pracę lekarza. Robił różne maści i okłady, ale te niewiele pomagały w chorobie mojego ojca. Musiał cierpieć sam. Wtedy mama musiała stać za krosnem zamiast taty. Kiedy tata był chory, spał niewiele lub prawie wcale. Mama była bardzo zmęczona.
Tak długo, gdy nogi odpoczywały, rany na nogach trochę się zagoiły, czyli ból ustąpił, a tata mógł powoli wstać z łóżka i spróbować usiąść na ławce krosna i wrócić do pracy.
Nieobecności ojca w pracy powtarzały się regularnie, każdorazowo po kilka razy na miesiąc.
Podczas wojny, ta choroba niejednokrotnie uratowała go przed wysłaniem na roboty do Niemiec. Mieliśmy już jedną osobę w domu pracującą w Niemczech - pracowała tam moja mama, ze względu na chorobę ojca nie wyznaczono więcej nikogo z nas na wyjazd do Niemiec.
Choroba ta towarzyszyła mu do ostatniego dnia życia.

****

Reforma rolna.

Niemcy zajęli się urzędowo, administracyjnie rolnictwem – przeprowadzili Reformę.
Z czternastu gospodarstw w Sikawicy - nagle powstały trzy. Nasze pole i dom trafiły do naszego dobrego znajomego i sąsiada, Aleksandra Fajksa,
Do jego gospodarstwa m.in. przydzielono gospodarstwo pani Górniakowej z Pszczółeckiej Woli, która mieszkała przez miedzę, obok Sikawicy, a której mąż w czasie okupacji został aresztowany i potem uwięziony. Przed wojną był sołtysem Woli Pszczółeckiej. Aresztowano także sołtysa naszego Faustynowa, pana Bociana. Po wojnie, żaden z nich nie powrócił.
Wszyscy polscy sołtysi i urzędnicy gmin, w czasie wojny zostali uwięzieni przez Niemców.
Skomasowanie tych gospodarstw miało przynieść poprawę wydajności pracy i wzrost plonów.
Poza bałaganem, niczego nie przyniosło.
Pani Górniakowa, często odwiedzała nasz dom, jako część wspólnego gospodarstwa. Obie z babcią Pospisilovą bardzo się polubiły. Babcia szczególnie szanowała ją za jej wiedzę i dobre maniery, bardziej charakterystyczne dla szlachcianki jak dla chłopki, która była.
Poza tym Niemcy nie odnieśli zamierzonych sukcesów…

****

Niedziela i Święta.

W czasie wojny kolejne Święta Bożego Narodzenia spędzaliśmy bez mamy. Bawarka, u której pracowała moja mama, obiecała jej, że da jej urlop na Boże Narodzenie, ale nigdy nie dotrzymała słowa. Ale szczególnie w pewne Święta Bożego Narodzenia czekaliśmy, nie mogąc się doczekać, kiedy moja mama napisała, że bauer obiecał jej dwutygodniowy Urlaub (urlop). Jakże też całą rodziną, nie mogliśmy się doczekać tych Świąt! Przygotowywaliśmy z Pepíkiem dużą choinkę, robiliśmy z papieru dekoracje. Zdobiliśmy to drzewko głównie dla mamy, więc musiało być piękne, ale niestety, mama go nie zobaczyła. Na jakiś tydzień przed Świętami dostaliśmy powiadomienie z poczty, że pan Sobański przywiózł nam dużą paczkę.
Była tam też wiadomość od mamy, list, że Niemka nie pozwoli jej pojechać na obiecany urlop.
Napisała, że wszystko w paczce jest z Bawarii. Mimo, że mamy nie było znowu wśród nas, staraliśmy się zachować dobry nastrój na Święta.
I te Święta były radosne, Jakbyśmy na chwilę oderwali się od ponurej, codziennej rzeczywistości i dali się unieść kolędom, które śpiewaliśmy sobie w domu:
- Noc cicha, noc święta, narodził się nam Chrystus Pan...
A na to wszystko, udekorowane drzewko i śnieg, a także świece, które dały trochę światła i zapachu. Więc mimo wszystko nawet Wigilia była trochę fizycznie i duchowo rozświetlona.
A Światło Betlejemskie świeciło nam coraz mocniej i nieprzerwanie nawet w ciemną noc wojny.
I cieszyliśmy się, że nie zmarzliśmy gdzieś na zewnątrz.
Duchem byliśmy z moją mamą i dwójką wujków, Karelów.
Komunikacja z nimi odbywała się poprzez świetny łuk, a była to komunikacja poprzez modlitwę.
W Święta Bożego Narodzenia nasze myśli, pragnienia i życzenia leciały tą specjalną drogą modlitewną do Monachium, do Bawarii, gdzie była mama, i dalej do miejsc, gdzie byli obaj Karlowie…
O wujku i stryjku, nawet po ich śmierci nie przestałem myśleć - gdy na dworze wiał silny wiatr, wykrzykiwałem do nich pozdrowienia, aby wiatr ich zaniósł tam, gdzie są teraz. Nie usłyszałem od nich odpowiedzi, oni prawdopodobnie też mnie nie słyszeli...

W Sikawicy u babci Pospíšilovej, gdzie teraz mieszkaliśmy, nasza pobożność nie była tak surowa jak przed wojną, ale była to pobożność wynikająca z Biblii. Było to zapewne spowodowane warunkami wojennymi i wynikającymi z nich utrudnieniami, czasami wręcz udrękami.
W niedzielę nie wolno było pracować, wolno było natomiast gotować. Ci, którzy mieszkali na wsi, nie odczuwali głodu. Ich głównym posiłkiem były ziemniaki z piklami (tu: krojone w paski, obrane ze skóry ogórki marynowane w occie) i kluskami, naleśniki z utartych ziemniaków surowych i gotowanych oraz wszystko, co można było z ziemniaków przygotować.
Latem był bób, fasola, ogórki, szczaw, szpinak, kapusta. Okoliczne lasy obfitowały w grzyby, które uzupełniały nasze, skromniejsze menu. Prawie w każdą niedzielę na obiad jedliśmy mięso z kurczaka lub kaczki. Babcia trzymała wiele drobiu. Chociaż mieszkaliśmy z babcią, żyliśmy jak ci, którzy nie mieli gospodarstwa. Otrzymywaliśmy kartki żywnościowe na przydziałowy chleb, babcia zgodnie z zaleceniami okupacyjnymi, mogła na własne potrzeby, zmielić dwadzieścia pięć kilogramów żyta miesięcznie.

Jako Czesi, mieliśmy kartki żywnościowe różniące się od tych, jakie otrzymywali Polacy. Różniły się kolorem, mieliśmy też większe od Polaków, przydziałowe ilość jedzenia.
Niemcy mieli kartki żywnościowe tego samego koloru co Czesi, z tą różnicą, że mogli na nie kupić jeszcze więcej produktów. Mój ojciec sprzedawał część naszych kartek żywnościowych, swoim zaufanym „klientom” z Zelowa. Czasami po kartki, przyjeżdżali nie tylko z Zelowa, ale i nawet z Łodzi. Nie sprzedawaliśmy kartek na chleb, bo przysługiwały nam tylko dwa kilogramy chleba tygodniowo na trzy osoby.
Oprócz miesięcznego przemiału żyta, można było też dwa razy w roku zmielić pewną ilość pszenicy, ale u nas pszenicy nie było, odpowiednią ilość mąki pszennej mogliśmy kupić w młynie.
Babcia zawsze piekła ciasta na Święta: Boże Narodzenie, Wielkanoc i Zielone Świątki. Kiedy ciasta były już upieczone, to było dopiero święto! A te ciasta pachniały tak pięknie! Miały nawet ponad dziesięć centymetrów wzrostu, były takie puszyste! Smakowały wspaniale!
Dlaczego tak nam smakowały? Może to dlatego, że mogliśmy je piec tylko trzy razy w roku!?
Dla nas największymi świętami były Boże Narodzenie i Zielone Świątki.
Pozyskiwanie świątecznego drzewka też nie stanowiło żadnego problemu. Szliśmy do lasu, ścinaliśmy małą sosnę. Rzadziej świerk.
Pepík i ja byliśmy odpowiedzialni za przyniesienie z lasu i udekorowanie choinki. Cóż to była za radość!
Czasami topiliśmy wosk na świece, ale to było rzadkością.
Potem, wieczorem była prawdziwa wigilijna kolacja!
Przez całą wojnę w Faustynowie nie odbywały się nabożeństwa.
Do Zelowa nie można było wieczorem, podczas Świąt Bożego Narodzenia, iść do kościoła.
Ludzie tutaj byli już zdani na siebie w przestrzeganiu i podtrzymywaniu swojej pobożności.
W Wigilię Bożego Narodzenia, ojciec brał do rąk, wydaną w Pradze Biblię Królewską i czytał fragment Nowego Testamentu, stosowne wersety z Ewangelii Św. Łukasza lub Św. Mateusza, o narodzinach Pana Jezusa. Zawsze dostawaliśmy torbę prezentów, w której znajdowało się jedno lub dwa jabłka, trochę cukierków, trochę orzechów. To była radość! Niektóre dzieci otrzymywały droższe prezenty, ale więcej było takich, które dostawały jeszcze skromniejsze prezenty, jeśli w ogóle je otrzymały.

Święta Bożego Narodzenia są jak przesilenie zimowe. Ludzie wtedy mówili:
- Jest zimno jak na Syberii! To powiedzenie było bardzo wiarygodne, ponieważ znaliśmy historie tych, którzy spędzili wiele lat na Syberii zarówno jako żołnierze carscy, jak też jako zesłańcy za karę…

W tym roku śnieg został „pobłogosławiony” poprzez wielką jego obfitość!
Z rozkazu władz, ludzie sami musieli organizować „brygady”, które usuwały śnieg z dróg.

A tam, gdzie śniegu było bardzo dużo, kopano tunele w wysokich zaspach – kopach, podsypywano słomą i podpalano żeby w ten sposób ten sposób odmrozić i usuwano śnieg z drogi.

****

Wielkanoc.

Trzeci dzień Świąt Wielkanocnych był dla nas dzieci, najradośniejszy ze wszystkich, czas na składanie wizyt i przyjmowanie gości w domu. Chodziliśmy z wizytą, ale większość ludzi przychodziła do nas.
Drugi dzień Świąt Wielkanocnych upływał pod znakiem dziecięcej zabawy, karuzeli. I jajka, które pozostały po kolędowaniu, zjadaliśmy je nieraz przez cały tydzień.
W święta i niedziele gliniane podłogi w domu posypywano żółtym piaskiem.
Trzeciego dnia Świąt z niecierpliwością oczekiwali też mieszkańcy Zelowa, którzy mieli w Faustynowie bliskich krewnych i przyjaciół. I lubili tu do nas przychodzić.
Dodatkowo, gdy w czasie Świąt dopisywała pogoda, chodziło się na łąkę lubecką, do Czarniny, lub po prostu do pobliskiego lasu.
W Sikawicy odwiedzał nas dziadek Josef Pospíšil z ciotką i czasami krewnymi z rodziny Poláčków. Goście rozmawiali, wspominali dawne czasy i jedli.
A konie odpoczywały wtedy od pracy. Po przyjeździe dawali koniom trawę i były karmione przez cały dzień, a gdzieniegdzie nawet kładły się obok wozu.
Dopiero wieczorem goście wracali do domów. Żegnając się, z niecierpliwością czekaliśmy już na kolejny, trzeci dzień świąt.

****

Zielone Świątki.

Na Zielone świątki też ludzie nie mogli się zawsze doczekać. Były to też najbardziej ulubione święta, dla niektórych nawet bardziej niż Boże Narodzenie. Podczas tych świąt chodziło o to, żeby zebrać ze dużo różnych, zielonych gałązek, do dekoracji i na przepiękne stroiki.
Wszystkie dzieci chodziły nad rzekę i na stawy do młyna na Fraszce, żeby zrywać tatarak i trzcinę. Nikt nam nie zabronił, bo to był przecież najważniejszy element Zielonych Świątków.
W wieczór poprzedzający święta ,wnętrze domu udekorowano tatarakiem i trzcinami, co dawało przyjemną atmosferę i ten świeży, charakterystyczny zapach.
Dekorowaliśmy wszystko dookoła wszystkim tym, co tylko było dostępne. Dekorowano dom, budynki gospodarcze, podwórko, okna zewnętrzne, drzwi. I chodniki wokół domu też.
Zielone Świątki były świętem radosnym także dlatego, że były trzydniowe. W Wielkanoc też były trzy dni świąt, oraz w Boże Narodzenie trzy dni.

****

Nasza Babcia.

Troska o naszą egzystencję spoczęła przede wszystkim na barkach naszej Babci. Tata nie był silny. Jeśli chodzi o pracę w polu, zajmowaliśmy się tym razem z Babcią. Miałem około dwunastu lat. Nie tylko pasłem krowy, ale tak, jak dorosły mężczyzna, pracowałem na polach. Sadziłem wiosną ziemniaki, ojciec je potem wykopywał na jesień. Zawoził na pola obornik i rozrzucał go



Ilustracja: Vlasta Švejdová

przed orką. Kiedy nadeszły żniwa, kosiłem całe nasze zboże, a moja babcia „zbierała” za mną, wiązała naręcza, a potem ustawialiśmy je w snopki. Później pomagał nam także pan Balcerek. Kiedy ziarno wyschło, zanosiliśmy snopki na plecach do domu, a właściwie do naszego sąsiada Fajksa, który miał stodołę i był po „niemieckiej reformie scalającej gospodarstwa” - naszym gospodarzem. Czasami znajomy przywoził na taczce część zboża do naszej stodoły. W stodole młóciliśmy zboże cepami. Czasem sam młóciłem, czasem pomagał mi pan Fajks, a potem to ja pomagałem mu młócić ziarno w jego stodole. Kiedy tata czuł się dobrze, to też młócił z nami.

****

Palę papierosy.

Ponieważ dzieci nie chodziły do szkoły, miały więc mnóstwo czasu na różne, dziecięce psikusy. Na początku próbowałem palić wysuszone liście ziemniaczane razem z innymi przyjaciółmi. Wcale mi to nie smakowało. Wymiotowałem potem, bardzo bolała mnie głowa.
Babcia zapytała mnie, co jadłem? Wymieniłem tak dużo tego, co zjadłem, że babcia uśmiechnęła się i spytała: - Powiedz mi więc skąd tyle tego jedzenia dostałeś lub gdzie to kupiłeś?
Moja odpowiedź była tak pogmatwana, że gdyby mój ojciec mnie przesłuchiwał, poczułby to, że mówię kłamstwa, a ja poczułbym pasy na plecach albo jeszcze, trochę niżej.
Kiedy już „zniesmaczyliśmy się” liśćmi ziemniaczanymi, sięgnęliśmy po tytoń, który rósł w ogrodzie i było go pod dostatkiem.
- Jeśli dorośli mężczyźni palili, dlaczego my, chłopcy, nie mielibyśmy tego robić?
Musieliśmy to sami sprawdzić. Czasami zdobywaliśmy stare gazety i skręcaliśmy w nich grube papierosy z tytoniu skradzionego w ogrodzie. Niemcy nie zakazali uprawy tytoniu. Kiedy nie było fabrycznych bibułek do skręcania papierosów, nawet dorośli palacze często zawijali tytoń w gazetę i palili w ten sposób. Kiedy to zobaczyliśmy, też tego spróbowaliśmy. Nawet nam dzieciom, spodobał się taki papieros! Chłopcy palili bez wiedzy ojców. Dobrze, że mój ojciec na razie nie przyłapał mnie, jak palę!
Jak tata sam miał ochotę zapalić, to chodził sam lub z przyjaciółmi na pole, wśród ziemniaków. Ja z kolei tytoń i zapałki ukrywałem pod strzechą domu.
Ojciec nie znalazł tej mojej kryjówki.
Kiedy widzieliśmy dorosłych palących fajki, my chłopcy, również rzeźbiliśmy fajki z drewna i paliliśmy. Mówiono, że każdy, kto pali, jest już dorosły. A ja też chciałem już być dorosły. Miałem dość słuchania. Ciągle się jak dziecko, tylko słuchać!? A tylko dorosły może rozkazywać; papieros był zatem więc dla mnie, atrybutem, symbolem dorosłości.
Czasem zazdrościłem tutejszym dzieciom, których w domu było ich więcej niż dwóje, bo mogły na zmianę pasać krowę. Mój brat Pepik, był dwa lata młodszy, więc większość pracy spadła na moje „ramiona”. Uznano za oczywiste, że będę sam pasł krowę.
Szkoła faustynowska, która na początku wojny została obrócona w popiół, tuż obok posiadała swój, „przydziałowy” las. My, chłopcy ze Sikawicy, przychodziliśmy tu, żeby się bawić i robić różne psikusy, podglądać ptaki w gniazdach, wybierać je stamtąd, brać do domu a potem wypuszczać na wolność.
Słońce już zachodziło. Wiedziałem, że mam iść paść krowę, ale chłopcy mnie powstrzymywali, argumentując przekonująco, że lepiej zająć się czymś innym. Nie trzeba było długo przekonywać mnie do podjęcia tego, ryzykownego kroku. Edek Zaworski powiedział mi:
- Przecież Józek (Pepik, mój brat) jest sam w domu, więc może iść paść krowę zamiast Ciebie!
Kiedy mój najlepszy przyjaciel tak powiedział, to jakby to wyglądało, gdybym go nie posłuchał?!
Kiedy późnym wieczorem wracaliśmy do domu, chłopcy szydzili ze mnie i mówili:
- My to jesteśmy zapracowani, a tobie się dostanie, za nieróbstwo, srogie lanie!

Tata bardzo się zdenerwował, kiedy mnie zobaczył. Kazał mi iść z sobą do domu.
Wiedziałem już dobrze, co teraz nastąpi.
Mój ojciec, aby mnie okiełznać, używał paska od spodni lub odpowiedniej rózgi. Oba te „argumenty", mocno użądliły moje, dolne partie ciała. Mój ojciec nie szczędził „wydatków" na moje wychowanie. Pomyślałem sobie: - Takie narzędzia edukacyjne mogą na mnie nie podziałać wychowawczo. Ale podziałały!
To doceniłem dopiero w późniejszym wydarzeniu w moim życiu, wtedy kiedy mojemu ojcu zostało kilka godzin życia...
Modliłem się za niego do Pana Boga, obiecując mu, że już nigdy nie będę taki, żeby musiał mnie fizycznie karcić. Czułem się tak, jakby wszystkie baty, które otrzymałem od ojca, wracały słodsze niż miód i cieplejsze niż balsam. Dobrze, że ani jeden nie chybił!

****

Szkoła domowa.

Chciałem nauczyć się czytać i pisać. Mieliśmy dużą, rodzinną Biblię, z której czytał nam ojciec. Bardzo mnie ciekawiło wszystko, co czytał, sam chciałem to przeczytać.
Jednak było to przede mną zamknięte. Ojciec trochę mnie i brata nauczał, ale albo on nie wytrwał w tym wysiłku, albo to my nie wytrwaliśmy. Ale kiedy już zacząłem się uczyć, poznać samemu co jest napisane w tej Księdze, tato starał się mnie uczyć.
Składając litery, zacząłem powoli, sylabizując czytać tekst z Biblii Królewskiej mojego ojca.
Kiedy po śmierci stryja Karela, brata mojego ojca, otrzymałem jego Biblię, nauczyłem się już liter alfabetu łacińskiego i mogłem zacząć samemu czytać Biblię mojego wujka.
Babcia nalegała na ojca, by nauczył nas czytać, żebyśmy nie byli niewykształceni.
- … żeby chłopcy mogli czasem coś przeczytać, mogli się podpisać i nie musieli robić trzech krzyżyków, zamiast podpisu, tak jak ja – powiedziała babcia. Babcia umiała trochę czytać, ale nie umiała pisać.
Mieliśmy też stary, niemiecki elementarz „Fibel", wydrukowany w Schwaben. Pochodził z XIX wieku, jeszcze mój dziadek uczył się z niego czytać.
Mieliśmy też dwa egzemplarze Biblii, śpiewnik i stary kalendarz rolniczy. To był nasz „Księgozbiór"! O nie, mieliśmy jeszcze coś innego: Duży i Mały Heidelberg-katechizm! Uczyłem się na pamięć cały Mały Katechizm Heidelberski! Ale nawet Mały Katechizm był zbyt obszerny, abym mógł go nauczyć się na pamięć. Ale lubiłem uczyć się pytań i odpowiedzi z tego katechizmu. To była dla mnie przyjemność. Nikt mnie nie już zmuszał do nauki. Ale bardziej niż katechizm, czytałem Biblię. Pierwszą rzeczą, jaką przeczytałem w Nowym Testamencie, były wydarzenia Wielkiego Piątku. Tak bardzo zainteresowały mnie te wydarzenia, że nie chciałem, żeby ktoś w jakikolwiek sposób przeszkadzał mi w czytaniu Biblii. Poszedłem na pole żyta, usiadłem i nie mogłem się oderwać od czytania.
Babcia szukała mnie wołając: - Vlastík, Vlastík, gdzie jesteś? Nie odpowiedziałem, tak bardzo zainteresowałem się Biblią, że nic nie widziałem ani nie słyszałem …

A to moje zaabsorbowanie wydarzeniami Wielkiego Piątku trwa po dziś dzień…

****

Wojna w pełnym rozkwicie.

Niemcy prowadzili wojnę dalej, na frontach: wschodnim i zachodnim.
Czasami otrzymywaliśmy niemieckie czasopisma ze zdjęciami niemieckich żołnierzy i oficerów z frontu rosyjskiego. Na zdjęciach uśmiechali się niemieccy oficerowie i żołnierze. Stali tam jak zwycięzcy.
Pan Mizera, który mieszkał na końcu wsi lub na jej początku, w zależności od tego, z którego końca wsi to liczono, umiał po niemiecku, miał ukryte radio - słuchał stacji niemieckich i innych. I dostarczał swoim przyjaciołom wieści o tym, co dzieje się na frontach wojny.
Jego dom był miejscem, w którym gromadzili się mężczyźni, gdzie dyskutowano o wszystkim i ja też na tym korzystałem. Ale nie obchodziło mnie, że muszę zachować absolutną tajemnicę.
Choć Faustynów był po prostu wsią „wtuloną" w las, gdzie lisy ogonami machały, żegnając na dobranoc i gdzie czas zdawał się stanąć w miejscu, niemiecka policja dyskretnie obserwowała nas i bacznie śledziła, co się tu dzieje i o czym się mówi. Znajdowaliśmy się także poza główną arterią komunikacyjną, przejazd przez Faustynów był jedynie koniecznością dla tego tylko, kto chciał przez wieś przejeżdżać. Dalej były już tylko lasy i łąki lubieckie, gdzie wydobywano torf, a po drugiej stronie Czernica, bagniste tereny, zwane też ługami, gdzie wydobywano także torf i gdzie było wiele łąk i stawów, powstałych wskutek pozyskiwania torfu.
Część Czarnicy należała do Kudajów, a gdy przybył tu Niemiec nazwiskiem Arendt, wszystko wtedy należało do niego. Nie należeliśmy do tych, którzy musieli kryć się przed Gestapo. Ci zaś, którzy w nocy lub nawet w dzień musieli uciekać przed policją, wkrótce ukryli się w lesie. Faustynów miał w tym wyjątkową pozycję.
Policjanci przyjeżdżali tu na rowerach lub konno, zawsze było ich dwóch. Czasami we wsi pojawiał się samochód, czarny „Mercedes", nim jeździli głównie starsi oficerowie.
Ale czasami, znienacka Niemcy przyjeżdżali tu wieczorem, w nocy, lub wczesnym rankiem, nie wierząc nam, że tu nic się nie dzieje, że były tu tylko dwie spokojne wioski.
W czasie wojny, Polacy i Czesi żyli tu w całkowitym wzajemnym zaufaniu, jedności i harmonii. Nie słyszano, aby któryś z miejscowych Polaków poważnił się z miejscowym Czechem i odwrotnie. Wiedzieliśmy, że płyniemy wszyscy jednym statkiem, który w każdej chwili może zatonąć.
Młynarz Arendt z Fraszki, Niemiec pochodzący z Wołynia, był osobą religijną, należał do kościoła baptystów w Zelowie, dokąd uczęszczał z rodziną w każdą niedzielę. Dobrze, że był we Fraszce jedynym, a nie kolejnym Niemcem. Trzymał nad nami „opiekuńczą rękę", ale policja nie ufała mu do końca, mimo że jego dwaj synowie walczyli na wojnie. Niemiecka policja czasami sprawdzała ten teren – prewencyjnie, żeby było ich widać, że są.
Jak Niemiec Arendt dotarł do nas do Fraszki? Wieś ta była przez wiele pokoleń własnością rodziny Kudajów. Kiedy jednak nadeszła okupacja, rodzina Kudajów musiała opuścić swój młyn, dom i cały majątek składający się z pól, łąk i lasów.
Po wcieleniu tych terenów do Rzeszy, musieli przenieść się do „Protektoratu" (Genenalnego Gubernatorstwa).

Lało cały dzień i całą noc, drogą przez Sikawicę przejechały samochody, a w głębokich koleinach rozjeżdżonej drogi, była woda i błoto po kolana. Potem nie wiadomo skąd, na początku Sikawicy pojawił się autobus!
Przyjazd autobusu do Sikawicy był wielkim wydarzeniem!
Tym właśnie autobusem, z Wołynia do młyna we Fraszce, przyjechał Niemiec, pan Arendt. Zgromadziły się chyba wszystkie dzieci z całej Sikawicy. Pierwszy raz w życiu widzieliśmy wtedy autobus! Przyjechała nim cała, liczna rodzina Arendtów. My chłopcy chcieliśmy, żeby było tam kilku chłopaków. I byli, dowiedzieliśmy się tego wieczorem. Im bardziej autobus próbował wydostać się z błotnistych kolein na drodze, tym głębiej się w niej zakopywał.

W końcu, z autobusu wysiadł niski, krępy, czarnowłosy mężczyzna z gęstymi wąsami, był to pan Arendt. Pozostali nie wysiedli z autobusu. Po długim czasie, dzięki pomocy mieszkańców naszej wsi, autobusowi udało się wydostać z błota i dotrzeć do Fraszki.

Wśród przyjezdnych, znajdowali się starszy pan Arendt z żoną, syn Eduard i córka. Była piękną dziewczyną, jak żadna inna w okolicy. Potem był ich starszy syn z żoną narodowości ukraińskiej. Mieli dwóch chłopców w naszym wieku i jeszcze dwóch chłopców, bliźniaków którzy były jeszcze mali.
Chłopcy i ja szybko się poznaliśmy i zostaliśmy przyjaciółmi. Pan Arendt nie zabraniał wnukom przyjaźnić się z czeskimi lub polskimi chłopcami. Pan Arendt był wyjątkową osobą, która znalazła drogę do ludzi przez wiarę w Jezusa Chrystusa, niezależnie, jakiej byli narodowości.
Żonaty syn wkrótce musiał zaciągnąć się do armii niemieckiej. Eduard, młodszy syn, przynajmniej na razie, pozostał w domu. Nasza babcia nie mogła złego słowa powiedzieć na pana Arendta. Kiedy ich syn Eduard nie był w wojsku, musiał jeździć z policjantami po okolicznych wioskach i towarzyszyć im podczas przeprowadzanych rewizji. Pan Arendt próbował uprosić Policję, żeby jego syn nie musiał tego robić na Sikawicy i Faustynowie, ale policjanci go nie posłuchali

****

Młynarz, pan Kansy.

W pobliżu nas były dwa młyny. Na jednym końcu Sikawicy - znajdował się młyn na Fraszce, którego właścicielem była rodzina Kudajów, a na drugim końcu Sikawicy znajdował się młyn na Dąbrowie, którego właścicielem był pan Kansy. Przed wojną oba młyny miały co mielić. Obydwa młyny stały nad tą samą rzeczką, Chrząstawką, która dostarczała im wodę, poruszającą młyńskie koła. Droga do Wygiełzowa prowadziła obok młyna Kansów, jeździli tam ludzie z Sikawicy, Faustynowa i Woli Pszczółeckiej, wiodła pod oknami młyna i budynku mieszkalnego, a ludzie przechodzili obok nich lub przez dziedziniec. Teren, do którego prowadziła droga, należał do pana Kansego, a on był uprzejmy, pozwalając ludziom chodzić drogą przez jego ziemię. My, chłopcy, też kąpaliśmy się w jego rzece. Mimo, że jako chłopcy skakaliśmy i biegaliśmy i wszędzie nas było pełno, to panu Kansemu to w zupełności nie przeszkadzało. Nigdy nas nie wyrzucił, nigdy się na nas nie złościł. Przynajmniej tego nie okazywał.
Po zajęciu Polski przez Niemców, Kansy otrzymał zakaz działalności. Zamknęli mu młyn. Był już starszym mężczyzną, więc latem przesiadywał przed młynem. Często go tam widziałem, gdy szedłem do Wygiełzowa. Babci też było przykro, że pan Kansy już nie mielił, bo tu chodziła mielić zboże, to było tylko kilka kroków od nas. Pan Kansy miał kilku synów, którzy studiowali w Warszawie i tylko sporadycznie, na wakacje przyjeżdżali do domu, miał też jedną córkę, która zwykle była w domu.
Kiedy młyn pana Kansego został zamknięty przez Niemców, musiał szukać zatrudnienia gdzie indziej, jego pole też nie było opłacalne do uprawy, był to sam jałowy piasek, a jego lasy były dzierżawione przez innych mieszkańców. Kansy zarabiał także na inne sposoby, hodując nad rzeką bobry na ich skóry. Mówiono, że skóra bobra jest bardzo droga. Na zalewie młyńskim, było mnóstwo bobrów. Były trzymane w klatkach po drugiej stronie zalewu, więc pływały w rzece i wylegiwały się na suchym lądzie. Pewnego wczesnego ranka, gdy było jeszcze bardzo zimno, było dużo wody. Rzeka wtedy wezbrała, rozlała się po okolicy. Bobry pana Kansego odzyskały wolność. Dla nich wolność, ale dla pana młynarza, była to katastrofa.
My, chłopcy, spacerowaliśmy wtedy brzegiem rzeki w poszukiwaniu zaginionych bobrów. Widzieliśmy więcej niż jednego bobra, ale nie odważyliśmy się go złapać. I tak nie bylibyśmy w stanie tego zrobić. Łapali je synowie Kansego, a także inne dorosłe osoby. Złapali dużo bobrów, ale nie wszystkie.
Następnie pan Kansy zbudował dla nich nowe „mieszkanie”.

Widzę synów pana Kansego tak, jak to było dzisiaj - jak pchają wóz z torfem z torfowiska lubieckiego. Jeden z synów był wcześniej w wojsku, powoził a pozostali pchali wóz. Nie mieli swoich koni, więc musieli wynajmować.
Zaledwie kilka kroków od młyna pana Kansego znajdowała się wieś Wola Pszczółecka, która faktycznie była połączona z młynem na Dąbrowie. A przed domem na Woli rosło stare, duże, rozgałęzione drzewo, a spod jego - korzeni płynęło źródło czystej, zimnej wody. Była to woda znana w całej okolicy. Chodziłem tam często, żeby się jej napić, a czasem przynosiłem do domu. Potem to tak mi brakowało tej wody, nawet w Czechach…

****

Jak Babcia handlowała na czarnym rynku.

Nasza babcia handlowała przez całą wojnę, prawie co tydzień idąc do Zelowa, sprzedać jajka i masło. To było zabronione, ale Babcia chciała pomóc sobie i ludziom. W Zelowie stopniowo zdobywała doświadczenie, miała stałych klientów, a może nawet „pośredników handlowych", którzy sprzedawali potem te produkty dalej, aż do Łodzi. Jajka i masło na czarnym rynku były rzadkością i nie wolno było ich sprzedawać na czarno. Kiedy dotarła do „zakontraktowanego" domu, klienci już tam na nią niecierpliwie czekali. Sprzedaż została już ogłoszona z wyprzedzeniem i zamawiano kolejną. I tak mieliśmy trochę pieniędzy na najpotrzebniejsze rzeczy, zarabialiśmy też pieniądze sprzedając kartki żywnościowe. Babcia robiła to, czego Niemcy zabraniali i za co surowo karali, ale Babcia wiedziała, że służy ludziom. Nie przejmowała się żadnymi zakazami, dopóki wiedziała, że pomaga tym ludziom. I nadal uważała niemieckie prawa za diaboliczne i dlatego nie uważała ich za grzech nieposłuszeństwa. Babcia chciała im pomóc, gdy byli potrzebie. Wierzyła, że chodzi pod opieką Najwyższego, bo nie zawiodła się na Nim, że oto czas wojny! Policja nie zatrzymała się i nie sprawdziła jej! To był naprawdę cud Boży! Babcia miała siedemdziesiąt lat, ale ubierała się tak, że wyglądała na znacznie starszą. Zawiązała sobie szalik pod brodą na głowie, po czym narzuciła na siebie wełnianą chustę, jaja owinęła wokół ciała, włożyła masło do szalika, który zawiesiła na dłoni i tak „uzbrojona", szła do Zelowa.
Kiedy sprzedała wszystko w Zelowie, czasami organizowała to, co było nam potrzebne. Czasami szła do swojego brata, Poláčka, ale tylko wtedy, gdy nie spieszyło jej się do domu i głównie latem, kiedy dzień był długi. Policja nie podejrzewała starszej kobiety, że może robić coś nielegalnego, czyli przywozić do Zelowa jajka i masło na sprzedaż. Miała nieraz „duszę na ramieniu", gdy po drodze spotkała policjantów. Wymyśliła jednak, że gdy zobaczy, że na drodze zbliżają się do niej Niemcy, „ominie" ich, przykucając w rowie lub gdzieś w krzakach i udając, że się załatwia. Kiedy policjanci ją minęli, wstawała i szła dalej. Robiła to przez całą wojnę, nie wzbudzając w Policji najmniejszych podejrzeń, że łamie niemieckie prawo.
Babcia była zbiorem modlitw. Kochała Pana Boga, uczyła nas modlić się, ale nie tylko nas uczyła, ale także dbała o to, abyśmy modlili się dwa razy dziennie, kiedy kładliśmy się spać i kiedy wstawaliśmy rano. Babcia mówiła:
- Skoro prorok Daniel modlił się trzy razy dziennie, my musimy się modlić przynajmniej dwa razy dziennie. Nie wolno nam rozpoczynać dnia bez modlitwy i nie wolno nam wchodzić do łóżka bez modlitwy.
Nasza codzienna modlitwa składała się z Modlitwy Pańskiej, modlitwy - wyznania wiary „Wierzę w Boga", a jeszcze rano dodatkowo: „Wstaję rano, chwalę Pana, Boga mojego".
Wieczorem główne modlitwy: „Idę spać, pozwól mi wstać, o mój Boże, z łóżka, amen".
Wszyscy po cichu odmawiali nasze modlitwy...
Babcia kiedyś powiedziała: - Nie oszukuj w modlitwie!
Czasem oszukiwałem, mówię amen. Amen i kamień, rymowały się się w jedno. Czasami więc zamiast „amen" mówiłem „kamień".
Babcia była pobożną kobietą. Obaj z bratem Pepikiem, zostaliśmy przez nią wychowani na poboż-

nych ludzi. Przez cały czas wojny, byliśmy bez mamy. Babcia próbowała nam ją zastąpić.
Kiedy miałem dwanaście lat, byłem już w tym czasie „samodzielny”. Sam chodziłem do Zelowa, na zakupy.
Drogę z Faustynowa do Zelowa znałem już na pamięć.
Od wiosny do jesieni najpierw szedłem polną drogą, potem wychodziłem na drogę do Pożdżenic, na końcu wsi skręcałem w prawo i maszerowałem polną drogą obok lasu. Potem z drogi gruntowej, która prowadziła już z Pożdżenic do Zelowa, więc skracałem znacznie podróż. A kiedy byłem już w Zelowie, skręciłem w lewo i prawie na końcu ulicy w pobliżu Ignacowa i Józefatowa, znajdował się sklep wielobranżowy, do którego chodziłem na zakupy.
Kiedyś przyszedłem do Zelowa po lekarstwa.
Apteka była na rynku. Wszedłem do środka i chwilę poczekałem na moją kolej. Dotarcie do kasy czasami zajmowało sporo czasu. Jedynym chłopcem, jaki tam zawsze był, to byłem ja. Za ladą pracowały trzy lub cztery panie. Kiedy poprosiłem o lekarstwa, sprzedawczynie w ogóle mnie nie słuchały. Stałem cierpliwie dalej. A kiedy wydawało mi się, że minęło już sporo czasu, zadzwoniłem ponownie. I znów nikt mnie nie obsłużył, aż wreszcie jedna ze sprzedawczyń mówi:
- Poczekaj. I znowu czekałem. Zadzwoniłem po raz trzeci. Sprzedawczyni kazała mi stanąć z boku przy ladzie i powiedziała po polsku: - Jesteś taki śliczny, chcę jeszcze popatrzeć na ciebie.

Nogi zaczęły mnie boleć od stania. Myślałem już, że pójdę do domu, ale jak? Iść z Faustynowa do Zelowa po lekarstwa, i lekarstw nie przynieść? Mówiłem sobie, że pójdę do Ignacowa do stryja i zostanę tam do rana, a potem wrócę po lekarstwo. Ale w końcu ta pani, która mi tak schlebiała, dała mi lekarstwo a po drodze jedyną przeszkodą były gęsi na Woli Pszczółeckiej. W każdym razie musiałem trzymać się z dala od nich.
Domownicy martwili, że długo nie wracałem, do domu dotarłem z powrotem dopiero po zachodzie słońca. Tata zapytał mnie, dlaczego wracam tak późno. Nie powiedziałam, że to przez sprzedawczynię, bo pewnie by mi nie mi nie uwierzył, sądząc, że po dziecinnemu wymyślam niesamowite rzeczy na jako wymówkę. Ale kiedy tłumaczyłem się, że to przez gęsi, uwierzył mi bo wiedział, że się ich boję.

****

Ignaców.

W Ignacowie mieszkał mój stryjek, Josef Pospisil. Ponieważ w Zelowie było wielu Pospíšilów i prawie wszyscy byli w jakiś sposób spokrewnieni, mojego stryjka przezywano „Sikawicki Pospíšil”, aby odróżnić go od innych Pospíšilów. „Sikawicki” - ponieważ pochodził z Sikawicy. Ożenił się z córką Matejków i przeprowadził się do Ignacowa. Czasem jeździłem do Ignacowa, zazwyczaj po to, żeby przekazać jakąś wiadomość od taty lub babci. Czasem jednak zatrzymywałem się tu na jakiś czas. Stryjek nie miał dzieci, więc był szczęśliwy, gdy mnie zobaczył. Mógłbym tak chodzić do Ignacowa, nawet „z zawiązanymi oczami”.

Dobrze znałem tę drogę. Wujek był wśród ludzi znany, bo miał kierat do młócenia zboża, który kręcił się w kółko i w ten sposób oddzielał ziarno od słomy. Stryjek Josef, kupił kiedyś tą młocarnię od krewnych swojej żony, Matejków. Był dookoła znany z posiadania młocarni. Jeździł z nią po wioskach, młócił zboże i tak się wzbogacił. Zasłynął się jako „bogaty od Matejków”. Miał duże gospodarstwo w Józefatowie, „rzut beretem” od Ignacowa. Ten kierat o było dla mnie coś niesamowitego! Pomyślałem: - Mając tę maszynę w domu, nie musiałbym zimą młócić żyta cepem z Aleksandrem Fajksem, ale musiałbym mieć też konia!
Kiedy wróciłem do domu, opowiedziałem co widziałem i jak bogaci gospodarze młócą tam zboże kieratem od naszego stryjka. Chłopi nasi z zazdrością słuchali mojego opowiadania o tym, jak prowadziłem konia, zaprzężonego do maszyny, po klepisku.

I znowu byłem u stryjka w Ignacowie. Był bardzo szczęśliwy, gdy Pepík i ja przyszliśmy i zostaliśmy u nich na jakiś czas. Trochę pomagaliśmy na gospodarce. Byłem tutaj ulubionym gościem. Kiedy do nich przyszedłem, był już koniec tygodnia. Tutaj poznałem nowych ludzi, nowe domy, podwórka, a zwłaszcza granicę, po której biegałem z miejscowymi chłopakami. Jednym z sąsiadów byli właśnie wspomniani przeze mnie Matějkowie, rodzice mojej stryjenki. Jej matka zmarła w młodym wieku i jej ojciec ożenił się ponownie, miał jednego chłopca. Kiedy go poznałem, był już duży. Był „starym" kawalerem. Musiał sam uprawiać pole.
Stryjenka Pospisilova cieszyła się, że jej ojciec mieszka po sąsiedzku. Ziemia, na której mieszkał wujek Józef, pierwotnie należała do Matějków.
Kiedyś krewny od strony stryjenki przyszedł powiedzieć, że przyjdą z wizytą w niedzielne popołudnie. Nie mogłem się tego doczekać na nich.
Przyszedł razem z nimi żołnierz, w mundurze niemieckiego wojska. Nazywał się Bauer i był żonaty z krewną stryjenki. Niósł na rękach małego chłopca.
Tak jak dzisiaj go widzę, ojca-żołnierza trzymającego go w ramionach, mały chłopiec jeszcze nie miał włosów...
Ponownie spotkałem go później - dopiero w Czechach u stryjka Józefa ale już w Tepelskach, a nasze spotkanie miało miejsce na Wydziale Ewangelickim Uniwersytetu im. Komeńskiego, gdzie obaj studiowaliśmy. Cóż to było za cud! Jakże się cieszyłem się, że był ze mną zelowiak. Właściwie to on nie był jedyny. Był jeszcze jeden zelowiak, starszy ode mnie o rok - Pavel Smetana, zelowianim przez ojca. Jego ojciec powrócił do Czechosłowacji po I wojnie światowej, studiował na Wydziale Husyckim i był pastorem ewangelickim. Wkrótce obaj poznaliśmy Pawła. Jako studenci mieszkaliśmy razem w Jirchářach w jednym, akademickim pokoju przez rok. Wszyscy cieszyliśmy się, że nasze korzenie są z Zelowa. Po ukończeniu studiów, nie widzieliśmy się przez kilka lat, aż do roku 1978 kiedy to obaj mieliśmy jechać do Brna, aby tam podjąć służbę kaznodziejską, ale żadnemu z nas nie było to wtedy dane, ze względu na sprzeciw władz. Następnie pojechaliśmy do Pragi i obaj zostaliśmy przedstawicielami naszych Kościołów, a przez pewien czas także Soboru Ekumenicznego. Nasza przyjaźń ma swoje korzenie nie tylko w Zelowie, ale przede wszystkim w Chrystusie i to jest najsilniejsze miejsce naszej przyjaźni!

****

Sąsiedzi.

Wspomniałem już o sąsiadach, zwłaszcza o Zaworskich i Aleksandrze Fajksie. Pepík i ja spędzaliśmy z nimi prawie cały mój „wolny czas". W obu rodzinach byli chłopcy mniej więcej w tym samym wieku co my i to nas łączyło. Zaworscy mieli na swoim podwórku krzewy orzechów laskowych. Kiedy nadszedł czas „żniw", uwijaliśmy się pilnie, pracując jak pszczoły. Zaworscy nam na to pozwalali. Byli bardzo dobrymi sąsiadami. Nasze rodziny nigdy nie kłóciły się ze sobą. A to pomiędzy wieloletnimi sąsiadami, było na wsi rzadkością. Podobnie było z Fajksem. Niezapomniana była huśtawka u Zaworskich, na podwórku za domem, usadowiona pomiędzy dwiema, dużymi brzozami. Tam się dopiero wygłupiliśmy! Pana Zaworskiego często nie było w domu, bo musiał zarabiać na utrzymanie swojej, licznej rodziny. Jego syn Edek, był moim przyjacielem, a jego brat Janko był przyjacielem mojego brata Pepika. Wszystko robiliśmy razem. Fajksowie mieli małą dziewczynkę, którą bardzo lubiła moja mama. Powiedziała kiedyś do niej:
- Będziesz żoną mojego Vlastíka. Kiedy wyjeżdżaliśmy do Czech, moja mama powiedziała:
- Zabiorę ze sobą Aleškę (Alę) i wychowam ją dla Vlastíka. Ale wyjechaliśmy bez niej… Chowałem się w krzakach i rumieniłem się pod takimi komentarzami mojej mamy.

Aleksander Fajks był człowiekiem bardzo pobożnym, na jego życie mieli duży wpływ jego bogobojni rodzice. W jego domu, w każdym pokoju wisiały święte obrazy. Byli katolikami.

Wychowany w purytańskim duchu reformowanych ewangelików, od dzieciństwa miałem niechęć do „świętych" obrazów. Ale stopniowo podczas odwiedzin, przyzwyczajałem się do ich widoku, nie widząc w nich ani dobra, ani zła. Te malowidła przestały mnie niepokoić, ale ich nie akceptowałem. Nie były przeszkodą w mojej przyjaźni z dziećmi sąsiadów w tamtych latach.
Wciąż widzę przed oczami rodziców moich przyjaciół z dzieciństwa, szczególnie pana Aleksandra, jak przed każdym wyjazdem, kiedy zaprzęgał konia do wozu, zanim opuścił podwórze, przed koniem rysował batem na ziemi znak krzyża. To jego jego sposób, zapewniający bezpieczeństwo - aby jego wyjazd i powrót były chronione i pobłogosławione przez Boga.
Chociaż jako mały chłopiec z obrazami i rzeźbionymi wizerunkami, nie zgadzałem się, to muszę przyznać, że niektóre zaczęły mi się podobać.
Kiedy zmarł najstarszy Fajks, ojciec Aleksandra i dziadek jego synów, w ich domu było wiele smutku. To było zimą.
W domu nie wolno było wtedy palić w piecach. Zmarły do dnia pogrzebu pozostał w domu.
Dzień wcześniej, wieczorem - ludzie zbierali się w domu żałoby i śpiewali pieśni religijne do późnej nocy. Tego ani my chłopcy, ani nasz tata nie mogliśmy przegapić. Babcia ze względu na podeszły wiek przyszła tylko na jeden wieczór, aby swoją obecnością pokazać rodzinie swój udział w ich żałobie. W czeskich rodzinach nie śpiewano w domu zmarłych.

Pierwszą żoną Zaworskiego była Czeszka z okolic Zelowa, która po dwóch latach ich małżeństwa powiła córkę, Eugenię i jeszcze dwa lata później, umarła. Wychowywała ją starsza siostra Zaworskiego, jej ciotka. Miała ją jak swoją. Zaworski był z tego zadowolony, że córka jest pod dobrą opieką. Po wojnie ta pani też przeprowadziła się do Czechosłowacji. Spotkałem ją potem, dopiero jak zostałem dorosłym mężczyzną.
Kiedy Zaworski z rodziną przeprowadził się na Sikawicę, ożenił się po raz drugi. Z tego małżeństwa urodziły mu się dwie córki i syn, Edward, mój przyjaciel. Po urodzeniu się Edka, druga pani Zaworska, także zmarła.
Córka Zaworskiego z pierwszego małżeństwa, wyrosła na piękną pannę i bardzo mi się podobała.
Po śmierci drugiej żony, pan Zaworski martwił się, że nie może zapewnić wystarczającej opieki swoim dzieciom. Żeby utrzymać rodzinę, musiał dojeżdżać do pracy i często na noc nie wracał do domu. Czasami nie było nawet kilka dni.
Nie było nikogo, kto mógłby zająć się dziećmi. Ożenił się zatem po raz trzeci i poślubił kobietę o wiele lat młodszą, pomiędzy nią a jego najstarszą córką z pierwszego małżeństwa, różnica wieku nie była aż tak duża.
Z trzecią żoną miał dwójkę dzieci, syna Janka i córkę. Ta trzecia żona, była spoiwem w rodzinie.
Była dobrą macochą – prawdziwą matką dla wszystkich dzieci, w rodzinie był komfort i panowała prawdziwa harmonia.
Matka nie czyniła żadnego rozróżnienia między dziećmi, nie była jak typowa macocha.
Kiedy po wojnie zamieszkali na zachodzie Polski, przyjeżdżała do nich w odwiedziny z Czech siostra pierwszej żony, była dobrą, kochającą ciocią dla wszystkich dzieci Zaworskiego.
W czasie wojny nie odczuwałem żadnego napięcia w relacjach między rodzeństwem, ze strony macochy do dzieci. Nigdy nie usłyszałem: - Te dzieci nie są moje! Nie słyszałem ani nie widziałem, żeby którekolwiek z nich faworyzowała. Starsi musieli jednak wykonywać cięższą pracę, a młodsi – lżejszą.
Zaworscy udali się na tereny niemieckie, które po wojnie przypadły Polsce.

Nasz drugi sąsiad, pan Sobański, miał dwóch synów i jedną córkę; wygnał starszego.
Ożenił się z wdową z małym dzieckiem i tam w rodzinie, też panowała harmonia. Wydawało mi się jednak, że ich harmonia jest zimna, inna niż u Zaworskich. Jako chłopiec przeżyłem u Sobańskich wiele dobrych chwil. Córka, Maria bawiła się wieczorami w zimie, grając w karty z dorosłymi.
A kiedy i ja też z nimi grałem, traktowali mnie jako równego sobie gracza. W „mariaszka" – to ja byłem „numerem jeden". Graliśmy też w „oczko", ale na nieprawdziwe, papierowe pieniądze.
Sobańscy i Zaworscy, obie rodziny - wszyscy jak jeden, mieli jasno-blond włosy.

Bardzo mi się to podobało! Próbowałem wszystkiego, co było do wypróbowania, żebym i ja takie miał, ale po prostu nie zadziałało! Zazdrościłem chłopakom, którzy mieli blond włosy.
Też chciałem być jak chłopcy od Zaworskich i Sobańskich.
Pomyślałem sobie tak: - Moje włosy są czarne, bo nie myję ich często! Zacząłem więc myć włosy codziennie tyle, że w zimnej wodzie z mydłem „wojennym", które robiono z gotowania kilku kości, z dodatkiem popiołu ze spalonego drewna brzozowego. Myłem je kilka razy dziennie, ale to wszystko było na nic, bez skutku.
Pomimo niepowodzeń, nie zniechęcałem się i kontynuowałem proces rozjaśniania moich włosów.
- Robię to od tygodnia, ale ani jeden włos nie rozjaśnił się - myślałem smutny.
Kiedyś babcia Pospisilova, widząc jak często myję głowę, zapytała dlaczego myję ją z takim zaangażowaniem, po kilka razy dziennie?
Odpowiedziałem: - Tarzałem się po ziemi; lub chłopcy wsypali mi piasek we włosy i zaczęło mnie to szczypać i muszę umyć włosy.
- Ale czemu tak często się sypiecie tym brudnym piaskiem, nie macie innej zabawy?
Babcia myślała, że mówię prawdę. Swój sekret „rozjaśniania" włosów zdradziłem dopiero znacznie później.

****

Most Karola.

Najbardziej wciągającą gawędziarką, opowiadającą w domu różne historie, była nasza babcia Pospíšilová, dużo wiedziała, a może też zmyślała? Kiedy babcia miała trochę czasu, powiedziałem do niej: - Babciu, opowiedz nam coś, proszę.
Ja i mój brat usiedliśmy na ławie przed domem , ona zaś usiadła na krzesełku, wyniesionym z domu:
- Jest duże i piękne miasto zwane Pragą. - rozpoczęła opowieść babcia - Jest tam mnóstwo kościołów, duża rzeka i bardzo, bardzo stary most. Zbudowali ten most z jajek...
Wtedy odezwałem się i zapytałem: - jak można zbudować most z jajek? Babcia odpowiedziała:
- Tak było! Dawno, dawno temu, potężny i wielki król i cesarz Karol rządził w Czechach, ludzie byli mu posłuszni i lubili go. I on zbudował ten most i dlatego nazywa się go Mostem Karola.
Babcia zamilkła na chwilę, jakby szukając myśli i słów.
- Babciu, jak z tych jaj zbudowali most? - ponownie zapytałem - Zaraz ci powiem:
- wyłamali kamienie ze skał, przywieźli je do Pragi i z nich budowali. Ale budowniczym zabrakło zaprawy, nie mieli wapna, musieli wstrzymać budowę mostu. Rolnicy dowiedzieli się o tym, więc zebrali jajka z domów, a gdy było ich dużo, zabrali wszystkie do Pragi, aby budowniczowie mogli kontynuować budowę. I tak przyjechali wozami pełnymi jaj. Widząc to budowniczowie i król, bardzo się uradowali i zaczęli budować. Rozbili wszystkie jajka, które przynieśli im rolnicy, i zrobili z nich i z piasku zaprawę, a potem zabrali się do pracy. Stawiali kamienie i łączyli je tą zaprawą. Podobnie ale dużo wcześniej, postępowali budowniczowie murów Jerozolimy.
W rękach zabrzmiały młoty budowniczych mostów, ale także ich pieśni niosły się nad rzeką, przez którą budowali ten most. Mieszkańcy Pragi słuchali ich i podziwiali. Byli szczęśliwi, że mogą ponownie kontynuować rozpoczęte dzieło. Ludzie na wsi i w mieście całym sercem zaangażowali się w tę pracę! Kiedy jaja stwardniały w moście, zaprawa trzymała je jak z kamienia. Nigdzie na świecie nie zbudowano mostu tak drogo i z taką miłością jak w sławnym mieście Pradze, kiedy rządził tu słynny cesarz Karol IV - Ojciec Ojczyzny, jak go nazywano. Właściwie w tę pracę zaangażowany był cały naród czeski. A ten kamienny most jest do dzisiaj dumą całego narodu, w tym nas, mieszkańców Faustynowa, w końcu nasi przodkowie przy nim pracowali i nosili jajka!
Kiedy dorośniesz i będziesz chodzić po tym moście, musisz zdjąć buty, żeby go nie pobrudzić.
- Babciu, jak po nim przejdziemy, to ugryźmy go. Jak myślisz będą smakowały jajka z tego mostu?
-Nawet ty, i Pepík, nie dalibyście rady ugryźć. Jajka są już tak twarde, że dziś nikt ich nie rozpozna,

czy to kamień, czy zaprawa z tych jaj.

Jeszcze raz błagaliśmy babcię: - Babciu, co jeszcze wiesz o Pradze, opowiedz nam.
Babcia już nie wiedziała, o czym opowiedzieć, ale potem przypomniała sobie:
- Kiedyś moja babcia powiedziała mi i mojej mamie, że Praga to duże i piękne miasto, jest wiele kościołów i ta rzeka, jak ona się nazywa? Już zapomniałem. To przez tą rzekę, zbudowano most z jajek…
- Ale babciu, już to opowiadałaś.
- No cóż, masz rację. W porządku, utrwali ci się, przynajmniej tego nie zapomnisz.
A babcia kontynuowała dalej:
- Jest tam też starożytny zamek, w którym królowie czescy żyli do czasu ich stamtąd usunięcia przez obcych najeźdźców. A później, jak ich stamtąd wypędzono - wypędzili także naszych przodków z ziemi czeskiej. Chyba czescy królowie byli nieposłuszni Panu Bogu, kiedy ich tak bardzo srogo ukarał.
- Babciu, a ci nasi przodkowie też byli nieposłuszni Panu Bogu, że zostali wypędzeni?
- Z nimi moje, dzieci dzieci było inaczej, nasi przodkowie opuścili Czechy, bo byli posłuszni Panu Bogu. Nie chcieli zostać katolikami, żeby nie wyprzeć się wiary, więc musieli uciekać i tak dotarliśmy aż do Faustynowa, Sikawicy, Zelowa i innych miejscowości. Teraz muszę przerwać opowieść o Czechach. Nakarmię kury i kaczki, żeby mieć mięso na niedzielę. I kiedyś będziemy kontynuować tę historię ponownie…

****

Przed zimą.

Zanim nadeszła zima, musieliśmy zebrać z lasu ściółkę na izolację podłóg od spodu, oraz do „ogacenia" całego domu, tak aby zabezpieczyć się przed spodziewanymi, silnymi mrozami.
Za pomocą tylko pieców nie mogliśmy tak ogrzać domu, żeby zapewnić wystarczające ciepło, zwłaszcza przy oknach. Gdybyśmy nie ogacili ścian ściółką, to byśmy zmarzli.
Ale kiedy było już naprawdę zimno, mróz był tak mocny, że nawet ta izolacja niewiele pomogła. Najbardziej zimno ciągnęło od okien, które już były stare, wypaczone i przez to niezbyt szczelne, zimno dawało nam znać o sobie...
W czasie wojny w Polsce panowały silne mrozy. Srogie zimno dawało się we znaki szczególnie osobom, ukrywającym się przed Niemcami. Ci chronili się w szałasach, ziemiankach, spali w stosach słomy, w suchej koniczynie – zakradali się nocą do stodół...
Ale niebezpieczeństwo było wszędzie. Przed Gestapo ludzie nie mogli się długo ukrywać, z nielicznymi wyjątkami...

Nawet zające nie raz zapłaciły za zimę życiem, nawet ptaki, którym nie udało się ukryć przed zimą i odlecieć. Czasami nawet nie wytrzymały gawrony.

Ludzie przygotowywali się do sezonu zimowego już w okresie letnio – jesiennym.
Na łące lubieckiej wydobywano torf. Pojechaliśmy i my, żeby z naszych kopców pobrać wysuszone, torfowe „brykiety". Kopaliśmy i składowaliśmy do suszenia, nowe pryzmy torfowych cegiełek.
Kopali tam także ludzie z Zelowa i okolic. My też mieliśmy torf za „rogiem", jakieś trzy kilometry dalej. Minęliśmy las faustynowski i już tam byliśmy w lubieckim lesie i na łące. Było tu przez całe lato dużo pracy. My, chłopcy, kopiemy torf bardzo szczęśliwi, była to dla nas gra, rozrywka, źródło niezapomnianych przeżycia. Przetwarzaliśmy wykopany torf tak, aby z błota po odsączeniu wody, uformować szorstkie cegły, około dwudziestu do dwudziestu pięciu centymetrów długości, które potem schły od słońca. Kiedy wyschły, był to prawie czysty opał, z dodatkiem piasku.

Pracowaliśmy tak od rana do wieczora. Potem jechaliśmy do domu. Latem używaliśmy torfu do gotowania, oszczędnie, bardzo oszczędnie.
Ach, czytając pomyślicie teraz, że: „przecież dookoła mieliście lasy!” Tak, mieliśmy las, nie mogliśmy wycinać drzew, bo Niemcy „znacjonalizowali” (ukradli) nasze lasy. Mogliśmy tylko zbierać grzyby i jagody, zagrabić ściółkę, zbierać i odłamywać suche gałęzie drzewa, skacząc tu i tam, ale musieliśmy jakoś zgromadzić opał na zimę.

Latem głównie ja, musiałem zaopatrywać piec w suchy torf. Pomagałem babci nieść drewno na opał z lasu, czasami Pepík też chodził z nami. Lubiłem chodzić do Lubca po torf. Widziałem tam wtedy innych ludzi, patrzyłem, jak robią „cegły” z torfu. Tu i ówdzie kąpałem się w wodzie w miejscu, gdzie zbierano torf. Woda sięgała mi do pasa, a nieraz nawet więcej niż do pasa. Szukałem głębszej wody. Kiedy przeszedłem przez te „procedury”j, wkładałem torfowe „cegiełki” do worka i ruszałem na przełaj przez wzgórze, piaszczystą ścieżką przez las do Faustynowa, do domu. Kiedy było gorąco, pociłem się. Kurz zmieszany z potem, była dziwna kombinacja.
Przed zimą przywoził nam torf konno „nasz gospodarz”, Fajks Aleksander. Ale nawet w tym też „pomagałem”. Kiedy koń nie mógł ciągnąć wozu, Fajks i ja opieraliśmy się o boki wozu i pchaliśmy. Było to o wiele łatwiejsze i wydajniejsze niż noszenie torfu do domu w worku na plecach. W końcu, cały nasz torf był już pod dachem, zbliżała się jesień. W dwóch, trzech stawach łowiliśmy ryby. Nigdy wcześniej nie widziałem tylu ryb. Skończyliśmy połowy, a już w niedzielę, wszyscy o tym wiedzieli i zjechali się tu z całej okolicy.
To, co jeszcze mi się podobało na torfowisku, to wielkie, drewniane koło. Na nim umieszczono czerpaki, które zbierały wodę i wlewały ją do drewnianych korytek, przez które woda spływała do innego stawu. Obok stał stary motocykl który miał zdjęte tylne koło i połączony był z kołem czerpakowym przy pomocy naciągniętego, parcianego pasa. Kiedy trzeba było przelać wodę z jednego wyrobiska do stawu, ktoś uruchamiał silnik, „wrzucał” bieg i maszyneria zaczęła pracować!
I te ryby różnego rodzaju, mniejsze i większe. Ludzie chętnie kupowali ryby, zwłaszcza mieszkańcy miast. My, wieśniacy, potajemnie zdobywaliśmy ryby, łowiąc je na łące, w rzece lub gdzieś w stawie. Moje miejsce do wędkowania, raczej małych rybek, znajdowało się niedaleko od nas, gdzie płynęła niewielka rzeczka, obok której rosło duże i stare drzewo. Miało tyle korzeni, że nie raz się w nie zaplątałam. Tam złowiłem małe rybki, które moja babcia smażyła na maśle. Ale pięknie pachniały i smakowały! Czasami mam wrażenie, że wciąż czuję zapach smażonej ryby. Nie udało mi się odtworzyć nigdy potem ich niezapomnianego smaku.

Miejscowi kończyli sezon wydobywania tofu na lubieckiej łące, masowym, jednorazowym połowem ryb na okolicznych wyrobiskach. Liście na drzewach pożółkły i poczerwieniały, opadając na rosnący pod nimi mech utkał się nimi kolorowo, przyjmując na ziemi różne wzory; część igieł sosnowych też opadała; jaskółki poleciały do ciepłych krajów, stada innych ptaków też przygotowywały się do odlotu; tylko kruki, wrony i gawrony zostawały, zbijając się w stadach. Wiał zimniejszy wiatr, nie od gór, ale jakby z równin „syberyjskich”. Nawet słońce często owiane było czarnymi chmurami przed nadchodzącą zimą. Tylko my, ludzie, zostawaliśmy tu, żeby przetrwać mrozy i zamiecie. Nie mogliśmy jak ptaki odlecieć w ciepłe rejony.

Kiedy zima zapukała do drzwi, natychmiast przybył mróz ze swoimi „narzędziami”: naprawiał drogi, budował mosty nad stawami. Opierała mu się tylko płynąca woda, ale czasami i ona przegrywała walkę z zimnem.

****

Jak Biblia uratowała nam życie.

Zima znów miała swój czas. Zamarznięty śnieg skrzypiał pod stopami. Wieczory były jakby „skrojone na miarę” do odwiedzin przyjaciół i debatowania. O czym? Prawie o wszystkim, ale przede wszystkim o tym, że Niemcom nie udało się na frontach. W domu wszystko było pewne jak w inne dni. W miesiącach zimowych prawie każdego wieczoru przychodzili do nas przyjaciele mojego ojca, głównie ze Sikawicy. Oni też byli wtedy u nas w ten „feralny” wieczór. Goście siedzieli na ławie, na krzesłach stojących przy rozpalonym piecu. Babcia zasłaniała okna zgodnie z poleceniem. Robiła to zawsze tak, aby na zewnątrz, nie wydostawało się najmniejsze światło.

Policja była w wiosce, kontrolowali zaciemnienie okien. Niemcy bali się rosyjskich samolotów, ale z drugiej strony, chcieli utrudnić ukrywanie się osobom poszukiwanym. Niemcy grozili śmiercią każdemu, kto ukrywał osobę poszukiwaną przez Gestapo.

Kiedy Babcia zaciemniała okna, niechcąco zostawiła w jednym oknie szczelinę w zasłonie, ale o tym nie wiedziała. Przez szparę w oknie wypadało bardzo słabe światło, ale widoczne. Osoby szukające pomocy trafiłyby do domu, widząc światło w oknie.
Tata dorzucał drewno do pieca, sąsiedzi rozmawiali o wszystkim, co możliwe, ale głównie o polityce, wojnie. To było aktualne. Mężczyźni zazwyczaj spędzali w ten sposób swój wolny czas, aby zimowe wieczory płynęły szybciej. Każdy z nich wniósł coś nowego, dlatego wymieniali między sobą wiadomości.
Kiedy już tak pogrążyli się w rozmowie, ktoś zapukał do drzwi zewnętrznych, ojciec poszedł otworzyć, wszedł znany Polak, który czasami przychodził do nas na obiad, on też ukrywał się przed Gestapo. Babcia dawała mu maślankę, chleb z masłem, posiedział chwilę z chłopami, po czym wstał i wyszedł w ciemną zimową noc, choć wcale nie miał na to ochoty. Wiedział, że jego obecność, grozi surową karą nam i jemu samemu.

Może ze dwadzieścia minut po jego wyjściu, ktoś znowu zapuka do drzwi, ale to walenie nie było nieśmiałe. Ojciec poszedł otworzyć, a przed nim stanęło dwóch Niemców z karabinami, jeden w policyjnym, drugi w czarnym mundurze. Przyszli i zapytali: Macie tu rosyjskich zbiegów?
Tata powiedział, że nie ma żadnych więźniów, a Niemiec, że nie mamy zaciemnionego okna i trzeba nas ukarać. Babcia odwiodła ich od tego zamiaru. Powiedziała: - Przepraszam, zaraz to naprawię! I podbiegła do okna, zasłoniła miejsce, gdzie wpadało światło, uśmiechając się do policjantów, swoim, niewinnym spojrzeniem.
- Gut, dobrze – odpowiedział ten w czarnym mundurze. Kiedy odchodzili, powiedzieli: - Bądźcie ostrożni, my jeszcze tu przyjedziemy. Od tego momentu, debata przy piecu zeszła na inny temat.

Tata powiedział: - Mam nadzieję, że nikt dzisiaj do nas już nie przyjdzie. Tych różnych wizyt za dnia i wieczorem, było dość. Ale to jeszcze nie był koniec. Niedługo potem ktoś znowu zapukał do drzwi i to też dość mocno. Tata powiedział: - Niemcy znowu tu są! Otworzył drzwi a tam stał młody człowiek, trzymając w dłoniach ogromny kij mówiąc, że jest żołnierzem rosyjskim i uciekł z niewoli. Chce przenocować, bo nie może iść dalej, jest głodny i słaby. Babcia nakarmiła go i dała zawiniątko z jedzeniem, ale nie mogliśmy go zostawić na noc, narazilibyśmy życie swoje i jego. Tata mu powiedział, że we wsi są Niemcy i chodzą po domach, a u nas na pewno jeszcze będą i jak go tu znajdą, to i on i my stracimy życie. Ale on powiedział: - Giermanców się nie boję! Wskazał na swój kij. Tata błagał, żeby wyszedł, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, co potwierdzili wszyscy obecni mężczyźni, ale Rosjanin nie miał zamiaru wychodzić. Gdzie miałby pójść w takim

zimnie? - Toż nawet psa na dwór by nie wygnać w taki mróz! Żal nam było tego, młodego żołnierza. Strach o nasze życie był jednak silniejszy niż litość nad obcym człowiekiem, w tej chwili pojawił się problem ze współczuciem, wszyscy zapłacilibyśmy za niego życiem. Trzeba było poważnie potraktować groźby Niemców, gdy mówili, że jeszcze do nas wrócą. Na pewno nie żartowali. Gdy żołnierz zobaczył, że nawet Babcia się go boi, powiedział do niej z uśmiechem:
- Babcia, ty się nie bój! Po chwili jeniec wstał i wyszedł. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Sąsiedzi wracali do siebie. Nie wiedzieli, co może się jeszcze wydarzyć w ich domach.

Babcia powiedziała, że czas spać: - Dziś przed spoczynkiem, musimy pomodlić się dłużej niż kiedykolwiek wcześniej: - Vlastiku i Pepíku, wy też módlcie się żarliwie.
Uklękliśmy z bratem obok łóżka i każdy z nas modlił się półszeptem. Dzisiejsza Modlitwa Pańska zdaje się mówiona żarliwie i z całkowitym oddaniem, także poprzez Wyznanie Wiary: Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, i w Jego jedynego Syna, naszego Pana... i na koniec: „Pójdę spać, pozwól mi wstać, o mój Boże, z łóżka”.
Dopiero następnego dnia uświadomiłem sobie, jak cudownie Bóg nas wysłuchał!
Jeszcze zanim poszliśmy spać, babcia chwilę rozmawiała: - Dzisiaj mieliśmy tylu obcych ludzi: Polaka, Rosjanina a i Niemców, którzy ich szukali. To tak, jakby jedni drugim otwierali nasze drzwi. Jeden otworzył drzwi, drugi je zamknął. I jeszcze ci, którzy ich szukali!
- To naprawdę dziwne. A co gdyby Rosjanin, zbiegły więzień, spotkałby Gestapo? Co by się z nami wtedy stało? Widzicie, jak Bóg nas kocha, że cała trójka była z nami a nie spotkali się. Mogli się spotkać, ale nie spotkali się, było to kierowane przez Pana Boga. Może Niemcy musieli gdzieś zaczekać a ten Rosjanin znów, musiał się spieszyć. Kto to wie, jak Pan Bóg sobie z tym poradził? Z pewnością my nie wiemy. Ale to nie ma znaczenia, bo jedno to wiemy: Bóg kierował każdą z tych wizyt do nas i każdą z nich odpowiednio. Jakie to cudowne! I niesamowite, jak Pan Bóg może to zrobić.
Babcia powiedziała wtedy: - A teraz zaśpiewajmy pieśń: „Pod ochroną Najwyższego.”
Tata, tak trochę uroczyście, zaczął śpiewać, a my też trochę wzruszeni, ale mężnie i entuzjastycznie śpiewaliśmy: „Pod Twoją Opieką Boże Najwyższy raduj się, duszo moja, czujne oko twego Stwórcy nie drzemie ani nie śpi, nigdy nie śpi.” Skończyliśmy śpiewać wszystkie zwrotki i poszliśmy spać.
Kiedy kładłem się do łóżka, schowałem głowę pod kołdrę, a ponieważ byłem już zmęczony, wkrótce zasnąłem.

Nazajutrz babcia wstała jak zwykle najwcześniej, było jeszcze bardzo ciemno, odsunęła zasłonę z jednego z okien i na chwilę wyjrzała. Za kilka minut rzeka: - Emilko, chodź i zobacz, ilu Niemców jest na zewnątrz! Wtedy i ja też szybko wstałem.
Około pięćdziesięciu metrów od naszego domu, może mniej, może więcej, Niemcy zrobili żywy łańcuch, stojąc blisko siebie – jeden obok drugiego tak, żeby nikt nie mógł przejść między nimi. Wszyscy umundurowani: Gestapo i Żandarmeria. Spoglądaliśmy ukradkiem przez okno, mimo, że w izbie było zimno, chcieliśmy wiedzieć, co się dzieje. Babcia powiedziała:
- Dobrze, że tego rosyjskiego jeńca nie ma z nami. Bóg nas chroni.
Usiadła po chwili przy stole, wzięła deskę i kroiła na niej tytoń.
Kiedy już prawie świtało, do drzwi zapukali Niemcy. Tata otworzył im drzwi, a jeden z nich zapytał: - Czy są u was zbiegli, rosyjscy więźniowie? Tata odpowiedział spokojnie:
- Nie, nikogo tu nie ma. Głos mu w ogóle nie drżał. W izbie było jeszcze ciemno. Niemcy mieli latarki i świecili. Zaglądali pod łóżka, pod kołdry. Jedna kołdra wisiała na drążku pomiędzy szafą a ścianą. Tam też zajrzeli. Jeden Niemiec, prawdopodobnie dowódca, otworzył szafę, odsuwał wiszące ubrania, przeglądał przez chwilę, po czym zamknął drzwi. Po chwili wydał rozkaz przerwania rewizji i opuszczenia domu.
Tata i babcia w tym czasie, spokojnie kroili tytoń na desce, siedząc przy stole. Na stole, leżała też Biblia. Jeden z Niemców poprosił o trochę tytoniu do papierosa, ale jego dowódca, wpatrując się

uważnie w leżące na blacie stołu Pismo Święte, zabronił. Po chwili, wziął Biblię i powoli przeglądał ją, wertując kartki. Popatrzył się uważnie na babcię i ojca, odłożył księgę i wyszedł…

Scena ta rozgrywa się teraz przed moimi oczami, jakby wydarzyła się wczoraj…
Stałem chwilę i pomyślałem: - To jest coś niesamowitego ta moc, jaką ma Biblia, bo kiedy Niemiec na nią spojrzał, od razu wszystko w domu się uspokoiło. Choć wiedzieliśmy przecież, że nikt z poszukiwanych, nie ukrywa się w naszym domu, jednak po prostu się baliśmy. Nie wiedzieliśmy czego tak naprawdę szukają i co mogą znaleźć...

Po sprawdzeniu domów w Sikawicy i Faustynowie, Niemcy odjechali.
Może tak około godziny dziesiątej, ktoś bez pukania, cicho wszedł do domu. Zamarliśmy. To był ten sam żołnierz radziecki, który „odwiedził” na wczoraj, późnym wieczorem.   Tata zapytał go:
- Skąd się tu wziąłeś, Gdzie byłeś?
- Ukryłem się u was na w stodole. Kiedy wieczorem od ciebie wyszedłem, wszedłem tam na strych, wciągnąłem za sobą drabinę i zasnąłem. Było mi zimno i miałem nie ma innego wyjścia.
- Gdyby Niemcy znaleźli Cię na strychu, powiedzieliby, że ich okłamałem i nie chcę sobie wyobrażać, co byłoby dalej. Kiedy policja weszła do domu, zapytała, czy kogoś ukrywamy? Mówiłem, że nie ma tu nikogo obcego. Gdyby nie Biblia, którą Niemiec wziął do ręki, może już byśmy wszyscy nie żyli, albo wzięto by nas do więzienia! Może Niemiec pomyślał sobie:
- To są ewangelicy, oni na pewno nie kłamią….
Nie wiemy, jakie motywy nim kierowały. Ale wiemy jedno, Bóg stanął im na drodze poprzez Biblię. I tak musieli zakończyć rewizję i odejść z niczym...

Wydarzenia tamtego zimowego poranka miały ogromne znaczenie w moim życiu. Już wtedy, jako mały chłopiec, zdałem sobie sprawę, jak blisko ludzi jest Bóg!
Kiedy jeniec tak stał, a ja na niego patrzyłem, zadałem w myślach sobie pytanie:
- Czy wrócisz do domu pokonując wszystkie przeszkody?   Nigdy nie dowiedzieliśmy się, gdzie zakończyła się podróż życia tego młodego człowieka. Czy dotarł szczęśliwie do domu? Czy znowu wpadł w ręce Niemców?

Gdy jeniec skończył jeść placki ziemniaczane, które usmażyła mu babcia, do domu wszedł Polak, ten sam - który wczoraj wieczorem szukał u nas schronienia.
Kiedy kopaliśmy jesienią na polu ziemniaki, zakopcowaliśmy trochę w wymoszczonym słomą i igliwiem dole na polu. Ten Polak, gdy wieczorem od nas wyszedł, poszedł na nasze pole i tam ukrył się w kopcu na ziemniaki. Kiedy rewizja we wsi dobiegło końca, przyszedł dla nas, żeby zjeść i ogrzać się. Często tak do nas przychodził, a potem przestał i nie wiemy już, gdzie i jak zakończyła się jego podróż...

Ani ojciec, ani babcia nie przechwalali się nikomu tym, co wydarzyło się wieczorem i rano, surowo zabraniając nam też z kimkolwiek o tym rozmawiać. Tata nie bał się, że znajomi na niego doniosą, ale bał się, że któryś z nich może się po prostu wygadać przed kimś, przez kogo mogłoby to dotrzeć do uszu policji. Nikt wtedy chciał, żeby Niemcy zwrócili na niego uwagę.

****

W kościele.

Stryjek Józef z Ignacowa obiecał mi, że zabierze mnie do kościoła w Zelowie jeśli jeszcze raz do nich przyjdę i zostanę na niedzielę. Nie mogłem się doczekać tej chwili. Wiedziałem, gdzie jest kościół, znałem go z zewnątrz, ale w środku nie byłem jeszcze – poza chrztem.
Kościół był pełen ludzi. Na dole nie było dla nas miejsca, musieliśmy iść do góry na nawę.

Usiedli tam stryjek z ciotką, a dla mnie nie było nawet miejsca na ławie. Ale to mi nie przeszkadzało, chciałem stać, żeby widzieć księdza. To, co naprawdę bardzo mi się podobało, to nakryty białym obrusem stół, przy którym siedział ksiądz. Kantor Karel Jersák grał na organach tak mocno, że szyby się trzęsły. I ten głośny śpiew, jakby jeden chciał przekrzyczeć drugiego. Wszyscy śpiewali entuzjastycznie. Stałem przy samej „balustradzie" nawy, na palcach, żeby wszystko widzieć i niczego nie przeoczyć. Proboszcz na chwilę zniknął, po czym pojawił się ponownie i stanął na miejscu pomiędzy sufitem a podłogą, nie znałem jeszcze nazwy tego miejsca, na którym stał. Jak domyślacie się, chodziło o ambonę.

Po nabożeństwie wyszliśmy na zewnątrz. Przed kościołem było mnóstwo ludzi - nie dało się ich policzyć. Spacerem wróciliśmy do domu, do Ignacowa.
Długo potem rozmyślałem się nad odwiedzinami w kościele. Dwie rzeczy najbardziej utkwiły mi w pamięci: biały płotek w miejscu, gdzie przy białym stole siedział proboszcz i donośna muzyka organów.

****

Pogrzeby na Faustynowie.

Kiedy ktoś na wsi umierał, cały Faustynów pogrążał się w smutku się w smutku. Społeczność Faustynowa łączyły więzy rodzinne i przyjacielskie, nieraz bardzo głęboko. Także wszyscy przygotowywali się do pogrzebu, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety. Wszyscy byli ubrani w najbardziej odświętne stroje, jakie kiedykolwiek nosili. Smutek, każdy z nich objawiał na swój sposób.
Zmarły był wspominany w najlepszym wydaniu. Każdy go przecież pamiętał, większość chwil, które z nim doświadczył. Nie rozpamiętywano zaistniałych nieporozumień, waśni, zazdrości, wręcz przeciwnie, wspominano jak się dogadywali, jak sobie pomagali, jakim był dobrym człowiekiem i jak bardzo będzie nam go będzie brakować.
Znając i przestrzegając przysłowie Faustynowa: „O umarłych tylko dobrze!" Zawsze mieli to w sobie i praktykowali.
Dekorowano dom, z którego odbywał się pogrzeb, zamiatali podwórze, jakby to było święto.
I było to święto, chociaż smutne bo ciągle ktoś wychodził. Dekoracja w bieli i zapach kwiatów.
Co wywierało na mnie największy wpływ? Patrząc na dom smutku i żałoby, to widok wieka trumny, stojącego pochyło, opartego o ścianę, tuż obok drzwi wejściowych.

Na Faustynowie, jakieś pięćset metrów od nas mieszkała rodzina Tarabów. Zmarła ich babcia. W dniu pogrzebu odsłonięto wieko trumny i patrzyłem na nie długo, nie wiem, dlaczego zawsze tak robiłem…

Nasza ciocia Emilia. Nazywaliśmy ją Emilą, pochodziła z rodziny Poláčkov, była siostrą naszej babci, starą panną, trochę niepełnosprawną umysłowo, ale bardzo miłą i uczynną kobietą. Pomagała babci jak tylko mogła, była życzliwa dla nas, dzieci. Była bezpretensjonalna. Miała łóżko w rogu naszej izby. Tam spała, tam też położyła się po raz ostatni. Kiedy zachorowała i nie mogła już wstać, babcia przynosiła jej jedzenie do łóżka; a kiedy nie mogła już sama jeść, karmiła. Kiedy jeszcze chodziła, zajmowała się gospodarstwem babci, karmiła kurczaki, odchwaszczała ogród, rąbała drewno na opał, dokładała do ognia, nosiła wodę. Była wdzięczna za każdą okazaną jej drobnostkę.

Była zima i niedziela. Emila leżała chora w łóżku, my właśnie jedliśmy obiad. Zaraz po obiedzie babcia przygotowywała jedzenie dla Emilki. Na obiad jedliśmy knedle, które Emili bardzo smakowały. Babcia podała jej jedzenie, ale ona tylko skosztowała, odsunęła rękę, powiedziała coś dla nas niezrozumiałego. Babcia próbowała ją karmić, ale ona zamknęła usta, a babcia zobaczyła,

że nie może już jeść, że nadchodzi jej czas.

Kończyliśmy posiłek. Babcia też siedziała na swoim miejscu.
Emila leżąc w łóżku, westchnęła głęboko i po raz ostatni.

Odeszła na zawsze. Było mi jej szkoda. Zapytałem moją babcię, czy jej duszę też poniosą anioły. Babcia opowiadała mi, że kiedy umiera każda osoba religijna, aniołowie natychmiast zabierają ją do nieba. Ale Polacy z kolei mówili, że dusza zmarłego jest w domu aż do dnia pogrzebu. Kiedy trumna zostanie już z domu zabrana, dusza również wtedy odchodzi, ale nie do nieba, tylko do czyśćca. Tak wierzyli Polacy. Nie podobało mi się takie przekonanie, wiedziałem od babci, że żadnego czyśćca nie ma. Czasem nawet kłóciłem się o to ze znajomymi, ale ich nie przekonałem a oni nie przekonali mnie.
Szczerze, to bardzo chciałem, żeby dusza cioci Emilii była z nami przynajmniej przez jakiś czas aż do dnia pogrzebu. Ale moja babcia nauczyła mnie, że duszy już tu nie ma, tylko jej ciało czeka na swój pogrzeb. Duszę zabrali już aniołowie do nieba. Wieczorem, patrząc na gwiazdy, mówiłem sobie: - Ciocia Emila jest nad gwiazdami. Lubiłem śpiewać pieśń: „Tam mam dom nad gwiazdami, mam Ojca… - dla cioci Emilki.

Do dnia pogrzebu Emila leżała na łóżku przykryta lnianym prześcieradłem. Trochę się jej bałem jak umarła. Bałem się wstawać sama w nocy. Było bardzo zimno i ze względu na ciotkę paliśmy w piecu tylko po to, żeby babcia mogła gotować jedzenie. Ciepło z pieca nie docierało nawet do okna.

Nadszedł dzień pogrzebu. Przyjechał z rodziną jej brat Karel Poláček z Zelowa, brat taty Josef z Ignacowa i inni krewni. Niektórych z nich widziałem po raz pierwszy.
Rano tata wystawił wieko trumny na zewnątrz, opierając ją o ścianę domu, tak aby było widać, że dzisiaj u nas jest pogrzeb. Na pogrzeb przyjechał pastor Nevečeral z Zelowa. Po pogrzebie wszyscy, łącznie z proboszczem, wrócili do nas na poczęstunek przed podróżą powrotną. Nie pamiętam już, co wtedy podano na stół, ale nie było tego dużo. Pamiętam, że była herbata do picia, a ponieważ w domu nie było zbyt ciepło i było zimno na zewnątrz, obecni brzękali kieliszkami z wódką. Na rozgrzewkę palono też … papierosy!

Ciocia Emila pozostawiła po sobie pustkę. Nigdy nie mówiła zbyt wiele, ale była integralną częścią naszej rodziny. Ciocia prowadziła swoje bardzo skromne, ciche i ograniczone życie.
Kiedy odeszła na zawsze, brakowało mi jej przez długi czas…

****

Opowiadania babci.

- Babciu, opowiedz nam coś, prosimy … - No dobrze, robi się ciemno, więc wam opowiem. Ale gdzie to, na czym skończyliśmy? Dawno wam nie opowiadałam, jak z jajek zbudowano most w Pradze, kiedy nie było z czego robić zaprawy murarskiej... - Babciu, lepiej opowiedz nam, jak byłaś mała – powiedział Pepík. - Nie pamiętam zbyt wiele z dzieciństwa… - Więc powiedz nam to, co pamiętasz” – nalegał Pepík. - No już dobrze – powiedziała babcia:

- Kiedy byłam małą dziewczynką, tak jak ty teraz, ale to było dawno temu i nie tutaj, w Sikawicy. Urodziłam się niedaleko Zelowa. Rosły tam wtedy duże lasy dookoła, ja i moja siostra Emila chodziliśmy tam na grzyby i bawiliśmy się w „ślepą babkę”, to było kilka metrów od naszego domu. Byłam wtedy jak mówiłam, bardzo młoda. Dzisiaj mam już dużo siwych włosów, nawet zmarszczki na czole… - Babciu, wyglądasz staro, ale jeśli zdejmiesz chustkę z głowy, to już nie!
- Oj jestem stara, przecież mam wnuki, więc muszę być stara - I babcia kontynuowała swoją

opowieść: - Wszystko wokół nas się zmieniło. Dziś są inne drzewa niż kiedyś. Kiedy już podrosłam i wyszłam za mąż, mieszkali tu ludzie, którzy już nie żyją, ale tak już to jest. Rodzą się dzieci, a starzy umierają, żeby zrobić miejsce młodym do zamieszkania.
Wtedy zapytałem babcię, czy nie byłoby lepiej zbudować dom dla młodych, niż żeby starsi umierali i robili miejsce dla nich? Nasza babcia roześmiała się i powiedziała:
- Pewnie, że byłoby lepiej, gdybyśmy zamiast musieć umierać i zostawiać nasze domy młodszym, mogli dla nich zbudować dom, ale nie ma innego wyjścia. Dzieci się rodzą, a starzy ludzie umierają, tak postanowił Bóg, musimy się z tym pogodzić.
- Babciu, a powiedziałaś, że wszystko się zmienia, to co i my też zmienimy się?
- Oczywiście, ty też się zmienisz, dorośniesz, a twoi rodzice się zestarzeją.
- Babciu, a kiedy dorośniemy i kiedy mama i tata się zestarzeją?
- Dzieci, wszystko ma swój czas. Zima ma swój czas, wiosna ma swój czas, lato i jesień mają swój czas i tak też jest z nami, ludźmi. Pan Bóg tak to urządził i jest dobrze.
- Babciu, pamiętasz te drzewa, które rosną tu nad strumieniem? - zapytał Pepik.
- Wiesz, że pamiętam. Kiedy wyszłam za twojego dziadka Pospíšila, stał tu tylko ten dom i był jeszcze stosunkowo nowy, ale wokół domu nie było żadnych drzew, tylko krzaki, ale ich już tu nie ma. Twój dziadek przywiózł tam modrzew, jeszcze mały, i posadził go nad strumieniem. Stoi tam do dziś. Posadził też brzozy...
- A co z wiśniami, dziadek też je sadził?
- Dziadek ich nie sadził. Kiedyś rosły tu dwie śliwy, ale raz przemarzły, kiedy był duży mróz i musieliśmy je wykopać i spalić. Na ich miejscu, twój stryjek Josef zasadził trzy wiśnie, jedną przy domu a dwie tam przy drodze. Gdyby ich nie posadził, nie byłoby dzisiaj wiśni, trzeba posadzić drzewa, żeby coś pozostało dla innych.

Pepík zastanawiał się, czy babcia, kiedy była mała tak, jak on dzisiaj, czy ona też była niegrzeczna?
- Oj tak, Pepiku, ja też byłam czasami niedobra. Kiedyś dostałam w skórę od matki i to nie raz. Nie złościła się tylko Emila a jeśli już kiedyś, to była to wyłącznie moja wina, bo ją do tego doprowadziłam swoim zachowaniem.
- Każdemu może się przytrafić kara cielesna, jeśli zrobi rzeczywiście coś złego, tak jak ty na przy-klad zapominasz o czymś ważnym, więc i Ty zasługujesz na karę.
Tata daje ci klapsa, kiedy zapominasz, miałeś zrobić zrobić...
Vlastík raz bawił się z chłopcami w lesie i nie poszedł pasać krowy, krowa ryczała bo była głodna i dostał za to lanie.

Babcia kontynuowała historię:
- Kiedyś i ja wróciłam późno do domu, a miałam przyjść wcześniej, żeby iść pasać gęsi.
A gdy już wróciłam, to w domu czekała na mnie już... „karuzela”!
- Babciu, to ty jeździłaś na własnej karuzeli? Dlaczego my nie mamy takiej w domu?
Babcia roześmiała się i powiedziała, że to nie jest karuzela, na której jeżdżą dzieci, ale mama z tatą zrobili taką karuzelę, kiedy byłam niegrzeczna. Tata złapał mnie za rękę, wziął rózgę i dostałam tak wiele tyle razy, że nawet nie byłam w stanie tego policzyć. To się nazywało - karuzela!

****

Pan Balcerek.

Jedne z moich najmilszych wspomnień dzieciństwa, są związane z tym człowiekiem. Pracował na naszym gospodarstwie. Jego rodzina była bardzo biedna, żona prawie zawsze była w domu i leżała w łóżku. Niektórzy mówili, że nie jest chora, tylko że tak udaje, ale jej mąż był przekonany, że jego żona jest chora, więc zrobił dla niej wszystko. Mieli kilku chłopców, ale tylko jeden z nich był w

domu i był w tym samym wieku co ja. Pozostali chłopcy pełnili służbę gdzieś daleko u innych gospodarzy, do domu wracali tylko czasami. Balcerkowie mieli niewielkie pol, uprawa którego nie wystarczała na własne utrzymanie. Za pracę u nas dostawał jako zapłatę - ziemniaki. On miał pięćdziesiąt lat, ja dwanaście lat, ale rozumieliśmy się bardzo dobrze. Wspólnie pielęgnowaliśmy nasze grządki, wspólnie kopaliśmy ziemniaki i nosiliśmy je do domu na grzbietach lub taczkach. Pomogłem mu też zanosić do ich domu ziemniaki, które u nas zarobił. Balcerek pomagał mi zbierać żyto w czasie żniw. Ja kosiłem, a on związał snopy. Kiedy zboże zostało skoszona ziarno podeschło, nosiliśmy je do na slub zanosiliśmy do stodoły Fajksów. Kiedyś zawaliła się nam stodoła i już jej nie budowaliśmy, tylko przykryliśmy klepisko. Na budowę nowej stodoły, brakowało nam pieniędzy.

Życie w Faustynowie zawsze było trudne, zarówno dla starych, jak i młodych. Każdy musiał przyłożyć rękę do pracy. Być może tylko nieliczni mieli jakąś nadzieję, że kiedykolwiek ich sytuacja materialna poprawi się. Ale czasami poprawa – związana była nierozłącznie z przeprowadzką! Być może ktoś marzył o przeprowadzce do Łodzi, do Warszawy, a najlepiej byłoby przenieść się do Czech lub nawet do Ameryki. Nawet takie możliwości pojawiły się wkrótce po I wojnie światowej. W tym czasie z Zelowa i jego okolic, do Czech przeprowadziło się wiele czeskich rodzin i pojedynczych osób, zwłaszcza młodych ludzi. Najwięcej emigrowało chłopów. Czasami przeprowadzała się tylko część rodziny. Niektórzy mieli wciąż tu swoich bliskich. Wyjechali także młodzi ludzie, którzy chcieli studiować w Czechach. To była tak zwana pierwsza fala. Do pierwszej fali, zaciągnął się także nasz dziadek, Nemec z Faustynowa.

****

Zostanę księdzem.

Już jako mały chłopiec chciałem zostać księdzem. Fascynowały mnie zupełnie prozaiczne rzeczy związane z tym zawodem. Pragnąłem nosić sutannę i białą koloratkę na szyi. Niektórzy z tutejszych, nazywali ją tablicami prawa Mojżesza. I dla mnie były to także tablice Prawa Mojżeszowego. Drugą rzeczą, która przyciągnęła mnie do zostania księdzem... był rower! Proboszcz Neveceřal miał rower i czasami jeździł nim do Faustynowa. Któregoś dnia i ja będę jeździł na rowerze jako ksiądz. Będę mieszkać w Zelowie na plebanii i podczas nabożeństw będę siedzieć z przodu za „białą barierką, przy zaścielonym na biało Stole Pańskim i ludzie będą mnie podziwiać”. Zwierzyłem się z moich marzeń i planów młodszemu o rok kuzynowi, a on mój plan zaakceptował. Mój plan spodobał mu się bardzo. Powiedziałem mu, że zostanę księdzem, gdy ukrywaliśmy się przed deszczem pod deskami, przygotowanymi na budowę ich domu na Faustynowie.
Zwierzyłem mu się mu, że chcę zostać księdzem. Może on też chciał zostać księdzem? Ale to ja najpierw wymyśliłem ten plan. Zatem plebania w Zelowie będzie moja.

****

Wujek Němec. Do Faustynowa przyjeżdżał czasem do nas wujek Paweł Němec z Zelowa, który często kłócił się z dziadkiem w sprawach religijnych o to, co jest napisane w Biblii i jak ją poprawnie należy interpretować. Pamiętam, że miał przenikliwy głos. Dziadek nie mógł go przekonać, że nie ma racji. Zawsze kończyli dyskusje skłóceni, spotykając się ponownie i dalej kontynuując rozważania. Mówiono, że wujek Paweł Němec bywa czasem wśród badaczy Pisma Świętego i dlatego inaczej interpretuje Biblię. Że nikt nie jest w stanie go zrozumieć, a już na pewno się z nim nie zgodzić.

Po raz kolejny wuj Pavel Němec przyjechał do Faustynowa, gdzie mieszkał jego brat. Prawie za

każdym razem zatrzymał się u wujka, syna naszego dziadka. Była sobota, kiedy przyszedł ponownie do dziadka, usiadł na krześle przy oknie, a kiedy wszedłem do pokoju, zawołał mnie, posadził na kolanach, objął i dał kilka cukierków. Kiedy chciałem wstać i wyjść, zapytał mnie swoim przenikliwym głosem: - Co mógłbyś powiedzieć o tym, co się stanie w niedalekiej przyszłości? Czy chciałbyś poznać Prawdę?
- Wujku, a co ja mogę wiedzieć o najbliższej przyszłości? Ja nawet nie potrafię przewidzieć, czy za swoje niedbalstwo dostanę lanie rózgą od taty, czy mi się „upiecze"! Co ja mogę więcej powiedzieć? – pomyślałem. Wujek uważnie popatrzył na mnie, a ja na niego, ale nadal nie wiedziałem, co mam mu odpowiedzieć. Błagalnie spojrzałem na przysłuchującego się nam dziadka, a on widząc, że nie chcę dłużej dyskutować z wujkiem, szepnął do mnie:
- Powiedz wujkowi „dziękuję" i idź!
Posłuchałem podpowiedzi mojego dziadka i to uwolniło mnie od niechcianej dysputy z wujem.

****

Niemcy w odwrocie.

Choć krążyły już nieoficjalne pogłoski o wycofywaniu się Niemców z Rosji, doniesienia te nie były zweryfikowane. Ale ludzie chcieli w to wierzyć. Wydawało się, że postęp Rosjan na froncie wschodnim, jest znikomy i powolny. Wszyscy chcieli i nie mogli się doczekać, upragnionego przybycia wojsk rosyjskich. Tutejsi ludzie byli przekonani, że Hitler nie wygra wojny i wierzyli w to nawet wtedy, gdy Wódz Rzeszy ceremonialnie świętował kolejne zwycięstwa na froncie wschodnim. Tam, gdzie dotychczas armia niemiecka zwyciężyła, wreszcie zaczęła ponosić porażki, jedna po drugiej, aż w końcu znalazła tam swój grób! Ludzie wiwatowali, choćby cicho, tak aby nikt ich nie usłyszał. Wiwatowali, że armia Hitlera traci swoje zdobycze na wschodzie.

****

Rosyjscy Niemcy.

Na zdobytych w Związku Radzieckim terenach, mieszkało sporo rozproszonych osadników pochodzenia niemieckiego. Niektórzy z nich, mieszkali w Rosji dłużej niż sto lat.
Po zajęciu przez armię niemiecką tych obszarów, niemieckie władze postanowiły wszystkich Niemców ze wschodu Rosji ale także z państw sprzymierzonych z Rzeszą, przesiedlić na tereny Polski, które zostały przyłączone do Niemiec po roku 1939. Przenosili ich też tu do nas, a polskie rodziny, wysiedlano do „Protektoratu" (Generalnej Guberni). Zwiezionych ze wschodu Niemców, władze umieszczały w różnych ośrodkach dla przesiedleńców. Tam mieszkali w dobrych warunkach, razem - rodzinami, czekając na nadania gospodarstw lub domów w miastach, po wysiedlonych Polakach. Już swoim strojem ci ludzie wyróżniali się od nas, ale także od innych Niemców, przypominali raczej Cyganów. Byli to głównie starsi mężczyźni, potem kobiety i dzieci. Niemcy wzięli młodych mężczyzn do swojej armii. Rozmawialiśmy z nimi po rosyjsku. Na pierwszy rzut oka nie przypominali miejscowych Niemców ani Niemców, którzy przybyli tu z Wołynia na początku wojny. Mówiono, że będą musieli kontynuować podróż dalej, do Rzeszy. Czego ci ludzie doświadczyli w drodze, podczas takich, długich podróży?!
Było po nich widać, że wcale nie chcą dalej wyjeżdżać...
W końcu Niemcy nie byli już w stanie przesiedlać dalej tych „przebierańców", jak na nich mówiliśmy, wyglądających jak stado przerażonych zwierząt.
Porzucili ich tutaj, zostawiając na na łaskę nadchodzących ze wschodu Rosjan.
Armia rosyjska traktowała ich bardzo dobrze, nikomu nie zrobili krzywdy. Powiedzieli:
- To są nasi ludzie, nasi obywatele. Niemcy są nasi, radzieccy!

W krótkim czasie zabrano ich z powrotem tam, skąd Niemcy ich przywieźli, tak przynajmniej twierdzili Rosjanie. Ci rosyjscy Niemcy nie mogli się doczekać powrotu do domu.

****

Oczekując na koniec wojny…

Niemcy już zdawali sobie sprawę z tego, że nie będą w stanie długo utrzymać Polski, chociaż tego nie dawali po sobie poznać. Był rok 1944. Była jesień, każda rodzina musiała wyznaczyć spośród siebie, kogoś do kopania rowów przeciwczołgowych, a jak nie było kogoś, kto by kopał okopy, to trzeba było kogoś obcego zatrudnić i zapłacić mu! Nie miałem jeszcze trzynastu lat, kiedy poszedłem kopać okopy. Było to jakieś dwanaście kilometrów od nas. Kopali starzy, młodzi i dzieci. Nad nami stało kilku pilnujących nas Niemców po cywilnemu i dwóch policjantów. Jechaliśmy tam przez kilka dni, te okopy były teraz dla Niemców tak samo ważne, jak wcześniej bunkry faustynowskie dla Polaków, kiedy Niemcy najechali Polskę.

Pojawiały się doniesienia, że na froncie Rosjanie naciskają na Niemców i nie dają im spokoju. To była dla nas dobra wiadomość, jednak nie było możliwości sprawdzenia, jak to faktycznie wyglądało. Pewne było jednak to, że wojna dobiega końca. Nikt jednak nie wiedział, czy stanie się to za pół roku, czy za rok. Wiadomości, które do nas docierały, nie zawsze były równie miłe i jednoznaczne. Jeden z naszych polskich znajomych, pan Mizera, mądry człowiek, słuchający radia i czytający niemieckie gazety, powiedział:
- Początek końca wojny nastąpił dość dawno temu , już wtedy, kiedy Niemcy oblegli Stalingrad. Tam też się wykrwawili, tracąc ludzi i sprzęt do dalszej ofensywy!

Ludzie bardzo cieszyli się ze zbliżającego się końca wojny. Niemcom jednak nie okazywaliśmy oficjalnie naszej radości. Wiadomo...
Niemcy jakby zaniechali, zmniejszyli dotychczasową intensywność aresztowań ludzi, uspokoili się choć nie wykazywali żadnych oznak, że nadchodzi moment ich upadku.
Po prostu w to nie wierzyli!
Pewnego dnia miejscowy Niemiec powiedział:
- Nawet gdyby Rosjanie i Amerykanie dotarli aż pod Berlina, i tak zwyciężymy!!!!
Nasz Führer, Adolf Hitler ma w zanadrzu Wunderwaffe – cudowną broń! To straszna broń, kiedy jej użyjemy, świat będzie zdumiony! Ostateczne zwycięstwo, będzie nasze!!!
- Gdybyśmy nie wygrali, zmarnowalibyśmy wysiłek naszych dzielnych żołnierzy, którzy oddali swoje życie za naszego Wodza i za naszą wielką, Tysiącletnią Rzeszę!!!
Nasz Führer, Adolf Hitler nigdy nas nie zawiódł i nie zawiedzie. To, że armia niemiecka wycofuje się z Rosji, nie oznacza naszego końca. Hitler jest dobrym taktykiem i strategiem i doskonale wie, jak uczynić teraźniejszość i przyszłość dobrą i korzystną dla Rzeszy. Już teraz nie możemy się doczekać pokonania naszych wrogów i wdeptania ich w błoto. Mamy jeszcze wystarczająco dużo sił i czasu, aby pokazać światu, jak potężni jesteśmy. Nasza tajna, cudowna broń pokona, zniszczy naszych wrogów, wrzucimy ich do rzek, a one zabiorą ich do morza!
Świat jeszcze wszystkiego nie zobaczył, nie doświadczył - co potrafi armia niemiecka!

Na okupowanych terenach Polski, Niemcy robili się bardziej brutalni w miarę zbliżania się końca wojny. Słynny Jupp Fuchs, szef Arbeitsamtu (urzędu pracy) w Zelowie nadal, bez chwili przerwy, „zaopatrywał” niemieckie fabryki i gospodarstwa rolne w ludność zelowską. Nasilał „łapanki” ludzi i nie wierzył, że Hitler może przegrać wojnę. Nie wierzył nawet wtedy, gdy nad jego głową przelatywały pociski „Katiuszy”, co udowodnił swoim fanatycznym zachowaniem, pozostając na swoim miejscu w Zelowie do ostatniego dnia pobytu Niemców.

Dopiero w ostatnich godzinach wyjechał na swoim „charakterystycznym", budzącym strach na ulicach motocyklem, do Niemiec, ale było już za późno. W Łasku go złapano.
Polacy nie darowali takim ludziom.

Niemcy z terenów okupowanych musieli się spieszyć opuszczając domy, które należały wcześniej do Polaków, a w których przez całą wojnę żyli spokojnie. Z Fraszki chciał wyjechać pan Arendt, chociaż niektórzy z miejscowych gospodarzy przekonywali go, żeby nie uciekał.
Niemcy jednak wydali Zarządzenie, rozkazujące wszystkim Niemcom, ewakuację do „starej Rzeszy".
Uciekający blokowali teraz wszystkie drogi i ścieżki, prowadzące na zachód…

****

Niemcy uciekają.

Być może Niemcy nie przypuszczali, że Armia Radziecka będzie posuwać się w takim, szybkim tempie. Przypomniało mi to niemiecki pochód wojska pięć lat temu.

Około trzysta metrów od nas płynęła niewielka rzeka, Chrząstawka. Przez całą noc, przechodziły przez nią, rozproszone wojska niemieckie. Armia radziecka już deptała im po piętach. Niemcy uciekali, ile tylko starczało im sił; a ich wartość bojowa malała z każdą godziną. Nie tylko uciekali, ale także kryli się, gdzie tylko mogli. W gospodarstwie sąsiada Zaworskiego, ukryło się dwóch żołnierzy i jeden gestapowiec. Za zabudowaniami Sikawy wiodła droga z Woli Pszczółeckiej do Fraszki i dalej przez Czerniny, aż do Widawy.
Zachowanie ukrywających się u Zaworskiego żołnierzy niemieckich, zwłaszcza funkcjonariusza Gestapo, pokazało, że stracili oni już rozum i zdrowy rozsądek. Rzucali granatami w sowieckie samochody, na szczęście żaden nie eksplodował. Kiedy wojsko rosyjskie zauważyło, co się dzieje, otoczyło dom, rodzina Zaworskich leżała jeszcze w łóżkach nie wiedząc, co się dzieje.
Było jeszcze ciemno… W pobliżu ich domu rozległ się ogień z karabinu maszynowego. Rosjanie wysadzili strop w stodole. Nasz dom znajdował się niedaleko Zaworskich, więc wyglądało, jakby wokół nas strzelali. W tym momencie wybiegła na dwór nasza babcia, krzyczeliśmy, żeby nie wychodziła, ale ona już stała pod oknami domu i patrzyła, skąd padają strzały.
Po chwili strzelanina ustała. Rosjanie wezwali Niemców do poddania się. Poddali się. Najpierw po drabinie zeszło dwóch żołnierzy, za nimi kolejny, ranny, funkcjonariusz gestapo. Trzymał w dłoni pistolet, ale Rosjanie tego nie zauważyli. Strzelił z drabiny w stronę żołnierzy rosyjskich, raniąc jednego z nich. Jakiś rosyjski żołnierz oddał serię w stronę gestapowca z karabinu maszynowego i natychmiast skoczył, żeby zobaczyć, czy trafił.
Byliśmy ciekawi, co wydarzyło się u sąsiadów. Szybko pobiegliśmy do nich.
W otwartych na oścież wrotach stodoły Zaworskich, zobaczyliśmy leżącego na klepisku, zabitego gestapowca. Rosjanie zdjęli mu skórzane buty, zabrali to, co miał przy sobie, i zostawili go tam leżącego.

Kiedy w ciągu dnia armia radziecka wkroczyła do Faustynowa i Sikawicy, natychmiast rozstawili armaty i rozwinęli linie telefoniczne, aby móc przekazywać rozkazy wojsku. Żołnierze rozpalali ogniska i gotowali jedzenie, ale gdy niespodziewanie nadleciał niemiecki samolot, natychmiast otoczyli ogień i próbowali stłumić jego płomienie swoimi płaszczami.

Nie wiedzieliśmy, jak daleko od nas są Niemcy i czy w ogóle mają gdzieś armię w odwodzie. Najprawdopodobniej armia niemiecka została rozbita, a żołnierze uciekli.
Trudno wyrazić radość, jaka zapanowała wśród ludzi, gdy wkroczyła do nas armia rosyjska. Każdy dom był pełen rosyjskich żołnierzy. Jeden ze starszych oficerów, położył się na naszym łóżku,

tak jak stał, nie zdejmując nawet butów. Wydało mi się dziwne, że nie zdjął ubrania. Ale oczywiście nie wiedziałem, że wszyscy musieli być w pełnej gotowości. Żołnierze wzięli od nas jeden lub dwa worki zboża i zanieśli je sąsiadom. Podejrzewaliśmy, że sąsiedzi oszukali żołnierzy, aby to zrobili. Ale nawet takie lub podobne wydarzenia nie są w stanie zmącić radości z faktu, że Niemców już tu nie ma!

Na polu Zaworskiego przed jej domem stała sterta słomy.
Jeden niemiecki żołnierz (Własowiec), schował się w niej. Nie wiem jak, ale znaleźli go żołnierze rosyjscy, zaraz potem odbył się „sąd" wojskowy, który skazał go na śmierć.
Wyszedłem i widziałem, jak żołnierze rozmawiali ze swoim oficerem kilka minut pod domem Zaworskich a ich jeniec, może dwudziestoletni Ukrainiec w niemieckim mundurze, trząsł się nie tylko z zimna, ale i ze strachu o życie. Za chwilę usłyszałem pojedynczy strzał.
Zastrzelili tego „własowca". Bałem się wyjść na zewnątrz. Ciągle widziałem przed sobą, tego młodego mężczyznę, jak błaga o swoje życie.
Kiedy byłem w domu, dowódca rosyjski kazał jednemu z żołnierzy zastrzelić tego „własowca", ale żołnierz odmówił, kazał drugiemu, ale ten też odmówił, wtedy wystąpił inny żołnierz, Żyd i zastrzelił go. Własowiec błagał rozpaczliwie tego Żyda:
- Nie strzelaj, będę ciężko pracować.

Martwy żołnierz leżał potem długo, zaledwie kilka metrów od wioski, jakby stanowił ostrzeżenie dla wszystkich zdrajców.
Krowa Zaworskiego zerwała się z łańcucha, pobiegła depcząc twarz zabitego. Byłem przerażony tym widokiem.
Płatki śniegu latały wokół, wystarczyło kilka chwil, by pokryły ciało zmarłego żołnierza białym całunem, że już nie było widać jego okaleczonej twarzy.

Kiedy armia radziecka opuściła Faustynów i Sikawicę, przymrozki nieco ustąpiły i mężczyźni, pochowali żołnierza. Leżał tu dość długo. Nawet my, dzieci, przyzwyczailiśmy się już do śmierci, która „kręciła się" wokół nas.
Rosjanie nie pozostali tu długo, postępując naprzód za cofającymi się Niemcami, nie dali im chwili wytchnienia.

Wycofujący się Niemcy pozostawili na Woli Pszczółeckiej, odległej od nas około kilometra wiele porzuconych samochodów, broni i dużą ilość amunicji, którą skrzętnie zebraliśmy i przenieśliśmy do wsi. Zajęło nam to dużo czasu.
Zaczęto samorzutnie też tworzyć „polską siłę zbrojną" do pilnowania porządku, widzieliśmy kilku „wojaków" poubieranych we wszelkiego rodzaju mundury, maszerowali przez wieś…

****

Łzy radości i bólu.

Kiedy minęło kilka tygodni, łzy radości zaczęły mieszać się ze łzami smutku i bólu.
Jedni wracali z więzień, z obozów koncentracyjnych, z przymusowych robót, ale niektórzy już nigdy nie wrócili. Jednak ich rodziny przeżyły całą wojnę w nadziei, że kiedy minie ta sroga „burza gniewu", ich bliscy wrócą do domu. Pani Gurniakowa, która pracowała dla nas przez całą wojnę, nie zaznała upragnionej radości. Jej rodzina nie chciała wierzyć, że ojciec już do nich nie powróci. Żona nadal czekała, a mieszkanie było dla niego zawsze gotowe, przez długi czas wymieniała zwiędłe kwiaty na świeże. Tu i ówdzie, nawet po długim czasie, ktoś wracał i znów pojawiła się nadzieja, że nie wszystko stracone. Razem z nią czekaliśmy też na jej męża, płacząc też razem z nią. Nie mogła się doczekać. Z obozów koncentracyjnych wróciło nawet kilku Żydów, po których

nawet nie spodziewano się powrotu. Gdy tylko wrócili, zaczęli coś robić, handlować, aby nikomu nie przeszkadzać. Więc zadbali o siebie sami. Ale i oni nie zostali przyjęci w polskim środowisku z otwartymi ramionami.

W naszej rodzinie także wyczekiwaliśmy powrotu naszych bliskich. Wiedzieliśmy już, że mama żyje wróci do domu najszybciej, jak to możliwe. Niektórzy dowiedzieli się, gdzie i jak zginęli ich bliscy, inni nie dowiedzieli się nic o ich śmierci. Zniknęli bez śladu. Wśród zaginionych bez śladu był nasz faustynowski sąsiad i przedwojenny sołtys, pan Bocian.

O piękna i radosna niedzielo! W ten niedzielny poranek nasza mama wróciła z Niemiec po pięciu latach niewoli. Zrobiłem pranie w sobotę, a w niedzielę nadal wisiało na zewnątrz. Mama była bardzo zadowolona na widok rezultatów mojej pracowitości. Nie udało nam się jednak zobaczyć dwóch członków naszej rodziny, dwóch Karelów, braci mojego ojca i matki.
Były i takie rodziny, których bliscy nie wrócili w ogóle.

****

Powojenne rozliczenia.

Po wojnie zaczęto prowadzić rozliczenia. Polacy oskarżali Czechów o to, że dostawali kartki żywnościowe takie, jak Niemcy albo prawie jak Niemcy.
Niemcy, którzy byli wcześniej dumni z tego, że są Niemcami, po wojnie stali się pogardzaną, znienawidzoną mniejszością.
Być Niemcem oznaczało bycie najgorszym, pogardzanym, opluwanym i obwinianym o całe zło wojny.
Ludzie zarzucali im:
- To wy odpowiadacie za wszystko! To przez was nasi bliscy nie wrócili, wyssaliście tyle naszej krwi, tyle wylanych łez! To przez was nasze oczy przez całe pięć lat nie wysychały od płaczu.
Niemcy, którzy pozostali, milczeli i też płakali. Jeden z Polaków powiedział:
- Płaczcie, płaczcie, macie powód do płaczu, to wszystko wasza wina. Kto traktował nas jak bydło, komu musieliśmy schodzić z drogi, oddawać nasze dobra, wynosić się z naszych domów i gospodarstw?
- Nasze dzieci przez pięć lat nie mogły chodzić do szkoły, niech chociaż trochę spróbują teo wszystkiego teraz wasze dzieci!!!

Co ta wojna zrobiła z ludźmi! Ci, którzy byli przyjaciółmi przed wojną, teraz przeklinali się. Wiele mieszanych małżeństw rozpadło się. Wiele rodzin przestało istnieć. Wszyscy oddalali się od siebie, choć kiedyś żyli zgodnie i razem.
Był jeden dobry człowiek, nikomu nie zrobił krzywdy, ale pomagał kiedy było to konieczne.
Jego żonie w czasie okupacji powodziło się dobrze, a teraz go zostawiła, zamiast wstawić się za nim. To było niechrześcijańskie. Razem z nami przeprowadziła się do Czech. Razem z nią wyjechało dwóch jego synów. Jeden pochodził z pierwszego małżeństwa, drugi młodszy, był jej, wyjechali razem.
Niemiec został się do Zelowie i tam pozostał,samotny i porzucony!
Nawet teraz, po tylu latach jest mi szkoda człowieka.
Nigdy więcej nie spotkał własnego syna.
I najwyraźniej jego policzki nigdy nie wyschły od łez!

Starszy pan Arendt z Fraszki teraz wypasał krowy w Zelowie. Ale ten po pewnym czasie wraz z rodziną przedostał się do Niemiec Zachodnich.

Jego starszy syn wraz z rodziną przeniósł się do Kanady, jego córka wyszła za mąż za Czecha w Zelowie i przeprowadziła się do Czechosłowacji.

Czesi, którzy w czasie II wojny światowej sympatyzowali z Niemcami, próbowali opuścić Polskę przed jej zakończeniem. Potem Polacy obwiniali nas wszystkich, o korzystanie z przywilejów jakie mieli przecież tylko Niemcy, co było wierutną bzdurą. W czasie niemieckiej okupacji, część Czechów uzyskała od „władz" Protektoratu Czech i Moraw zaświadczenie, że są Czechami – poddanymi Protektoratu - poddanymi Rzeszy Niemieckiej. Dało im to „pewne" prawa i być może także pewne korzyści. Takiego „potwierdzenia" jednak nie miał żaden z faustynowskich Czechów, więc oszczędzono nam tych ataków. Z drugiej strony pojawiły się inne niedogodności, o których wiedzieliśmy, że są złem wywołanym wojną. Coraz częściej z ust naszych polskich sąsiadów słyszeliśmy:
- Do Pragi, załadujemy was na taczki i zawieziemy do Pragi, „pepiki, koty"!!! - Tak, jak to czasami nazywano jeszcze przed wojną. Czekaliśmy więc tylko, kiedy to pojedziemy do Pragi, jechaliśmy tam nie na taczkach, ale pociągiem, nawet w bydlęcych wagonach…

****

Oczekiwanie nadchodzących dni.

Fala radości, którą przeżyliśmy po zakończeniu wojny, powoli opadła, pojawiły się codzienne troski o nagą egzystencję. Wielu Polaków przeniosło się na byłe, wschodnie tereny niemieckie, które po zakończeniu wojny przypadły Polsce.
Wyjazdy na nowe, polskie ziemie, możliwe były także dla Czechów w Zelowie i okolicach, jako nowe możliwości, nowa „przyszłość", alternatywa dla nas.

Chociaż zawsze tęskniliśmy za Czechami i nie mogliśmy się doczekać powrotu do naszej, dawnej ojczyzny, kolebki naszych przodków, to jednak dla niektórych z nas, ta nowa, powojenna sytuacja, była też zaskakująca. Przecież Czesi w okolicach Zelowa, mieszkali tu przynajmniej cztery pokolenia z rzędu! Ostatnia generacja Czechów z Faustynowa, w prostej linii wywodziła się od tych, którzy wykupili majątek hrabiny Faustyny i byli budowniczymi – założycielami Faustynowa. Oni to wymierzyli wszystkie działki pod indywidualne gospodarstwa, oznaczyli katastralnie nowe granice, wykarczowali lasy pod pola uprawne, a na koniec - wszyscy tu pozostali na zawsze, śpiąc spokojnie na cmentarzu, który też sami założyli. Żyjąc, sercami stale tęsknili za krajem przodków, w duchu spoglądając poza granice nowej ojczyzny, z powrotem do Czech, gdzie niektórzy z nich wciąż żywo pamiętali swoje miejsca, chaty i leśne ścieżki. Chcielibyśmy im dzisiaj powiedzieć:
- Drodzy Dziadkowie, to za czy tęskniliście, o czym wspominaliście – my niedługo sami zobaczymy! Co by nam powiedzieli? Z pewnością powiedzieliby:
- Wreszcie zobaczyliśmy w Was to, kim sami byliśmy w duchu naszym, i czego szukaliśmy...

Jakże teraz my pożegnamy naszych przodków, zostawiając to, co zbudowali, posadzili i uprawiali? Tutaj znaliśmy każdy „rów", każdą granicę, każdą sosnę w naszym lesie, znaliśmy nawet latające ptaki, które na wiosnę, po zimie wracały do nas z ciepłych krajów; nawet świerszcze na naszych łąkach i w naszych domostwach grające, nawet zmarszczki na naszej rzece - nie mówiąc już o ludziach, z którymi łączyła nas szczególna więź przynależności.

Pastor Kościoła Ew. Reformowanego ksiądz Radechovský, organizował przeprowadzkę zelowskich Czechów do Czechosłowacji. Lato 1945 roku nie było upalne – letnie słońce się rozgrzało i dopieszczało nas, po tak długiej „zimie" – porze roku i czasie „gniewu rozliczeń".

Do przeprowadzki przygotowywali się też Czesi z Faustynowa. Emigrowali w dwóch etapach. My

byliśmy w pierwszym, przed żniwami. Drugi etap miał się rozpocząć po porze żniw, więc ci co mieli w nim jechać, mogli po raz ostatni cieszyć się owocami własnej pracy…

****

Przygotowania do przeprowadzki.

Każdy z opuszczających Polskę, musiał przygotować wszystkie dokumenty, zarówno tożsamości, jak i zaświadczenia majątkowe.
Tata pojechał do Zelowa po metryki chrztu, a ja pojechałem razem z nim. Przyjechaliśmy do Zelowa, jesteśmy w parafii, przyjął nas ksiądz Jarosław Niewieczerzał w porze obiadowej. Przerwał posiłek dla nas, w kancelarii wypisał nasze akty urodzenia z księgi metrykalnej. Proboszcz wystawiał je przed nami. Przyglądałem się, jak pisał. Bardzo, bardzo podobał mi się jego charakter pisma. Wypisując metryki urodzenia, życzył nam szczęśliwej podróży do Czech i powiedział, że może ktoś jeszcze w Zelowie zostanie. Aktu małżeństwa nie wypisywał, bo ten tata miał jeszcze z czasów okupacji, kiedy mama potrzebowała go w Niemczech i tata musiał jej go wysłać.
Był sporządzony po niemiecku i sprawiało nam to pewne problemy w Czechach ze względu na ten język. Brano nas za Niemców, nawet w biurze przesiedleńczym w Pradze wzięli nas za Niemców!
Część dokumentów majątkowych mieliśmy spisaną po rosyjsku, część po polsku. Zależy to od tego, kiedy pole zostało zakupione, czy za panowania Rosjan, czy Polaków. Mieszkaliśmy raz na pograniczu rosyjskim, innym razem na polskim – cały czas w jednym i tym samym miejscu. Czasy zmieniały się, zmieniały się też rządy polityczne i… Państwa.

Kiedy już mieliśmy przygotowane „na wyjazd" dokumenty, chcieliśmy sprzedać trochę rzeczy z tych, których nie mogliśmy zabrać ze sobą. Nie było ich za wiele, ale chcieliśmy mieć ze sobą trochę pieniędzy. Mieliśmy do sprzedania trochę mebli: kredens, dwa stoły, krzesła i łóżka.
Chcieli je kupić Polacy z bardziej odległej osady. Cena została już uzgodniona i była niewielka. Mimo to kupujący odwołali zakup. Rozprzestrzeniło się wśród Polaków przekonanie, że Czesi nie będą mogli nic sprzedać, że mogą zabrać ze sobą tylko rzeczy osobiste i najpotrzebniejsze.
Ci, którzy mieli ochotę na nasze skromne meble, pomyśleli sobie, że dostaną to za darmo.
Kiedy okazało się, że to tylko plotka, przyszli ponownie i chcieli to kupić, ale mama powiedziała, że już to obiecała sąsiadom i że nie jest na sprzedaż.

****

Moje, ostatnie spojrzenie.

Podobało mi się teraz wszystko dookoła. Rodzinne, znajome otoczenie, niech to będzie rumianek, nawet ten dziki, porastający pole lub łąkę, pokrzywa rosnąca pod pachnącym, liliowym lub białym, kwitnącym krzakiem bzu, samotnie rosnąca za domem brzoza a na niej ptaki rywalizujące ze sobą w śpiewie. Spoglądałem, podziwiając wszystko, co poruszało i oddychało - podziwiałem wszystko inne też. Podziwiałem naszą babcię Pospisilovą, także babcię Němcovą, wszystkie babcie i dziadków z Faustynowa; wydali mi się tacy mądrzy! Do naszej rodziny należała także babcia Poláčkova, była wyjątkowa, mądra, a przy tym bardzo pobożna. Jej pobożność, podobnie jak pobożność mojej babci, była prawdziwą pobożnością – jak szlachetna, trwała ozdoba. Patrzyłem na nie jako duży już chłopak, a nie dziecko, podziwiając. I nie raz chciałem być tak samo pobożny jak moja babcia i ciocia, obfitować w błogosławieństwa i piękno Boże.

****

Czas pożegnania.

Podobnie jak kiedyś rozpalaliśmy ogniska jesienią pod wieczór, kiedy wykopano z pól ziemniaki i tym razem też rozpaliłem ognisko na pożegnanie. Myślałem: - pewnie przyjdą moi przyjaciele. Jak mogli nie przyjść, kiedy im powiedziałem, że pożegnamy się wieczorem. Po prostu tak pomyślałem.
Nie było to dalekie od prawdy – miałem wyjechać za trzy dni.
Czekałem na zmrok. Ciemność nie była taka, jaką sobie wyobrażaem. Gwiazdy świeciły, a po północy zaświecił księżyc, ale nie widzieliśmy już jego światła. Wreszcie płonęło tylko ognisko.
Śpiewaliśmy polskie piosenki i patrzyliśmy w niebo, usiane gwiazdami.
Ogień płonął! Płomienie się podniosły się jaśniejąc i rozświetlając zgromadzonych dookoła ludzi. Dzisiaj wieczorem nawet dorośli na chwilę stali się dziećmi. W naszych oczach, jednocześnie było widać ogień i łzy. Nawet dorośli nie wstydzili się łez.
Przyjaciółka mamy, żona Aleksandra Fajksa zapytała:
- Czy konieczne jest, abyście wyjeżdżali? Mieszkamy tu razem tak długo i przez cały ten czas nigdy się nie pokłóciłyśmy. Będę za Tobą tęsknić i nie mówię tego tylko od siebie. Nie wyobrażam sobie, że za trzy dni Twój domek będzie pusty. Kiedy będę przechodziła obok, serce mi się ściśnie.
Zapadła cisza. Wszyscy patrzyliśmy na płomienie wznoszące się w górę, jakby składano całopalną ofiarę. Nasza babcia przerwała ciszę, krótkim wersetem biblijnym:
- Mamy tutaj nie miasto, które pozostaje, ale to, które ma nadejść i mnie szuka. I dodała: -Ty i my.

Na końcu Sikawicy znajdowało się jeziorko, z którego wcześniej wykopywano glinę pod budowę chat, ale to było dawno temu. Po wyrobiskach z których wydobyto już glinę, pozostały małe „jeziorka", duże stawy - których brzegi porośnięte były wysoką trzciną i tatarakiem.
Stawy te były od każdej wiosny do jesieni - rajem dla żab i dla ropuch. Poziom wody spadał tutaj dopiero podczas najgorszej suszy. Co wieczór żaby dawały tu swój koncert. Lubiłem tego słuchać wieczorami. Dzisiejsza noc nie była inna. Rozstaliśmy się przy dźwiękach żabiego rechotu...

Mama pozszywała to co było podarte, pocerowała, ponaprawiała garderobę jak mogła najlepiej i tak przygotowaliśmy się do wyjazdu. Tata zorganizował sprzedaż krowy.
Sąsiad Sobański już wziął nasze pole i chatę. Obiecał też, że zawiezie nas na stację.
Czesi w Faustynowie żyli w szczególnej euforii przygotowań do przeprowadzki. Przypomniałem sobie, jak babcia opowiadała nam o Pradze, jaka jest piękna, ile jest tam kościołów i wież.
I ten Most Karola, zbudowany z jaj przyniesionych ze wsi przez chłopów! Czy to wszystko jest prawdą, czy tylko bajką, przekonamy się już niedługo w osobiście.
Entuzjazm towarzyszący naszemu oczekiwaniu został przygaszony wnet przez Sobańskiego.
Tata już sprzedał krowę, mamy pieniądze i liczyliśmy na nie, że przydadzą się na początek w Czechach. Wtedy Sobański poprosił ojca o zwrot krowy, że niby należy do niego, jako nieodłączny składnik majątku, który przecież jest teraz jego! Chce więc krowę z powrotem!
Powiedział to na kilka godzin przed naszą podróżą. Groził, że zabije mojego tatę i nigdzie się nie ruszymy! Zrezygnowany tata musiał w nocy iść pieszo po krowę, jakieś dwadzieścia kilometrów. Wrócił rano i dopiero wtedy mogliśmy się spakować. Sąsiad oczywiście nie dał nam za nią ani grosza. Kiedy Sobański zabierał krowę, powiedział:
- Zawiozę was na stację.
Nastroje były bardzo mieszane, mimo że żegnaliśmy się trzy dni wcześniej Sąsiedzi również ostatniego dnia byli bardzo przyjaźni. Mieszkaliśmy tu razem przez kilka pokoleń. Gdyby nie wojna, mieszkalibyśmy tu nadal.

Cały konwój tych, którzy mieli opuścić Faustynów, miał wyruszyć pociągiem z Widawy (obecnie

stacja kolejowa: Chociw Łaski). Wyjazd na stację kolejową wyznaczono o trzeciej po południu. Wszyscy mieli wyjechać w tym samym czasie, aby po drodze nie zostali okradzeni. Niebezpieczny to był czas, złodziei nie brakowało.

Zegar szedł powoli. Słońce na niebie było jak przykute. Im bardziej chciałem, żeby było szybsze, tym wolniej się poruszało, zdając się celowo pozostawać nieruchome. Tylko dwa razy w życiu miałem taki długi dzień. Nasz wierny sąsiad i robotnik rolny, pan Balcerek płakał jak dziecko, mówiąc: - Przez całą wojnę dawaliście mi pracę, ziemniaki, kapustę i to, czego potrzebowałem. A kto mi teraz pomoże?
Żona Fajksa nie mogła rozstać się z naszą mamą. Obie płakały. Były obie przecież starymi przyjaciółkami. I ja pożegnałem się z przyjaciółmi. Powiedziałem im, że kiedy dorosnę i będę miał pieniądze, przyjadę ich odwiedzić. Nasza rodzina przecież mieszkała tu przez całe dziesięciolecia. Zostaliśmy teraz wygnani precz z własnej ojcowizny i na zawsze oddzieleni od tych, którzy byli nam drodzy. Nie będziemy już odwiedzać ich grobów. Babcia nie zapłacze już nad grobem naszego dziadka, swojej siostry Emilki, jej syna Julka. Właściwie to nawet nie pamiętam, czy kiedykolwiek po emigracji z Polski, miała czas na łzy i wspomnienia.

To moi przodkowie zbudowali ten dom, w którym będą teraz mieszkać ptaki i nietoperze, jeśli sąsiad go nie zburzy. Dziadek kopał te rowy, przez które przeskakiwałem; zasadził drzewa, na które się wspinałem. Tutaj doświadczyliśmy cudów Bożych podczas wojny! Tutaj na polu orałem skiby i sadziłem ziemniaki, by jesienią zebrać je z pola i w workach nosić na plecach do domu, tutaj pasłem krowę, zbierałem jeżyny, bawiłem się z przyjaciółmi. A teraz to wszystko stanie się przeszłością! Pozostały jednak wspomnienia dzieciństwa, czasu, w którym wydarzyło się tyle bólu i radości! W czasie wojny wszyscy byliśmy razem, nie robiliśmy różnicy, kto jest kim i to też pozostaje pięknym wspomnieniem.

Wreszcie wskazówki zegara jakby się poruszyły. Choć powoli, ale zbliżały się do trzeciej. Nawet słońce przesunęło się na zachód. Sobański przyprowadził konia, zaprzągł do wozu… i wyjechaliśmy z Faustynowa, dołączając do już jadącej, długiej kolumny chłopskich wozów. Po drodze musieliśmy przejechać odcinek drogi, na którym koła jadących wozów, zapadały się w piach nawierzchni. Konie ledwo pokonywały tę trudną przeszkodę, nawet przy pomocy ludzi, którzy opierali się o burty wozów i pchali. Wreszcie po dłuższym czasie, w oddali zobaczyłem stację kolejową, o której dotychczas tylko słyszałem. Zatrzymywały się tu tylko pociągi osobowe. Tym razem specjalnie zatrzyma się tu pociąg towarowy, aby zabrać nas!
Przed nami pojawił się budynek stacji kolejowej. W końcu dojechaliśmy na pociąg.
Niektóre konie miały białą pianę ze zmęczenia. Aby nie trzeba było nieść bagażu daleko, wozy podjeżdżały kolejno pod drzwi wejściowe na stację i wyładowywaliśmy bagaże tak, żeby było wszystko razem.

Pociąg miał przyjechać około ósmej wieczorem. Wreszcie jesteśmy na peronie! Pożegnanie z tymi, którzy nas tu przywieźli, było wzruszające. Pożegnaliśmy także Sobańskiego. Tata i Sobański objęli się i płakali. Nie sądzę, żeby mój tata w tym momencie pamiętał incydent, kiedy musiał przyprowadzić krowę i darmo oddać ją Sobańskiemu. Było to dla niego później zapomniane wydarzenie.
Teraz tylko czekamy na pociąg. Utworzono „komisję”, która zdecydowała, że gdy nadejdzie pociąg, mężczyźni będą podawać do wagonów torby i walizki, niezależnie od tego, czyją są własnością. Po załadowaniu bagaży, mają wsiadać kolejno: osoby starsze, dzieci, kobiety a dopiero na końcu mężczyźni.

My, chłopcy, przykładaliśmy uszy do szyn i słuchaliśmy, czy pociąg nadjeżdża. Słyszeliśmy jakieś hałasy, ale to nie był pociąg. Nawet gwiazdy pojawiły się na niebie. Ktoś z kolejarzy oznajmił, że pociąg będzie opóźniony, nie wiadomo jednak jak długo. Zrobiło się już ciemno, ale jasno świeciły

gwiazdy. To był piękny wieczór, kiedy czekaliśmy na pociąg, który miał nas zawieźć do Czech. Historie naszych babć i dziadków, ale przede wszystkim te opowiadane z takim sentymentem przez nasze babcie, wkrótce staną się rzeczywistością. Pan zawiadowca stacji poradził, abyśmy zebrali między sobą pieniądze za przejazd i oddali je przed podróżą maszyniście, jeśli chcemy dotrzeć do granicy na czas i bez problemów. Zgodnie posłuchaliśmy tej rady.

Podeszła do mnie babcia i zapytała:
- Vlastiku, nie możesz się już doczekać Czech? Moja odpowiedź była jasna:
- Tak, Babciu, naprawdę nie mogę się ich doczekać. I ty też nie możesz się doczekać, prawda?
Babcia odpowiedziała mi: - Uwierz mi, że nie mogę się tego doczekać i to bardzo! Nie mogę się doczekać, bo teraz sama już nie wiem, czy Praga będzie tak piękna, jak znam ją z opowieści?
Po raz pierwszy moja babcia miała wątpliwość, czy Praga jaką sobie wyobrażała, w rzeczywistości taką będzie…

Ach, ten czas oczekiwania na pociąg wydłużał się lub gdzieś się całkiem zatracił. Jakby nie chciał iść naprzód. Najpierw jeszcze w Faustynowie długo musieliśmy czekać do trzeciej po południu, żeby wyjechać, a teraz znowu czekamy i czekamy na przyjazd pociągu, a on nie odjeżdża i stoimy w miejscu. Czy te opóźnienie jest celowe? Znowu ktoś pojawił się z personelu Stacji i zakomunikował, że pociąg już jedzie i będzie za pół godziny. Pół godziny? Ile potrwa to pół godziny? Może przez dłuższy czas. Chcieliśmy już być w pociągu.

Wreszcie usłyszałem gwizd parowozu! Jest już blisko, słychać zgrzytliwy, donośny pisk hamulców. Pociąg zatrzymał się i jego obsługa otworzyła drzwi do wagonów towarowych. Mężczyźni ładowali, a właściwie wrzucali bagaże do wagonów. Wsiadali starcy i kobiety, potem dzieci. Konduktor krzyknął, że pociąg nie powinien się tu zatrzymywać, stanął tylko z naszego powodu! Mężczyźni rozglądali się po peronach, czy coś zostało, a babcia zapytała: - Wszystko wrzuciliście, nic nie zostało? Ktoś odpowiedział: - Ciociu Pospíšilová, wszystko i my wszyscy jesteśmy w pociągu! Bardzo dobrze" – odpowiedziała babcia. Wszyscy rozsiedli się tam, gdzie było trochę miejsca, zwłaszcza na workach, na których było wygodnie, były kołdry a w nich spały dzieci, tylko dorośli stojąc na podłodze - wyglądali przez górne okna.
Pociąg nabierał prędkości, koła wagonów hałasowały, podskakując na łączeniach szyn, jednostajny łoskot nikomu nie przeszkadzał, nawet podziałał uspokajająco i usypiająco na zmęczonych przeżyciami minionego dnia, podróżnych.

Kiedy już świtało, wjeżdżaliśmy do jakiegoś dużego miasta. Ile tam stało pociągów, tory rozgałęziały się we wszystkie strony i pełno domów, dużych, wielopiętrowych!
Nawet dzieci się obudziły. Pociąg zaczął zwalniać aż w końcu się zatrzymał. Ktoś przyszedł i zaczął trzaskając, otwierać drzwi wagonów, krzycząc: Wszyscy wysiadać!

Byliśmy w Katowicach. Kiedy opuściliśmy wagony, rozbiliśmy obóz na peronie. Nie byliśmy tu sami, podobnych „pielgrzymów" było wielu, mówili po polsku i jechali na ziemie zachodnie, które przypadły Polsce.
Na stacji stało wiele lokomotyw. Jedna większa od drugiej. Dla mnie był to pierwszy moment zetknięcia się ze światem, w którym człowiek wydaje się być tak mały i tak niewiele znaczy. Przynajmniej tak mi się wydawało. I znowu to czekanie w nieskończoność...
- Spokojnie, stąd już pojedziemy do Czech – powiedział wujek Emil Valta.

Na dworcu w Katowicach oczekiwanie na wyjazd do Czech wydawało się nieskończenie długie. Światła na stacji już się zapalały, a my wciąż czekaliśmy na przyjazd pociągu. Wreszcie jest! Przyjechał pociąg pasażerski, a my znowu szybko wrzuciliśmy bagaże do wagonów i dopiero wtedy je poukładano. Tym razem nawet nie musieliśmy się spieszyć, bo pociąg stał przez dłuższy czas, może nawet pół godziny, zanim powoli ruszył. Ławki w wagonach były drewniane. Był to znacznie

ładniejszy i bardziej luksusowy pociąg niż ten, którym tu przyjechaliśmy. Wszyscy przycisnęliśmy się do okien, żeby jeszcze popatrzeć na miasto, domy tonące w nocy - spowite nieprzejrzystymi ciemnościami. Tylko nasza babcia nie pchała się do okna, zachowywała się tak, jakby widziała to wszystko, już wcześniej. W rzeczywistości, w całym swoim życiu nie była dalej od Faustynowa niż w Zelowie i Łasku, mieście powiatowym. O Łodzi, tylko słyszała.
Babcia była teraz skupiona na swoich myślach. Myślała o Pradze, sławnej, pięknej, historycznej, królewskiej Stolicy Czech. Znała to miejsce dobrze pomimo że nigdy w nim nie była - z opowieści swojej matki i babci, chciała wreszcie się dowiedzieć, czy to naprawdę takie piękne, sławne miasto, jakie znała tylko z opowieści.

Jeździłem już z ojcem pociągiem z Łasku, do Łodzi i z powrotem. To była wtedy ciekawa podróż. Wsiedliśmy do wagonu pierwszej klasy, w którym siedzieli Niemcy i na najbliższym przystanku, pomiędzy Łaskiem a Pabianicami, musieliśmy przesiąść się do wagonu trzeciej klasy.
Pociąg zatrzymał się wtedy tylko na chwilę. Tata otworzył drzwi, wsiadł i pociągnął mnie za rękę, ale pociąg już ruszał i ledwo wsiedliśmy. W wagonie nie było miejsc siedzących, tylko stojące i było bardzo ciasno. Przyjechaliśmy do Łodzi odwiedzić przyjaciół. To, co zapamiętałem njabardziej, to ulica Piotrkowska. Domy wydawały mi się niezwykle duże i wysokie, a ulica szeroka. Kiedy po wielu latach przyjechałem do Łodzi i ponownie szedłem ulicą Piotrkowską, było zupełnie inaczej: domy były niskie, a ulica niezbyt atrakcyjna. W tym momencie żałowałem, że ta najsłynniejsza ulica moich wspomnień z dzieciństwa, przestała mi się zupełnie podobać. To nie była ulica, o której myślałem do tej pory, jaką znałem z dzieciństwa. Ale tak naprawdę to nic się w niej nie zmieniło, zmieniłem się właściwie tylko ja. Dorosłem, a przez to domy na ulicy Piotrkowskiej „skurczyły się”.

Zanim nasz pociąg ruszył, mężczyźni przynieśli wodę do picia, abyśmy nie cierpieli pragnienia w drodze. Nasza babcia była bardzo ciekawa. Zapytała mężczyznę stojącego na peronie który nie był kolejarzem: - jak daleko jest do Pragi? Mężczyzna odpowiedział jej bardzo uprzejmie:
- Proszę pani, do Pragi jeszcze daleka droga. Będzie pani jechać całą noc.
- Był pan w Pradze? – zapytała nasza babcia. - Byłem w Pradze i byłem w Pilźnie, gdzie przymusowo pracowałem w fabryce. Robiliśmy bomby dla armii niemieckiej.
Babcia nie zadawała mu już więcej pytań.

Sapiąca lokomotywa naszego pociągu, ciągnęła za sobą mnóstwo wagonów. Oprócz wagonów osobowych, w składzie pociągu były także wagony towarowe, które odczepiono na granicznej stacji pomiędzy Polską i Czechosłowacją.

****

Jesteśmy w Czechach.

Szu, Szu, Szu – gwiżdże lokomotywa naszego pociągu. Po chwili zwolniła i pociąg zatrzymał się na niedużej stacji kolejowej, pierwszej na ziemi czeskiej.
W urzędzie celnym zostaliśmy poinformowani, że Czesi z Polski jadą do Sudetów. Celnicy nie sprawdzali bagażu, sprawdzali dokumenty i nie interesowali się innymi sprawami. Nasz pociąg znów ruszył, jadąc do Pragi! Do wymarzonego celu naszej podróży! Noc spowita była ciemną zasłoną chmur. Dzieci zasnęły. Pociąg był pełen ludzi. Dopiero gdzieś w okolicach Pardubic chmury się rozstąpiły i na niebie pojawiły się gwiazdy.

Nawet na terenie Czech pociąg skrzypiał tak samo, jak w Polsce. Każde połączenie szyn było wyczuwalne i słyszalne. W ciągu tych wielu godzin podróży, przyzwyczailiśmy się do tego. Pociąg zatrzymał się gdzieś i ruszył ponownie. Inni ludzie wysiadali z pociągu, wsiadali ponownie i tak

trwało całą noc. Babcia spała, nie spała, zależnie od pory nocy.   Na stacjach nie było zbyt wiele światła, oświetlały je lampy gazowe. Babcia mówiła sobie: - Dlaczego ci ludzie nie śpią, dlaczego podróżują nocą? Czemu nie mogą podróżować za dnia? Gdybym tylko mogła, nigdy nie podróżowałabym nocą. Przecież noc nie jest przeznaczona na podróże czy pracę, Bóg dał ją ludziom na sen i odpoczynek...

Pociąg zatrzymał się w Kolínie/nad Łabą. Megafon stacyjny oznajmił, że przyjechał pociąg ekspresowy i jedzie do Pragi. Babcia usłyszała tę wiadomość i powiedziała: - W końcu będziemy w Pradze! Praga! Praga!   Gdzie była teraz babcia, o czym myślała? W myślach była pewnie znowu dzieckiem i opierała głowę na kolanach swojej babci, słuchając jej, jak opowiada o pięknej Pradze. Najbardziej nie mogła się doczekać Pragi, to była cała nasza babcia. Druga babcia też była z nami, babci Němcovej nie podobała się ta podróż. Spała całą noc i obudziła się tuż przed Pragą, płakała:
- Helena, jesteś tu? Gdy Helena odpowiedziała, że tak, babcia miała już wszystkiego dość. Pomyślała także o synu Jenika, który był jeszcze w Niemczech.
- Gdzie on teraz jest? Biedny człowiek nie wie, że przeprowadzamy się do Czech. A co jeśli wróci do Faustynowa, co on tam biedny sam zrobi?
Odpowiedział jej zięć Emil Valta: - Mamo, nie martw się, Jenik nas na pewno odnajdzie. Jest w Niemczech, więc trochę już poznał poznał świat.

Słońce już wschodziło. Nasz pociąg zatrzymał się, ale jeszcze nie na stacji w Pradze. Zatrzymał się „w polu" - niedaleko Pragi. Przyszedł konduktor i powiedział, że niedługo dotrzemy do Pragi. Pociąg ruszył, wszyscy tłoczyli się do okien, żeby zobaczyć zaczynające się przedmieścia Pragi. W milczeniu wyjrzałem też i ja. Nie było tam zbyt wiele do oglądania. Andrš Bolak zapytał:
- Wyglądasz, wypatrujesz Pragi? Zaraz tam będziemy, ale Praga nie jest specjalnie ciekawa.

Pociąg powoli wjeżdżał do Pragi. Babcia tylko patrzyła i milczała. Co pomyślała, gdy zobaczyła Pragę? To była Praga jej marzeń. Nie powiedziała ani słowa. Chciała wydobyć jak najwięcej wrażeń z widoku Pragi. Po raz pierwszy zobaczyła tramwaj jadący ulicą. Spojrzała i pomyślała, że po ulicach kursują małe pociągi, takie właśnie pociągi miejskie.
Nasz pociąg wjechał do centrum Pragi. Zatrzymał się. To był Dworzec imienia Pierwszego Prezydenta Republiki, Tomasza Masaryka. Wysiedliśmy z pociągu i rozglądaliśmy się dookoła z ciekawością. W końcu nasze stopy stanęły na praskim peronie Dworca „ Masarykova nádraží" - właściwie, naprawdę po raz pierwszy na czeskiej ziemi. To jest nasza ukochana Praga! Jednak nikt z nas jeszcze nie wiedział, czy pociąg ruszy ponownie i odjedzie?

W tej chwili przyszedł pracownik stacji i powiedział: - Tutaj pociąg kończy bieg. To koniec podróży!
Tym razem musieliśmy wysiąść wszyscy, razem z naszymi bagażami. Pociąg przyjechał o godz. pierwszej. Rozładowaliśmy bagaże, ustawiając je w jako takim porządku pod ścianą poczekalni dworcowej, aby inni podróżni mogli swobodnie przechodzić.
Niektórzy wrócili do wagonów, żeby sprawdzić, czy coś zostało. Znalazła się zapomniana chustka babci. Babcia powiedziała: - To właśnie cała ja. Ciągle o czymś zapominam i myślami jestem gdzieś indziej…

****

Zdziwienie babci.

Skąd właściwie pochodziła nasza babcia, skoro jej babcia pochodziła z Pragi? Była nie tylko zaskoczona Stolicą, kiedy wreszcie ją ujrzała na własne oczy, była mocno wystraszona!
Wokół nas chodzili kolejarze. Kiedy babcia usłyszała, jak przechodzący kolejarz powiedział:

- Jezus Maria, powiedziała ze zdumieniem: - Polacy też tu są i mówią po czesku!
 Pracownicy kolei sądzili natomiast, że to przyjechał transport Polaków, jak babcia to słyszała, skrzyżowała ramiona, mówiąc: - Jacy z nas Polacy? Gdzie my jesteśmy? Zostawiliśmy Polaków w Polsce a wy nas uważacie za nich? Czy wy jesteście na pewno Czechami? Czesi nie mówią „Jezus Maria” – tylko Polacy tak gadają i grzeszą. Czy to na pewno Praga?
Początkowo nasza babcia była w nastroju radości, że przyjechała do Pragi. Opierała się o ścianę stacji i tylko pokręciła głową:
- Ojczyzna, nie pojedziemy dalej? Czy to jest Praga? Czy to nie jest po prostu kontynuacja snu, który miałam zeszłej nocy? Babciu... – powiedziałem uspokajająco. Babcia mówiła dalej: - Czy musieliśmy wszystko zostawić i pojechać tak daleko, żeby trafić znowu na Polaków?
Babcia nie mogła długo dojść do siebie po tym co usłyszała od kolejarzy, i pogodzić się z tym, że: Czesi jak Polacy, czasami mówią „Jezus Maria” (zwłaszcza, gdy są katolikami – przyp. tłumacza)

Wybrani przedstawiciele naszego transportu udali się do biura księdza Bohumila Radechovskiego, zgłosić mu nasz przyjazd. Proboszcz Radechovský zapewnił im zakwaterowanie w szkole. W delegacji była także moja mama.
Pastor Radechovský rozmawiał potem ze wszystkimi kilkakrotnie pytając ich kolejno o ich imiona, nazwiska, stan cywilny itp. Kiedy dowiedział się, że nasza matka jest córką Jana Němca z Faustynowa, zapytał, czy brat Němec jeszcze żyje. Radechovský był ciekaw wszystkiego. Spędził dziesięć lat jako proboszcz w Zelowie. Był częstym gościem na Faustynowie. Wielokrotnie głosił kazania w szkole. O tym, że szkoła spłonęła na początku wojny, dowiedział się już podczas swojej pierwszej wizyty w Zelowie, kiedy przyjechał negocjować warunki przesiedlenia Czechów z Zelowa do Czechosłowacji.

Nawet moje wyobrażenia o Pradze, jakie czerpałem z opowiadań mojej babci, były w pewnym stopniu wyidealizowane. Stało się to po tym, jak wreszcie udałem się na sławny z opowiadań Most Karola w towarzystwie kilku Faustynowian. Czy dlatego był tak piękny, bo zbudowano go z jaj przyniesionych przez chłopów, następnie przerobionych na zaprawę do złączenia kamieni mostu? Nie mogłem się doczekać, aż zobaczę Most Karola zbudowany z jajek! Zobaczyłem go nareszcie. Był piękny! A to dzięki jajom...
Skontaktowałem się ze starszym mężczyzną od nas, Kumpoldtem. Ale on mi powiedział:
- Tak właśnie mówi legenda! Ale ja nigdy w nią nie wierzyłem. Opowiem Wam, jak to było w rzeczywistości: Budowniczowie mostu wykorzystali jajka przyniesione przez chłopów… do jedzenia a kiedy zjedli, syci ochoczo zabrali się do pracy. Chłopi przywozili jajka, bo nie mieli pieniędzy na opłacenie podatku. Cesarz żądał od chłopów pieniędzy za wydzierżawioną im ziemię. Powiedział im, że jeśli nie mają pieniędzy na podatek, równie dobrze mogą zapłacić go jajkami. Cesarz z kolei nie miał pieniędzy, żeby zapłacić budowniczym mostów, więc zamiast pieniędzy dał im jajka, a oni zrobili z nich jajecznicę i jedli. Właśnie tak było!

Teraz zobaczyłem most w zupełnie innym świetle...
Wydawała mi się ta wersja Kumpoldta z jajkami do jedzenia, bardziej wiarygodna. Ale znowu to, co babcia mówiła o budowaniu Mostu Karola był bardziej pociągające.
Żałowałem, że zacząłem wątpić w wersję babci dotyczącą budowy Mostu Karola.

****

Widok na Hradczany.

Odwiedziliśmy także Zamek Królewski. Do kościoła św. Wita nie dotarliśmy, był zamknięty, ale obeszliśmy kościół i podziwialiśmy go. A Zamek Królewski, w którym teraz mieszka Prezydent! Nie widzieliśmy niestety samego Pana Prezydenta Republiki.

- Gdyby tylko Pan Prezydent wyszedł i popatrzył na nas, czeskich emigrantów, przynajmniej z balkonu, to bylibyśmy bardzo szczęśliwi – powiedział ktoś z naszej wycieczki.
Niebo nad Pragą było bezchmurne, więc mogliśmy ponownie, choć innej już perspektywy, zobaczyć Most Karola w całej okazałości. Praga okazała jeszcze piękniejsza, niż opowiadała mi moja babcia. Nie mogłam się otrząsnąć po tym, co mnie tu otaczało. „Znałem" tylko jeden most, zanim go zobaczyłem. Był taki piękny! Kiedy patrzyliśmy na Teatr Narodowy, zastanawiałem się, kto mieszka w tym budynku? Ktoś z naszej grupy odpowiedział: - No cóż, mieszkają tu pewnie komicy". Następnie odezwał się Kumpoldt: - Tak, komedianci, ale komedianci niezwykli, mają złote powozy i pieniądze, których nie są w stanie unieść...
Szliśmy jeszcze po Rynku Starego Miasta, podziwiając pomnik Husa, który zainteresował nas, czeskich zesłańców najwięcej, podczas spaceru po Pradze.

Wieczorem wróciliśmy do szkoły, gdzie mieszkaliśmy. Poszedłem do babci i powiedziałem jej, że widziałem Most Karola, Zamek Królewski Hradczany, gdzie mieszka Prezydent Czechosłowacji. Powiedziałem też babci, zasłyszaną od Kumpoldta wersję z jajkami, które chłopi zabrali do Pragi, a których budowniczowie mostów używali do robienia jajecznicy, żeby mieć coś do jedzenia.
- A kto ci to powiedział? - spytała się babcia. – no, nasz Kumpoldt mi powiedział.
Babcia pokręciła głową:
- Zgadza się Vlastík, przyjechaliśmy do Czech i zamiast Czechów zastaliśmy tu Polaków. Czesi nie mówią „Jezus Maryjo", tylko Polacy tak mówią, pamiętaj o tym! To pogwałcenie przykazań Bożych. Zgadza się: Most Karola nie jest z jajek, Czesi nie są Czechami, tylko my przyjechaliśmy z Polski. W Zelowie mieliśmy duży kamień husycki – pomnik, a tu nawet kamienia husovego nie mają – skarżyła się babcia.
- Babciu, byliśmy na placu, gdzie stoi wielki pomnik Husa!
- A co, to znowu powiedział Ci Kumpoldt? Pomnik Husa nie jest pomnikiem Husa, tak jak Czesi nie są Czechami, tylko Polakami!
- Ale babciu, ci ludzie mówią po czesku i tu też mieszka proboszcz Radechovský.
- Pastor Radechovský przyjechał tu z Zelowa, tak jak my, więc jest Czechem.
- Wydaje mi się już, że kto nie jest z Zelowa i nie zna Husa, ten nie jest Czechem – argumentowała babcia.

Następnego dnia ponownie wyszliśmy na ulice Pragi. Zawsze chodził z nami ktoś ze przewodników, abyśmy wracając do hotelu w szkole, się nie zgubili. Podobał nam się nasz pobyt w Pradze. Otrzymaliśmy darmowe wyżywienie i zakwaterowanie oraz poznaliśmy Pragę. Wiedzieliśmy jednak, że nie możemy tu zostać długo. Po ośmiu dniach przeniesiono do Pardubic.

Zatrzymaliśmy się w Pardubicach na dłuższy czas. Wiedzieliśmy, że musimy jechać do Sudetów. Mieszkaliśmy w hotelu naprzeciwko głównego dworca kolejowego. Cały hotel był obsadzony Faustynowianami. Mieszkaliśmy we dwóch w jednym pokoju. Mieliśmy tutaj królewski pobyt. Także tutaj zamieszkania, za jedzenie, nie płaciliśmy. Cały nasz pobyt opłacono w Biurze Reemigracyjnym w Pradze. Pierwszy tydzień pobytu spędziliśmy na zwiedzaniu miasta, pomagaliśmy właścicielowi hotelu w sprzątania na podwórzu, w szopie a on dał nam za to cukierki. Można było tu zobaczyć rzeczy, które przypominały zakończoną wojnę. Byli tu żołnierze rosyjscy. W niewielkiej odległości od hotelu mieli swoje koszary. Jeden rosyjski oficer miał motocykl i kiedy jeździł po mieście, zachowywał się jak „ cowboy" , puszczając kierownicę i popisując się jazdą. Aby coś zjeść, weszliśmy do restauracji, gdzie byli też zwykli klienci, którzy przyszli tu z miasta. Tutaj pierwszy raz jadłem knedle z kapustą i schab, a do tego szpinak, ale nie taki nasz ze szczawiu, tylko prawdziwy szpinak. Czasami chodziliśmy też do kina. Powiedziałem chłopakom, żeby kupili bilety do kina w pierwszym rzędzie, żebyśmy mogli dobrze widzieć. A kiedy zapłaciliśmy za bilet mniej niż ci, którzy mieli bilety z tyłu, powiedziałem zdziwiony:
- Zapłaciliśmy mniej i mamy pierwszy rząd, to ci dopiero. Płać mniej i zyskaj więcej!

W Pardubicach spędziliśmy sześć tygodni. W ciągu dnia spacerowaliśmy po mieście. Ale wieczory! Trwały długo i nie było nic do roboty. Panowie grali w karty i dzięki temu czas mijał im szybciej. Ja też brałem udział w takich rozgrywkach. Graliśmy w mariaża i inne gry, nawet na pieniądze, w „Oczko", ale tylko na drobne. Czasami też wygrywałem, ale przeważnie nie dotrzymywałem placu starszym i przegrywałem, a niektórym z nich byłem winien jakieś grosze Do dziś jestem im to winien.

Niedziela była dniem „kościelnym" - chodziliśmy do kościoła zawsze rano, był w Pardubicach proboszcz - ks. František Dobiáš i wikariusz - ks. Josef Smolík.
Słyszałem wtedy, jak obaj głosili kazania podczas nabożeństw. Co za cud, że potem, kiedy studiowałem na Wydziale Teologii, obaj ci duchowni byli moimi wykładowcami.
Właśnie wtedy podczas studiów, mnie to uderzyło - nawet nie mogłem uwierzyć, że ci pastorzy tyle potrafili zrobić – jednocześnie będąc duchownymi w parafii, znajdowali czas na kształcenie studentów na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu

****

Kolejni emigranci z Zelowa i Faustynowa.

Transporty kierowane były najpierw do Pragi, potem jechały przez Pardubice w Sudety.
Raz wieczorem, spotkaliśmy na mieście wujka Josefa Pospíšila z Ignacowa. Ich pociąg stał w Pardubicach około dwóch godzin. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, pospieszyliśmy za nimi na dworzec. Jak miło było znowu zobaczyć „swojaków"!

Po przybyciu do Pragi umieszczono ich w Ďáblicach, w byłym niemieckim obozie. Cieszyłem się, że nie jesteśmy w Ďáblicach. Nazwa przypominała mi diabła. Za jakieś dwa dni przyjechał kolejny transport, w którym była też reszta naszych z Faustynowa. Tutaj spotkaliśmy Grygarów, naszych krewnych i nie tylko. W Faustynowie pozostała tylko jedna mieszana rodzina polsko-czeska. Ucieszyłem się, że znów zobaczę ciotkę i wujka Grygarów, z kuzynami Vilémem, Władkiem i Adolfem. Długo trwało, zanim ponownie znaleźliśmy się na pograniczu, w Pytlovie w Stříbrsku.

W Pardubicach czekaliśmy na informację, kiedy będziemy mogli przenieść się w Sudetów.
Tam, na pogranicze z Niemcami wyjechali „na zwiady" ludzie z naszego transportu, w tym nasza mama. Pojechali do Trutnova, ale wrócili z niczym; coś oglądali, jednak nie spodobało im się to. Pojechali później w jeszcze inne miejsce, ale też wrócili rozczarowani. Wszyscy chcieliśmy być razem w Stříbrsku.

Od księdza Radechovskiego dowiedział się o nas pastor Jan Jelínek, również rodak z Zelowa, ale będący od wielu lat proboszczem pośród czeskiej diaspory na Wołyniu.
Kiedy powstała w Związku Radzieckim czeska armia Generała Ludvika Svobody, wstąpił do niej wraz z żoną Anną. Razem z czeskim wojskiem, dotarli szlakiem bojowym do Czechosłowacji.
Kiedy ks. Jelinek trafił do Podbořanska, pomyślał o tym, że te okolice będą dobrym miejscem na osiedlenie się dla większej części Czechów, reemigrantów z Zelowa. Zdwoił więc wysiłki mające na celu „przyciągnięcie" Zelowiaków do Podbořanska i Žlutic, ale nie tylko do tych obszarów.
Jelinek odwiedzał także zesłańców ze Śląska - po polskiej stronie granicy i kierował ich do niedaleko położonych miast powiatowych: Sokolovska, Kynšperka, Tepelska, Střílovic.
Wkrótce ponownie zgromadził też w jednym miejscu kolejnych „ Zelováků ".
Próbował robić wszystko co tylko jest możliwe, aby nie byli zbyt rozproszeni i zagubieni w „obcym" kraju.

Księdza Jelínka i jego żonę poznałem jeszcze jak byli w armii. Pastor miał stopień oficerski. To on

zaprosił nas do Valčóva, a potem do innych wsi, które też zasiedlali zelowscy reemigranci.
Po sześciu tygodniach czekał nas kolejny ruch, ostatni w swoim rodzaju. Celem naszym były tereny przygraniczne z Niemcami, w Sudetach.
Podobało nam się w Pardubicach i żal było wyjeżdżać z miasta. Z Pardubic udaliśmy się z powrotem do Pragi, tam przesiedliśmy się do pociągu do Žateca i z Žateca pojechaliśmy do Podbořan. Na każdej następnej stacji, na której się przesiadaliśmy, wszędzie mówiono nam:
- Wysiadajcie szybko, wsiadajcie szybko! Do tych poleceń kolejarzy przyzwyczailiśmy się już jadąc z Pardubic do Podbořan z przesiadką i czekaniem na następny pociąg do Podbořan. Ta podróż wydała mi się najcięższa, najbardziej męcząca i najzimniejsza. Staliśmy tam często pomiędzy stacjami w szczerym polu, było bardzo zimno, wiało ze wszystkich stron. Jak nigdy dotąd, wypatrywałem z niecierpliwością stacji końcowej.
- Wysiądziemy na następnej stacji i bardzo szybko trzeba się przesiąść, pociąg nie będzie tam długo stać – powiedział konduktor.
Dotarliśmy do Podbořan. Torby z wagonów podawaliśmy sobie przez okna i drzwi. Kolejarz w czerwonej czapce, z „lizakiem" do odprawiania pociągów w dłoni, poganiał nas niecierpliwie, mówiąc, że pociąg się spóźnia. Ktoś z nas zawołał: - Jak to się dzieje, że te pociągi wciąż się tylko spóźniają? Staliśmy pod latarniami gazowymi. W ich słabym świetle ledwo mogliśmy cokolwiek dostrzec.
Były już przygotowane dla nas samochody, które nas zawieść do Valčy. To były samochody wojskowe, poniemieckie. Stały już gotowe do drogi, aby nas zawieść do Podbořan.
Znów mijaliśmy nowy krajobraz, jakże różniący się od tego, który tak dobrze znaliśmy z Polski.

W Valču dostaliśmy gorącą herbatę i chleb, posmarowany świeżym, domowym masłem. Po posiłku, pojechaliśmy cztery kilometry na zachód, do wioski Male Hlavákov.
Zamieszkaliśmy tu wszyscy z moją mamą, która przyjechała wcześniej i wybrała gospodarstwo.

W naszym domu, mieszkali jeszcze Niemcy: starszy mężczyzna z drewnianą nogą i dwie kobiety. Młodsi mężczyźni poszli na wojnę i nie wrócili. Dom był z cegły, kryty czerwoną dachówką i miał jedno piętro.
Razem z Niemcami było nas dwunastu.
Cały Male Hlavákov oraz sąsiedni Velký Hlavákov – także został zasiedlony przez Faustynowian i ludzi z okolic Zelowa. W naszej wsi byli też inni Czesi, żołnierze, pospiesznie sformowani, poubierani w różne mundury, byli wśród nich także czescy partyzanci z Jugosławii.
Pomagali nam w zagospodarowywaniu się, utrzymywali porządek.

****

Nasz nowy dom.

Nastała jesień. Poszliśmy na pola kopać ziemniaki i buraki, wszyscy pomagali w pracy w polu. Niemcy nadal mieszkali z nami.
Mieliśmy chleb, który sami piekliśmy, mleko, jedliśmy ziemniak i buraki.
Dni robiły się coraz krótsze, wilgotne i zimne. Codziennie rano, pojawiały się gęste mgły.

Niemcy bali się o to, co się z nimi stanie. Przed wojną te tereny Czechosłowacji, były w większości zamieszkane przez nich. W roku 1938, jesienią, cały „Kraj Sudecki" przyłączono do Niemiec. Czechów wygnano precz do „okrojonej" pozostałości Czechosłowacji. Teraz miano wysiedlić Niemców.
Baliśmy się trochę wszyscy, jak to będzie się działo. Niemcy nie wiedzieli co będzie z nimi, a my też nie wiedzieliśmy, co się z nimi stanie, dokąd zostaną przesiedleni.
Staraliśmy się z nimi żyć w zgodzie, nie okazywaliśmy im wrogości, wzajemnie dogadując się,

najlepiej jak potrafiliśmy. Żyliśmy z nimi przecież pod jednym dachem. Zaplanowaliśmy nawet razem, jak gospodarować się wszystkim wspólnie w miesiącach jesienno-zimowych.
Nasza mama „negocjowała” z Niemcami dlatego, że oni znali bardzo dobrze czeski, ale między sobą mówili po niemiecku, a ten język z kolei bardzo dobrze znała mama, nauczyła się go podczas pięciu lat robót na gospodarstwie w Bawarii. Niemcy nie zdawali sobie sprawy, że mama doskonale rozumie, co mówią pomiędzy sobą.
Pewnego dnia wydarzyło się nieszczęście. Stary, kulawy Niemiec, nie mogąc psychicznie wytrzymać niepewności losu, postanowił odebrać sobie życie.
Nikt z nas nie wiedział, co działo się w skołatanej duszy naszego, niemieckiego domownika.
Po kryjomu poszedł na strych, uwiązał na belce pod dachem pętlę, postawił stołek i …
przewrócił się na podłogę z zerwanym sznurem dookoła szyi.
Nas nie było w domu, byliśmy u naszych sąsiadów, gdy do nich przybiegła przerażona Niemka, nasza gospodyni, mówiąc, że jej mąż chciał się powiesić.
Wszyscy byliśmy przerażeni. Zarówno my, jak i wujek Valta, od razu zaczęliśmy szukać innego miejsca do dalszego zamieszkania. Mama i wujek Valta pojechali do Albeřic, wioski oddalonej o cztery kilometry. Kiedy ogłosiliśmy, że przeprowadzamy się do Albeřic, nasi Niemcy prosili nas, abyśmy nie wyjeżdżali, bo i tak ktoś tu przyjdzie a może nie będzie taki dobry jak my.
Postanowiliśmy jednak wszyscy nieodwołalnie wyprowadzić się. Nikt z nas nie będzie mieszkać w domu, w którym ktoś chciał się powiesić. Nie ma mowy.

W Albeřicach, też mieszkaliśmy z Niemcami, Böhmami (niemieckie nazwisko - Czech), pod jednym dachem. Oficjalnie Niemcy nadal byli gospodarzami. Nie rozmawialiśmy z nimi prawie wcale. Pani Böhm myślała o swoich dwóch synach, którzy poszli na wojnę i jak dotąd nie miała o nich żadnych wiadomości, czy w ogóle żyli. Nasza mama zachęcała ją i wspierała. Po pewnym czasie Böhmowie dowiedzieli się, że obaj synowie są w amerykańskiej niewoli. Pani Böhm uspokoiła się. Większą część Albeřic, zajęli już Czesi z Zelowa i okolic. Byli też w Valču, Radošovie, Vahanču, niektórzy w Luky, dwóch wspomnianych już Hlavákovach, w Jereni i wielu innych wsiach, więc byliśmy rozproszeni po okolicy. Pastor Jan Jelínek z wielką troską opiekował się tą, rozproszoną gromadą Zelowian. Silną pomocą była jego żona Anna, z domu Blažková, pochodząca z Wołynia. W czeskich mundurach ramię w ramię przeszli z Wołynia w Armii Czechosłowackiej pod dowództwem generała Svobody przez niemal całą naszą, Czechosłowacką Republikę. Zatrzymali się w Valču i Oráčowie. W Oráčovie, pastor Jelinek został jako proboszcz przy parafii luterańskiej, gdzie znajdowali się także ewangelicy reformowani. Tutaj, wspólnie z żoną, toczyli walkę o wiarę i pracowali w Winnicy Pańskiej.
Owoce swojej, duchowej pracy przywieźli ze sobą do Podbořan.

****

Powrót do szkoły.

Drzewa zmieniły kolor na żółty i czerwony. Zimny, wręcz mroźny listopadowy wiatr zrywał resztki liści z drzew. W tym roku liście spadły z drzew szybciej niż w latach ubiegłych. Przynajmniej tak twierdzili dawni osadnicy. Z przyjemnością spacerowałem po ogrodzie i podziwiałem widok pobliskiego lasu. Chodząc po liściach, czułem się, jakbym chodził po pierzynie.
Zima zaskoczyła wszystkich. Zanim rolnicy zdążyli zebrać plony i zawieźć je pod dach, „ Panek Mróz” już nadszedł. Kałuże na drogach i podwórkach zamarzły. Niejeden rolnik miał jeszcze na polu ziemniaki, rzepę i kapustę . Zostały też owoce na drzewach i pod drzewami. Czego ludzie nie zebrali z ogrodów, śnieg przykrył białym i miękkim kocem.

A szkoła zaczęła się dla nas w listopadzie. Niemieckie dzieci nie mogły chodzić do szkoły, przypomniały mi to czasy szkolne w Polsce. Szkoła otwarta znajdowała się w Valču, oddalonym o siedem kilometrów od Albeřic. Autobus w tym czasie nie kursował. Chodziliśmy więc do szkoły

pieszo lub jechaliśmy rowerami. Lodowaty wiatr smagał nasze twarze i mierzwił włosy. Nie miałem czapki. A kiedy już ją miałem, nosiłem ją rzadko. Moje włosy były kręcone i gęste, więc nie wisiały mi na głowie, tylko tu i ówdzie zasłaniały mi uszy. Ale moje palce, zarówno na dłoniach, jak i stopach, marzły. Nie miałem ciepłych rękawic i skarpet. A kiedy było już bardzo zimno, owijałem stopy papierem. Wierzcie lub nie, ale to naprawdę pomagało. I tak po raz pierwszy w Czechach, usiadłem w szkolnej ławce w Valču. Różnica wieku była tu spora. My, „Polacy", byliśmy najstarszymi uczniami. Nauczyciela często nie było, zastępował go jeden z naszych, bardziej „wyuczonych" kolegów z klasy, któremu wydawało się, że nas „uczy".

Ale do szkoły w Valčy nie chodziliśmy długo.
W Lukach, zaledwie dwa kilometry od nas, otworzyli w starym pałacu - szkołę ogólnokształcącą, więc poszedłem razem z bratem, do szkoły w Lukach. Powodem był mój wiek. W moim wieku, powinienem bowiem już być w szkole średniej, a nie dopiero w szkole podstawowej.
Niestety II wojna światowa pogrzebała moje wizje i marzenia z dzieciństwa o zostaniu księdzem. Ale nie do końca! Wizje i pragnienia pozostały. Szukałem sposobu na realizację swoich pragnień i marzeń. Droga była wyboista, ale nie na tyle, żeby nie można było dojść do celu.

W Albeřicach żyliśmy razem z miejscowymi Niemcami w pełnej zgodzie i spokoju. Potem przyjechali tu także miejscowi Czesi; żyli także w pokoju z Niemcami. Czesi nie kłócili się ze sobą, ale z Niemcami już nie. Miałem dobrych znajomych wśród niemieckich chłopców, razem pasaliśmy krowy, razem się też bawiliśmy. Z wdzięcznością wspominam ten ponad rok wspólnego życia.

Böhmowie mieli w domu najmłodszego syna Roberta, który opiekował się bydłem, karmił je, usuwał obornik i wykonywał prace, które są niezbędne na gospodarstwie. Miał szesnaście lat, ale miał siłę dorosłego człowieka. Byliśmy razem przyjaciółmi.

W Lukach/k. Albeřic stał pałac, niezbyt duży, ale bardzo piękny, z żółtą fasadą.   Stał na niewielkim wzniesieniu. Był własnością protestanckiego szlachcica, choć protestantów w tych miejscowościach nie było zbyt wielu. Dookoła mieszkała ludność w większości wyznania katolickiego. Ponadto właściciel pałacu, był luterańskim duchownym. Nie pamiętam, czy był proboszczem w Brnie czy w Libercu.
Kiedy już przeprowadziliśmy się do Albeřic, on nadal mieszkał w pałacu. Był dwukrotnie żonaty. Pierwszy raz z Niemką i to małżeństwo było bezdzietne. Za obopólną zgodą i porozumieniem, ich małżeństwo zostało unieważnione. Ponownie ożenił się albo z Czeszką, nauczycielką języka czeskiego, albo Niemką, która była nauczycielką czeskiego. Jakoś tak, dokładnie już nie pamiętam. Miejscowi uważali ją za Czeszkę. Mieli syna, pięknego blond chłopca, podobnie jak jego matka, pastor był czarnowłosy z siwiejącymi włosami. Chłopiec miał około dwóch lat, może nawet trzech. Kapłan miał staromodne binokle, takie jakie noszą szanowani księża i szlachta. Jeździł po wsi razem ze swoim synkiem, dwukołowym powozem, zaprzężonym w jednego konia.
Widzę go jak dzisiaj, siedzącego w powozie i syna, machającego nam rękami. Proboszcz był szczupłym mężczyzną, z podniesioną głową. Szedł wyprostowany, jakby „ połknął linijkę" .
Widać było po jego zachowaniu i nienagannych manierach, że jest to człowiek „dobrze urodzony" o wysokim wykształceniu. Jego zachowanie wobec miejscowych było naprawdę szlachetne. Wiedział dobrze, że jego pobyt w pałacu jest tymczasowy, jednak nie dał tego po sobie poznać. Był prawdziwym szlachcicem!
Mój brat Pepík i ja często chodziliśmy do pałacu, ponieważ nasza mama zawarła umowę z żoną księdza, że ta będzie nas uczyć pisowni i gramatyki czeskiej.

Proboszcz oprowadził nas po swoim domostwie. Miał wielki, bardzo bogaty zbiór książek.
Były one ułożone na specjalnych regałach z półkami, od podłogi aż do sufitu. Większość z nich była oprawiona w elegancką, pokrytą zdobieniami, skórę. Miał też inne książki, przechowywane także w następnych pomieszczeniach, a było ich naprawdę bardzo dużo.

Kiedyś proboszcz oprowadził nas po wszystkich pokojach swojego pałacu, w których znajdowały się książki. Wszędzie były tam piękne meble, obite skórą fotele, sofy i krzesła.
Najbardziej w pamięci utkwił mi gabinet proboszcza. Znajdował się na parterze obok salonu i dużej, czarnej sali koncertowej, w której stał piękny fortepian. Czasami grała na nim… pierwsza żona proboszcza.

Ludzie dziwili się, nie mogli zrozumieć, jak te dwie kobiety mogą żyć obok siebie w jednym domu? Pierwsza żona przypominała raczej służącą, ale jednocześnie zarządcę – administratora pałacu, przynajmniej tak mi się wydawało. Druga żona, też o dobrym pochodzeniu - szlachcianka. Była nieporównywalnie piękniejsza od pierwszej, pastor zapewne dobrze wiedział, kogo wybrać na matkę swojego, arystokratycznego potomstwa. Było to dla nas coś niezrozumiałego.

Niestety, nadszedł czas, kiedy pastor musiał się wyprowadzić, ze swojej, rodowej siedziby.
Zrobił to wraz z rodziną, dyskretnie niemal niezauważalnie dla nikogo. Wyjechali wszyscy konnym powozem, o czym dowiedzieliśmy się, gdy policja zapieczętowała pałac.

Przy naszym domu płynął mały strumyk, ale kiedy wylał podczas roztopów, szeroki był jak rzeka. Za strumieniem mieszkała niemiecka wdowa, która miała piękną, trochę pulchną córkę i syna imieniem Josef, który był częściowo upośledzony umysłowo. Wszyscy nazywali go Sepp (w tłumaczeniu na czeski: Pepík - Józio). Moja mama dobrze dogadywała się z sąsiadką.
Współczuliśmy Seppowi i on o tym wiedział, podobnie jak jego matka. Może dlatego nas polubiła. Wyśmiewali go inni chłopcy i dziewczęta. Sąsiadka obiecała mojej mamie, że da nam meble, gdy przeprowadzą się do Niemiec. Meble były bardzo ładne, jasne i lakierowane na połysk.
Mama miała je potem przez wiele lat. Traktowała je jako cenny dar. Wyjeżdżając z Polski oddaliśmy nasze meble sąsiadom a oto wróciły do nas w znacznie lepszej postaci! Jak prawdziwe jest biblijne powiedzenie: „Rzuć chleb na wodę, a po wielu dniach wróci do Ciebie, pomnożony".

Niemcy zaczęli opuszczać Albeřice nie wszyscy od razu, tylko w kilku etapach. My Czesi, z miejscowymi Niemcami, dogadywaliśmy się tak, jakbyśmy byli już razem od niepamiętnych czasów. Każda niemal czeska rodzina czuła się, jakbyśmy tracili kogoś nam bliskiego.
Ci, którzy musieli tu wszystko zostawić i odejść na zawsze, mieli różne odczucia. Można je również było wyczytać z ich twarzy: - To Wy jesteście powodem naszej eksmisji! Ale oni też doskonale zdawali sobie sprawę, że jest to dziejowe zadośćuczynienie za wypędzenie Czechów w 1938 roku z zajętych prze Niemcy obszarów tzw. „Kraju Sudeckiego".
Takie były skutki polityki Rzeszy pod przywództwem Adolfa Hitlera, wywołanej wojny i poniesionej klęski.

****

Pierwsza miłość.

Skrycie się zakochałem w Niemce, która z matką, starszą siostrą i młodszym bratem, mieszkała na końcu Albeřic.
Codziennie przechodziła koło naszego domu z dzbankiem, niosąc mleko lub po nie idąc.
Miała czarne włosy i była piękna. Nikomu nie zdradziłem mojego sekretu, a tym bardziej jej.
Miałem około piętnastu lat, a ona, biorąc pod uwagę jej wzrost i mądrość, mogła mieć szesnaście lat.
Kiedy przyszła kolej na przeprowadzkę tej niemieckiej rodziny, najpierw do Bochova do obozu, a stamtąd do Niemiec, byłem we łzach i smutku. Nie chciałem nawet na to patrzeć, kiedy wychodzili.
To była wielka miłość mojego dzieciństwa! Miłość platoniczna.
Rodzina Böhmów jako pierwsza opuściła Albeřice. Zaaranżowali to tak, że z Niemiec przyjechała po nich duża ciężarówka armii amerykańskiej z amerykańskimi żołnierzami. Zabrali wszystko, co

chcieli i tyle, ile było miejsca w samochodzie. Inni Niemcy nie mieli jednak takiego przywileju.
W Albeřicach najdłużej przebywał jeden z naszych niemieckich sąsiadów. Z nimi także mieliśmy wspaniały kontakt. Mieli jednego syna mniej więcej w tym samym wieku co ja i mój brat. Z nim chyba najbardziej się przyjaźniliśmy. Razem pasaliśmy krowy. Wciąż go widzę w jego krótkich brązowych spodniach. Ale nadeszła także ich kolej. Po odejściu dziewczyny, w której się zakochałem, był to dla mnie kolejny wielki powód do smutku.
Pomagaliśmy im w przeprowadzce, podjechał wóz, zaprzężony we woły na ich podwórko i załadowaliśmy go. Kiedy już był załadowany, pojechał nim nasz sąsiad z całą rodziną.
Dali nam kilka rzeczy na pamiątkę. Pojechali do Bochova – gdzie był obóz dla przesiedleńców. Płakali, kiedy jechali przez Lukę, Vahanč, Hvězde.
Szedłem z nimi. Trzymałem wodze, prowadząc woły drogą aby to trwało jak najdłużej. Tuż przed Bochovem skręciłem w lewo. Tutaj znajdował się były niemiecki obóz jeniecki. Skoszarowali tam Niemców, których następnie wywieziono do Niemiec.

Przy drodze do obozu leżało kilka, zniszczonych, przewróconych samochodów pancernych. Wyglądało tu, jakby wojna niedawno się skończyła.

Na bramie wejściowej przed nami widniał jeszcze niemiecki napis: „Arbeit macht frei”. Kiedy byłem już za bramą, jakiś żołnierz lub żandarm zaprowadził nas do jednego z długich baraków. Wszędzie było pełno Niemców, przywiezionych tutaj i czekających na deportację. Wyładowaliśmy bagaże i zanieśliśmy je do baraku. Widziałem, że wszyscy Niemcy przywieźli dużo dobytku, dużo więcej niż my przywieźliśmy z Polski. Stałem przez chwilę ze swoimi przyjaciółmi, a potem poszedłem. W drodze do domu płakałem: - Już cię więcej nie zobaczę!
Nie wiem, co stało się z ich rzeczami. Krążyły pogłoski, że zabrano im wiele rzeczy i pozwolono im zabrać ze sobą tylko niewiele. Nie dowiedzieliśmy się jednak, jak to się właściwie stało.

****

Pałac i co się z nim stało.

Po eksmisji księdza, policja opieczętowała pałac. Po długim czasie policja wywiozła do Žlutic meble z zamku, a wcześniej cenne książki. Jeszcze wcześniej my, chłopcy, chodziliśmy po oknach i zaglądaliśmy do środka. Sala koncertowa stała opuszczona, nadal był w niej piękny fortepian.

Ja w swojej dziecięcej naiwności błagałem tatę, żeby ubiegać się o pałac i zamieszkać w nim chroniąc go od wandalizmu. Tata powiedział mi, że raczej go nie dostaniemy. Ale kiedyś pojechaliśmy do Žlutic do Urzędu Miasta – Wydziału Osadnictwa, poprosić o przyznanie pałacu. Czekałem w poczekalni a tata wszedł do biura rozliczeniowego, ale wnet wrócił z pustymi rękami i powiedział, że nikomu nie dadzą pałacu. A jakże, nikomu go nie przydzielili!
Pałac zaniedbany stopniowo niszczał, aż w końcu popadł w ruinę. Przez pewien czas miało tu swoją siedzibę wojsko, a potem pałac i jego niewielki ogród, zostały zdewastowane przez „zniszczenia spowodowane czasem i ludźmi”…

Wrócę jeszcze do zarządzonej przez władze likwidacji ksiąg zamkowych. Sołtysem wsi był pan Jindřich Vodák z Písecka. Kazano mu zawieźć wszystkie księgi z pałacu do Žlutic w celu... zniszczenia. Brałem także udział w załadunku i utylizacji tych wspaniałych książek. My wszyscy, którzy zanosiliśmy te książki na wozy, prawie płakaliśmy. Tak piękne, bogate i starożytne księgi zostaną zniszczone. Jedna księga była już podarta, a o niej mówiono, że jest najcenniejsza ze wszystkich. Nie wiem, jak się nazywała, ale syn sołtysa Vodáka powiedział mi dużo później, że w Pradze poszukiwano tej księgi, mówiąc o tym w radiu.
Ile bogactw kulturowych zostało tutaj zniszczonych! Ale nie tylko tutaj! Nawet jako piętnastoletni

chłopiec nie mogłem zrozumieć, dlaczego niszczy się tak zawzięcie takie cenne książki, rzeczy i zabytki. I meble zamkowe! To wszystko było bardzo stare, ale przede wszystkim było piękne.
To była szkoda, strata nie do odrobienia! Nic nie zastąpi utraty cennych rzeczy, nawet z tego małego pałacu, koło Albéřicy!

****

Ludzka bezmyślność.

Wszystkie gospodarstwa w Albeřicach, były już zasiedlone Czechami z Polski, którzy tu przybyli w różnych odstępach czasu, resztę zajęli miejscowi Czesi. Niemców już nie było.
Po środku naszej wsi znajdowała się tam kuźnia, której właścicielem rodowity Niemiec - kowal.
Po eksmisji Niemców, na wsi pozostał też browar, dom piwowara, opuszczone przez swoich, poprzednich właścicieli.
Przeniosła się tutaj jedna rodzina ze środkowych Czech. Rodzina była względna liczna, dwie córki i syn, obie córki już zamężne. Wszyscy razem zamieszkali w gospodarstwie kowala, w kuźni.
Staliśmy się sąsiadami i bardzo dobrymi przyjaciółmi.
Mieli dużego psa, którego przyczepialiśmy do dużego wózka, wsiadaliśmy i pies nas ciągnął.
Kobieta była znacznie niższa i dużo młodsza od męża. On zaś, wyglądał jak wielkolud. Widziałem na obrazku olbrzyma, a kiedy zobaczyłem tego pana po raz pierwszy pomyślałem, że to jego brat.
Mieszkali tu przez długi czas. Potem, nagle się wyprowadzili, ale w dziwny sposób. Nawet znajomi nie wiedzieli, że się przeprowadzają. To było już zimą. Było mroźno. Okna ich domu, były szczelnie zasłonięte. Siostra mojej mamy, ciocia Valtová, mieszkała niedaleko kuźni a ja często często do niej chodziłem. Kiedy raz do niej poszedłem, tego dnia była „ zima syberyjska ”, jak mówiliśmy podczas wojny w Polsce. Usłyszałem szczekanie psa w domu, w którym mieszkali nowi znajomi. Pies szczekał i drapał drzwi w szopie, w której ktoś go zamknął. Drzwi do domu również były zamknięte. Zajrzałem wtedy przez okno do wnętrza ich domu. Znalazłem miejsce, gdzie szyba nie było całkiem zamarznięta.

Jakie było moje przerażenie! Zobaczyłem łóżko pod ścianą, w którym leżał mężczyzna, ojciec mojej koleżanki. Pobiegłem do domu i powiedziałem bratu, że w szopie przy kuźni szczeka pies, a pan M. leży w kuchni. Obaj pobiegliśmy do kuźni. Jakimś cudem otworzyliśmy drzwi. Najpierw poszliśmy do kuchni. Pan M. wyglądał na martwego. Przyłożyłem ucho do jego ust i wydawało mi się, że trochę oddycha. Poszliśmy do szopy, gdzie zamknięty był pies. Odkąd nowi właściciele opuścili dom, nie miał nic do jedzenia. Był bardzo głodny i przerażony. Niegdyś masywny, silny pies „ zaprzęgowy ” naszego wózka, dziś ledwo stał na nogach. Wróciliśmy do domu, opowiedzieliśmy wszystko mamie, podgrzaliśmy mleko, zabraliśmy trochę jedzenia dla psa i wróciliśmy.
Podawałem Panu M. ostrożnie za pomocą łyżeczki, gorącą kawę z mlekiem. Potem solidnie napaliliśmy z bratem w kuchennym piecu. Nakarmiliśmy też psa. Nie mogliśmy skontaktować się z rodziną, nie wiedzieliśmy, dokąd się wszyscy przeprowadzili. Po pewnym czasie, starszy pan M. był już w stanie usiąść na łóżku i stopniowo wstawał. Nawet skrajnie wyczerpany, głodny pies też to przeżył.
Ani żona pana M., ani jego zamężne córki nie przyjechały do Albeřic zobaczyć, co się z nim dzieje.
Dopiero na wiosnę przyjechała jego żona, jakimś cudem dowiedziawszy się, że jej mąż nie umarł.
Przyjechała do niego. Ale wcale nie po to, by okazać radość, że mąż przeżył.
Miałem wtedy siedemnaście lat. Nie potrafiłem zrozumieć takiej znieczulicy.

****

Nasza babcia się przeprowadza.

Nikt w domu nie wiedział, że nasza babcia się od nas wyprowadzić, nic nam nie powiedziała o swoim zamiarze. Kto o tym wiedział? A nasz wujek Josef, ten z Ignacowa, jej syn.
Pewnego dnia przyszedł do nas i powiedział, że babcia będzie teraz mieszkać u niego, przynajmniej przez dwa tygodnie. Nie przekazaliśmy mu przecież odmówić, chociaż było nam przykro, że babcia trzymała swój zamiar w tajemnicy.

Przyjechał do nas wozem wujek Józef i zabrał ze sobą babcię, mówiąc, że za dwa tygodnie, odwiezie ją do nas z powrotem. Dwa tygodnie, to było dla nas długo. Bardzo tęskniliśmy za Babcią. Gdy zbliżał się czternasty dzień babcinej nieobecności, ja i Pepik przygotowywaliśmy wszystko na powitanie babci.
Miała wrócić nazajutrz, autobusem o czwartej po południu. Miał z nią przyjechać także wujek. Pół godziny przed ich przyjazdem, stałem na przystanku i nie mogłem się już doczekać, aż przyjedzie autobus. Nie raz, nie dwa kierowca dostosowywał kursowanie autobusu do swoich potrzeb. Często godziny przyjazdu i odjazdu, znacznie różniły się od tych, zapisanych w rozkładzie jazdy. Wtedy jeszcze ludzie nie przejmowali się tak bardzo, kiedy autobus przyjedzie, tylko… czy w ogóle przyjedzie!?

Nawet w dniu, w którym babcia miała przyjechać, nie spieszył się, ale nie przeszkadzało mu to, że ktoś czeka na autobus, którym ma przyjechać babcia z wujkiem.
W końcu, mocno spóźniony autobus wreszcie przyjechał, ale babcia z niego nie wysiadła. Wujka zresztą też nie było. Zawiedziony tym, wróciłem sam do domu.
W ciągu tygodnia wujek informował nas w liście, że babcia zostanie u niego jeszcze na dwa tygodnie lub miesiąc, że bardzo jej potrzebuje. Niby w końcu jest to jego matka, miał prawo tak się zachować. Ja z bratem byłem odmiennego zdania, bo obaj bardzo tęskniliśmy za kochaną babcią, nie mogąc się doczekać Jej powrotu. Wtedy też powiedziałem:
- Zobaczycie, wujek zatrzyma ją na zawsze!
To moje przypuszczenie, wkrótce się potwierdziło. Byłem zły na wujka, że nas tak oszukał. Wujek przyjechał i zabrał rzeczy mojej babci. Było jasne, że babcia nie wróci, a wujek „ przywła-szczył ” sobie naszą babcię! Wyjaśnił, że skoro do tej pory byliśmy z nią, to teraz może być z nim.

Babcia powiedziała mi, kiedy do niej przyjechałem w odwiedziny, że wolałaby być z nami, ale co może zrobić, jeśli najstarszy syn też ją potrzebuje. W domu obok naszego wujka, mieszkał brat babci, Karel Poláček. Nasz wujek uzasadniał teraz pobyt babci u siebie tym, że po tak wielu dziesięcioleciach, mogła wreszcie zamieszkać obok brata.
Często jeździliśmy przez Rankovice do Tepelska, gdzie mieszkał wujek Józef, bardziej na celu odwiedzić naszą babcię niż jego, chociaż wujka, obaj z Pepikiem też bardzo lubiliśmy. Wujek zaprosił nas, abyśmy też u niego zamieszkali. Tata z mamą nie byli przeciwni pomysłowi wujka Josefa, ale ja zdecydowanie nie chciałem dlatego, że w Tepelsku zupełnie mi się nie podobało. Babcia więc nadal mieszkała ze swoim, najstarszym synem.

Było to dla wujka ogromną korzyścią zarówno w pracy na gospodarstwie, jak i w życiu rodzinnym. Chociaż była już stara, ale wykonała pracę za dwoje młodych ludzi.
Babcia stopniowo oswajała się z nowym domem, ale...nigdy nie zapomniała nas i bardzo za nami tęskniła. Kiedy tylko dowiedziała się, że ktoś od nas przyjedzie, nie mogła doczekać na nasz przyjazd.
Relacje są pomiędzy mną a wujkiem Josefem, nieco się ochłodziły. Choć właściwie to nawet nie dałem mu po sobie poznać, że coś jest nie tak między nami z powodu babci...

****

„Pogrzeb babci”

Nasi sąsiedzi mieli telefon, był podłączony bezpośrednio na naszą pocztę, która łączyła go z innymi abonentami. Był to wtedy jedyny telefon w Albeřicach.
Pewnego dnia, przybiegła do nas sąsiadka i powiedziała, że dzwonili z poczty, że mamy do odbioru depeszę - telegram na poczcie. Nic nam nie powiedziała więcej o tym, czego dotyczy telegram.
Za godzinę, przyjechał do nas z tym telegramem nas wiejski listonosz.
listonosz poszedł i przyniósł zawiadomiony telegram.

Tato otworzył depeszę i kiedy ją przeczytał po cichu, po chwili pobladł na twarzy, opierając się o ścianę.
Mama, Pepík i ja spojrzeliśmy na tatę, co się z nim dzieje?
Po chwili powiedział: - Babcia umarła…
A ja wtedy: - Jak to, przecież byłem w Rankovicach, a babcia wyglądała bardzo zdrowo, dlaczego umarła?
Telegram brzmiał: „ Mama zmarła, pogrzeb jutro o trzeciej po południu ” . Podpisano przez Pospíšila.

Tata powiedział : - Co zrobimy, nie mamy nawet gdzie kupić na wsi wieńca...
Wysłali nam telegram…   No cóż, nie było już nic do zrobienia. Mama i ja z bratem, mieliśmy czarne ubrania, ale tata nie miał. Tata miał tylko czarny kapelusz, przynajmniej będzie miał na sobie coś czarnego... - pomyślałem. - I ja… moje włosy są czarne jak krucze pióra, więc też mam czarne dodatki...

Rano pojechaliśmy pierwszym autobusem do Žlutic i próbowaliśmy tam kupić wieniec. Ale nie kupiliśmy. W kwiaciarni gdzie robili też wieńce powiedzieli nam, że mogą coś nam przygotować po godzinie… piętnastej!?
I tak musieliśmy wpaść na pomysł, jak iść na pogrzeb bez wieńca. Musimy jakoś wyjaśnić, że przyszliśmy na pogrzeb bez wieńca. Jak to zrobimy i co inni żałobnicy sobie pomyślą?
W Žluticach wsiedliśmy do pociągu...

Krajobraz, przez który biegła kolej do Rankovic, zapierał dech w piersiach, Przynajmniej ja tak go postrzegałem.
Jeden odcinek drogi był szczególnie piękny. Pociąg jechał tu po zupełnej równinie, jak z bajki, równina była płaska jak stół. Ilekroć musiałem jechać do wujka koleją, szczególnie nie mogłem się doczekać tej części podróży. Bardzo podobała mi się równina, była dla mnie wspomnieniem Faustynowa i Zelowa. Dopiero w oddali za tą równiną, krajobraz wznosił się w wydłużone wzgórza, które wydawały mi się falami na strumieniu.   Moja dusza zawsze tu odpoczywała.
Szyny wiodły przez malowniczą okolicę - usłaną lasami, gajami, łąkami, polami ornymi.
Ale teraz, kiedy jechaliśmy na pogrzeb mojej babci, w ogóle nie zwracałem uwagi na krajobraz, nawet na „moją” piękną równinę. Wracałem myślami do mojej babci w Sikawicy, do tego, co nam opowiadała, jak uczyła nas modlić się i jak bardzo była dla nas dobra. Nie mamy już babci!
Nie mogłem tego zaakceptować. Ale nie winiłem Boga za to, że odebrał nam babcię. Wierzyłem, że babcia jest teraz w lepszym miejscu i pewnego dnia, my też pójdziemy tam do niej...

Z rozmyślania wyrwał mnie pisk hamulców zatrzymującego się na stacji Rankovice, pociągu.
Pociąg zatrzymał się na peronie obok budynku stacji kolejowej, nawet punktualnie. Wysiadaliśmy tu już tyle razy i jak nie mogliśmy się doczekać każdego wyjścia z pociągu! Ze stacji było jeszcze pół kilometra do wsi Otročin, a stamtąd około czterech kilometrów polną drogą do wsi Rankovice do wujka Josefa. Ale wcale nie cieszyliśmy się na tę podróż ani na to wyjście z pociągu.
Odprowadzimy dziś babcię na cmentarz!

Kiedy dotarliśmy do Otročina zobaczyliśmy jak wujek Josef, biegnie prze wiejski plac. Otročin był

dość dużą wsią z własnym placem pośrodku jak rynek w mieście.
Pomyśleliśmy, wujek pewnie biegnie po zamówiony na pogrzeb wieniec. Nie był ubrany żałobnie, na jego twarzy nie było żadnych śladów żalu po śmierci babci.
Pogrzeb zacznie się już za niecałe trzy godziny, a on biega po wsi i szuka wieńca, jakby wcześniej nie miał czasu, pomyśleliśmy. Co się stało z wujkiem? Jego mama zmarła, a on tego nie okazuje. Czy tak się okazuje zmarłej matce szacunek za trudy wychowania, za pomoc w gospodarstwie, za wszystko, co jej przecież powinien zawdzięczać?

W naszych sercach był smutek, gdyby wujek to zobaczył, wstydziłby się, że go nie okazuje jak my. Abyśmy wyglądali jeszcze bardziej żałobnie, mama kupiła w Žluticach czarne wstążki i przypięła każdemu z nas do klap marynarki, żeby widoczne było, że mamy pogrzeb w rodzinie.
Ale ten nasz wujek!

Wreszcie wujek nas zauważył, zobaczył, że mamy przypięte czarne wstążki, przyzwyczajony do czarnego kapelusza taty, wydawał nam się nie wzruszony naszym, żałobnym wyglądem. Przecież widział, że przyjechaliśmy na pogrzeb. Ale jego zachowanie było dziwne.
Tata zapytał go: - Jak i kiedy umarła mama? Wujek odpowiedział, że zmarła pięć dni temu, a tata odpowiedział: - Dlaczego wysłałeś nam telegram tak późno? Wujek na to odpowiedział:
- Nie wysłałem ci żadnego telegramu!!!
- Umarła matka Matějkovej. Telegramy wysyłał Emil! Zmarła ciotka mojej żony! Ciotka miała siostrę, która z męża też się nazywa Pospíšilova! Jej mąż jest przecież diakonem Kościoła Jednoty Czeskobraterskiej w Tachowie. To on, ten Pospíšil, podpisywał telegramy o śmierci Matějkovej, ciotki mojej żony! Ona miała dwóch zięciów o tym samym nazwisku. Jeden z nich, Emil, wysyłał wszystkie telegramy!

No cóż, przyjechaliśmy na pogrzeb, który się nie odbył!
W naszych sercach zagościła radość, jakiej dawno nie czułem, a jeśli kiedykolwiek doświadczyłem takiej radości, to nie pamiętam już, z jakiego powodu. W myślach przeprosiłem wujka.
Z Otročina do Rankovic szliśmy znacznie szczęśliwsi niż kiedykolwiek. Gdy zbliżaliśmy się do Rankovic, zobaczyliśmy z daleka nadchodzącą Babcię, niosącą w worku na plecach ziemniaki z pola, podpierającą się motyką, którą kopała ziemniaki.
Nawet babcia nie wydawała się zaskoczona, że przyjechaliśmy na pogrzeb. Była szczęśliwa, ze nas widzi.   Ale kiedy jej powiedzieliśmy, że „ Przyjechaliśmy na jej pogrzeb!!! ” - roześmiała się i powiedziała: - Będę żyła długo, jeśli przyjechaliście już na mój pogrzeb.
Babcia żyła jeszcze kilka lat w pełni swoich ziemskich dni.

****

Proboszcz Jan Jelínek.

W Valčy powstała sala modlitewna. Ci, którzy mieszkali w pobliżu, udali się do Valćy, docierając na miejsce tymi, którzy tam. Mieszkali! Sala znajdowała się tym samym budynku co, „Hostinec” - zajazd/restauracja, ale nikomu to nie przeszkadzało.
Ksiądz dojeżdżał regularnie. Nabożeństwa ewangelickie obrządku reformowanego, odbywały się także w szkołach znajdujących się w Radošovie i w Tisie, półtora kilometra od siebie - w rodzinie emigrantów ze zboru zelowskiego.
Pamiętałem stamtąd jeszcze kantora Karela Jersáka, jak grał na kościelnych organach i pięknie śpiewał. Ilekroć odwiedzałem teraz ewangelików w Tisie i, zawsze pamiętałem tę muzykę
Teraz Karel udzielał się właśnie tutaj, prowadząc nabożeństwa w Tisie pod nieobecność księdza Jelinka.
Dla braci mieszkających w Velkim Hlavákowie, czasami odprawiano nabożeństwa w szkole

powszechnej w Albeřicach, czasami studiowano też Biblię godzinami w naszym domu.
Czasem duchowni zatrzymywali się też w Luce, pełniąc posługi kapłańskie w domu koło Kratochvílů.
Kiedy czasami proboszcz nie prowadzić nabożeństw, zastępował go nauczyciel religii.
W naszym regionie nauczycielami w szkołach byli ewangelicy, których proboszcz Jan Jelínek prosił o odprawienie mszy, gdy sam nie mógł.

Było tu mnóstwo młodych ludzi. Lubiłem chodzić do Valči na nabożeństwa i do młodzieży. Jeździłem głównie na rowerze, czasem spacerowałem (tam i z powrotem było czternaście kilometrów), czasem jechałem z rodzicami bryczką. Bardzo miło wspominam ćwiczenia bierzmowania, których uczył nas ksiądz Jelínek w niedziele przed nabożeństwami, ale także w inne dni. Dwóch najlepszych z nas to był chłopak z Jeřen, kilometr od Valči, a potem byłem ja. Myślałem, że jestem lepszy, bo znałem każdą, albo prawie każdą odpowiedź na pytanie do Konfirmacji (Bierzmowania). Oprócz Katechizmu Małego Heidelberga znałem także Katechizm Nelkego, bo musieliśmy się z niego uczyć.

Między mną a tym chłopakiem z Jerenii, była niepisana rywalizacja. On też dużo wiedział. Mimo to myślałem, że zostanę ogłoszony jako „Pierwszy". Jednak brat, ksiądz Jelínek widział to inaczej. Ja byłem „Drugi", a chłopak z Jeřen „Pierwszy". Czułem się, że jestem niedoceniany. Ale to była tylko moja ocena i tyle w niej przewagi na moją korzyść. Pastor Jan Jelínek miał szczególną zdolność pozyskiwania do zboru młodych ludzi, dzieci, młodzieży, młodzieży - dla chrześcijaństwa. Organizował różne spotkania i zabawy w zborze. Stowarzyszenie młodzieżowe było zawsze atrakcyjne nie tylko dlatego, że rozgrywano najróżniejsze zabawy, ale zawsze musiały one bezpośrednio lub pośrednio prowadzić do wniosku religijnego. Do stowarzyszenia trafiały zarówno osoby dużo młodsze, jak i te „znacznie starsze". To była klasa młodzieżowa, podczas której dużo się śmialiśmy, ale też mieliśmy poważne przemyślenia. I te programy zainteresowały nas w stowarzyszeniu młodzieżowym. Brali w nich udział nie tylko ci, którzy mieszkali bezpośrednio w Valći lub w najbliższej okolicy, ale także ci, którzy przyjeżdżali z odległości siedmiu, a nawet dwunastu kilometrów. Gdy proboszcz lub jego żona nie mogli być obecni, zastępowali ich uczniowie - starsza młodzież, która chętnie reprezentowała księdza i dobrze sobie radziła. Byliśmy nawet trochę bardziej swobodniejsi. Kiedy byliśmy sami bez pastora, bawiliśmy się i śmialiśmy, ale nieraz już nie mieliśmy zbyt wiele czasu na sprawy duchowe.

****

Na wzgórzu w pobliżu Velkégo Hlavákova.

To było pod koniec roku szkolnego. Już kilka dni wcześniej wiedzieliśmy, że odbędzie się wielkie święto chóralne nie tylko dla dzieci, ale także dla rodziców. Nad Velkim Hlavákovem znajdował się płaskowyż, skąd można było widzieć okolicę daleko i szeroko. Poniżej płaskowyżu znajdował się mały las, miejscami sięgający ponad płaskowyż. W to niedzielne popołudnie zgromadziliśmy się tutaj wszyscy, dorośli i dzieci, zwłaszcza dzieci, ale przede wszystkim nasz ksiądz i jego żona.
I musiało to być udane popołudnie, bo zostało w mojej pamięci na ponad pięćdziesiąt lat!

Jak bardzo chciałem, żeby tej niedzieli była ładna pogoda! I tak było. I udaliśmy się na „procesję" do Velkégo Hlavákova, który tak się złożyło, że był zamieszkiwali w większości przez „Zelovákov a Faustynovákov", byli też ludzie z Kucowa.
Na wzgórze przybyło więcej osób niż się spodziewano. Proboszcz wywiesił czechosłowacką flagę narodową, wszyscy odśpiewali uroczyście Hymn Państwowy . Dzieci pokazały się z najlepszej strony w obecności rodziców i proboszcza. Gdzie jeszcze miałyby tyle miejsca do zaprezentowania swoich umiejętności? Nawet nauki biblijne, zdawały jako „egzamin" chętniej niż w szkole lub sali

modlitewnej. Dorośli byli bardziej zrelaksowani, niż byliby w domu przy stole, więc proboszcz był też bardzo szczęśliwy.

Dzieci z kolei niecierpliwie czekały, aż pastor wyda komendę do rozpoczęcia biegu do cukierków, przywiązanych do sznurków. Dorośli kibicowali im i klaskali. Fanów było tu wielu, każdy rodzic kibicował swoim dzieciom. Piękno tych zawodów polegało na tym, że żadne z dzieci nie przegrało. Wszyscy mieli tyle samo. Tym dzieciom, które były wolniejsze i zdobyły w biegu mniej cukierków, pastor dodawał więcej słodyczy, żeby im nie było przykro.
Kiedy słońce już zachodziło, rozstaliśmy się. Jedna z matek powiedziała: - Wkrótce powinniśmy zrobić coś takiego ponownie. Wszyscy byli zadowoleni, zarówno dzieci jak i rodzice. Najbardziej usatysfakcjonowani byli z pewnością proboszcz z żoną, bo popołudnie w chórze naprawdę wypadło dobrze.

****

Valečkie „święto kwiatów".

Valče to małe miasteczko, ale z wielką tradycją duchową i kulturową. Valče i Valčesko były jednym z ośrodków Czechów Zelowskich. Wielu „Zelováków" mimo, że osiedlili się tu tylko na krótki czas, bardzo mile wspominało później tamte czasy. Tutaj pojawiły się pierwsze początki ich zjednoczenia w społeczności czeskiej.

Na miejskim rynku stoi ładny, zabytkowy kościół, ale na początku Valči, na wzgórzu w pobliżu parku zamkowego, znajduje się jeszcze starszy i piękniejszy kościół. Każdy, kto jedzie do Valče z Velkégo Hlavákova, musi przejechać obok tego kościoła. Kościół jest nadal dominującą budowlą Valče. Niedaleko znajduje się zamek. Niestety, popadł w ruinę. Na terenie zamkowym rosły niegdyś liczne drzewa owocowe, ale także ozdobne i „zwykłe". Mieszkańcy Valći przychodzili tu w celach rekreacyjnych - aby odpocząć, pooddychać leśnym powietrzem i dobrze się zabawić.
Tutaj można było cieszyć się pięknem otaczającej przyrody od wiosny do jesieni. Wszyscy wręcz to uwielbiali. Znane to było tutaj pod nazwą „Valečskiego Festiwalu Kwiatów".
Festiwal zaczynał się już wtedy, gdy tylko drzewa obudziły się z zimowego snu i przyodziały się w jaskrawe kwiaty i słodkie zapachy. Tutaj nawet ptaki swoim śpiewem zabiegały o przychylność nawet przypadkowego przechodnia. Uroczystości odbywały się w czasie wojny i trwały po wojnie. Po wojnie było może jeszcze ciekawiej i kolorowo, bo po terenach zamkowych chodzili Niemcy i Czesi, po wydeptanych i wybetonowanych ścieżkach. Obie grupy podziwiały lokalne piękno, a było co podziwiać. Bawiły się tu razem niemieckie i czeskie dzieci. To był rok – rok 1946. Szkoda. Nawet potem „święto kwiatów" trwało jeszcze jakiś czas, ale było już takie „monochromatyczne". Dało się tu usłyszeć tylko jedno, krótkie przemówienie, chociaż wszyscy je oklaskiwali, ale „święto kwiatów" było o wiele uboższe. Co pewien czas, traciło na urodzie i "wyblakło" – nie było już takie ładne. Przecież piękno tworzą nie tylko kolorowe kwiaty i egzotyczne drzewa, ale także różnorodni ludzie: mężczyźni i kobiety, starcy i młodzieńcy, chłopcy i dziewczęta, duże i i małe dzieci, Czesi i Niemcy oraz Romowie, ludzie o różnym kolorze skóry i karnacji i różnych opinii...

Inną „dominantą" w Valčach, którą niełatwo było przeoczyć, była i nadal jest, parterowa sala modlitewna protestanckiego Kościoła Czeskobraterskiego, przebudowana ze starego, rozpadającego się budynku. Sala ta została otwarta w 1948 roku przez starszego synodu dr Josefa Křenka.

Nadchodziły inne czasy. Inaczej rosły już drzewa, ptaki śpiewały też inaczej - nie przez wszystkich już podziwiane, nawet kwiaty jakoś inaczej kwitły i ludzie nie postrzegali już ich zapachu i piękna tak bardzo, jak kiedyś...

Pozostały tylko wspomnienia z tamtych „dawnych, lepszych czasów", ale z biegiem kolejnych lat i

one też wyblakly. Park zamkowy „zapuścił się" zaniedbywany, zamek też „się zapuścił", wszystko zaczynało pękać w szwach... Niemcy wyjechali, przyjechali Czesi z innych krajów – zmiany...

W czasie powszechnej kolektywizacji rolnictwa i gospodarki,rodzina Zelováków nie działa tak prężnie jak zaraz po wojnie, nawet osadnicy Czech opuszczali Valeč. Wyjeżdżali do większych miast, szukając „łatwiejszego chleba" – łatwiejszego (czy aby na pewno?) życia.
Do miasta Valeč wkraczała nuda, zżerał je nie tylko „ząb czasu", ale przede wszystkim ludzka obojętność wgryzła się nieodparcie i bezlitośnie w jego kościoły, zamek i wszystko co warte było zobaczenia. W końcu „języki" płomieni zaatakowały zamek. Ludzie zakończyli dzieło zniszczenia zamku.
Po jakimś dłuższym czasie., ludzie ponownie odbudowali zamek ze stanu rozpadającej się ruiny. Ale te wszystkie miejsca ledwo przypominały blask dawnej świetności.

****

W szkole rolniczej.

Na początku „wieku młodzieńczego", nie miałem żadnego pomysłu co zrobić ze sobą, iść gdzieś, aby się uczyć i do jakiej szkoły; ponieważ było gospodarstwo na którym trzeba było ciężko pracować a mój ojciec był chory.
Jako najstarszy byłem „przeznaczony z urzędu" do pracy na gospodarstwie. Kiedy rozpoczął się egzamin na Łovosicką Szkołę Rolniczo Mechaniczną,kształcącą kierowców - operatorów traktorów i maszyn rolniczych, poszedłem tam by przez pierwsze dwa miesiące, przygotować się do zawodu.
Po pewnym czasie w Žluticach - naszym powiatowym mieście otworzyli Szkołę Rolniczą Gospodarstwa Wiejskiego. Rodzice zdecydowali, że w moim przypadku taka szkoła będzie najbardziej odpowiednia.
Otwarcie szkoły rolniczej było dla mnie wyjątkową szansą. Do szkoły dojeżdżałem autobusem, który kursował pomiędzy Valčí i Žluticem. Była to szkoła dwuletnia. Ponieważ żadnego rozwiniętego przemysłu w pobliżu nie było, więc i innych szkół, też nie było.
Wszyscy więc uczęszczali do szkoły rolniczej w Žluticach. Szkoła była nawet nieźle wyposażona we wszelkie potrzebne do nauki pomoce dydaktyczne, miała nawet salę gimnastyczną.
Pomyślałem sobie: - Nauczą mnie tu, jak odróżniać ziemniaki od buraków a żyto od pszenicy...
Program nauczania nie był taki sztywny, profesorowie aby ułatwić sobie proces naszego, dalszego kształcenia, omówione z nami przedmioty niezawodowe, w niezmienionej formie i treści, nauczali też w gimnazjum.

****

Miłego wieczoru.

Spędziłem wiele pięknych chwil z moim, duchowym bratem księdzem Jelínkiem i z tego punktu widzenia, były to chwile niezapomniane. Towarzyszyłem mu nieraz i woziłem go naszą bryczką do niektórych wiosek na nabożeństwa. Nieraz nawet zabierał mnie ze sobą na plebanię. Odbywaliśmy wspólne podróże po jego diasporze przez wszystkie cztery pory roku. Wiele z tych podróży też odbyliśmy pieszo. Dla mojego rozwoju duchowego było to coś, czego niczym nie dało się zastąpić. Piękne, chwile duchowe przeżywaliśmy nie tylko w rodzinach wśród „Zelovaków", ale także podczas naszych wędrówek po wzgórzach i dolinach, po drogach i polnych ścieżkach.

Kiedyś na tak podczas wieczornej podróży z nabożeństw w Radošovie, gdy przemierzaliśmy pieszo mniejsze doliny i wzniesienia, byliśmy już pod Albeřicami - pięknie świecił księżyc i gwiazdy na niebie! Zatrzymaliśmy się na jednym wzgórzu i powiedzieliśmy sobie: - Teraz będziemy chwalić Pana! Obaj wyciągnęliśmy ręce do nieba i modliliśmy się, chwaląc Pana Boga za jego zbawienie, za Pana Jezusa Chrystusa, za piękne gwiazdy, za piękny księżyc. Kiedy już skończyliśmy, wtedy wydawało mi się, że słuchają nas i gwiazdy i księżyc, nawet poprzez szelest liści na drzewach - a wiatr niesie naszą modlitwę daleko i przekazuje ją innemu, jeszcze szybszemu wiatrowi.
Czuliśmy i byliśmy pewni, że nasz Zbawiciel wysłuchał nas. Nawet gwiazdy na nas patrzyły, nawet nam służyły. A my przecież nie moglibyśmy przegapić takiej okazji – poszliśmy więc dalej, byliśmy jakby niesieni przez anioły...

Z kolei przy innej okazji wraz z moim, duchowym bratem, księdzem Jelínkiem po raz kolejny obserwowaliśmy wieczorne niebo ustrojone w kolorowe światła gwiazd, kiedy razem szliśmy z Věrušička do Albeřic. Po naszej lewej stronie było zalesione wzgórze, po prawej stronie pola, pod nimi łąki pośrodku których, płynął spokojny strumyk, oczywiście spokojny - jeśli nie padał deszcz. Po dłuższych jego opadach, był w stanie rozlać się tak szeroko, że stogi siana pływały jak łódki po jeziorze.

Patrzeliśmy i podziwialiśmy to wszystko z miłością do Tego, który to wszystko uczynił.
Radowały nam serca, nawet małe, drobne żyjątka - roiło się od nich, nawet małe kałuże wody, były pełne życia...
Zakwitły już rozlewając się kolorowym kobiercem po łąkach, piękne, polne goździki Sw. Jana .
Lód, dawno temu popękał i spłynął precz z wodą, nie było nawet śladu śniegu, to wszystko z wodą popłynęło do morza. Po zimie nie zostało nic. Życie powróciło. Nawet przebiśniegi jeszcze kwitły.
Pola zazieleniły się, a łąki nabrały kolorów od rosnących nań kwiatów. Przewodził złoty kolor, jaskrawo żółtych mleczy. Nawet drzewa owocowe zrobiły się zielone i też pokryły się kwiatami, na których siadały pracowite pszczoły, zbierając pyłek i nektar na kolejny miód.

Zatrzymaliśmy się chwilę przy strumyku, który tu jeszcze bulgotał, czasem głośniej, czasem ciszej, w zależności od tego, jak dużo płynęło w nim wody. Trzepotały w nim fale i pluskały melodyjnie, obijając się o kamienie, w górę i w dół.

W szerszych partiach potoku, zmarszczki na jego powierzchni zmniejszały się, stopniowo całkiem niknąc. Znad pobliskich wzgórz i kopców, pohukiwał orzeźwiający wiatr i potrząsał olchami, rosnącymi wzdłuż strumienia, machającymi gałęziami tak, jak ludzie rękami.
Wiosenny deszcz i wiosenne słońce, dosłownie zdziałały cuda w przyrodzie.
Z dnia na dzień wszystko się zmieniało. Wszystko w przyrodzie rosło do piękna i wielkości.
Kukułka przeleciała nad polami. Jaskółki naprawiły stare, podniszczone po zimie gniazda albo budowały nowe – składając w nich jaja z których lęgły się nowe, krzykliwe jaskółki.
Cała przyroda kwitła i pachniała – zadziwiała nas swoją harmonią. Ksiądz Jelínek powiedział:
- Wystarczy spojrzeć na przyrodę i posłuchać jej, a usłyszysz, co chce Ci powiedzieć, chociaż mówi innym językiem niż ludzie, to jednak jesteśmy w stanie ją zrozumieć. Z jej przemówienia zrozumiesz tajemnicę, kto ją uczynił i wychował, kogo ona słucha. Nie, nie jest tu przez przypadek, nie jest bezużyteczna, właściwie jest bardzo, bardzo potrzebna, jest tutaj po to, żeby ją używać tak, jak tego chcesz, zgodnie z Twoimi potrzebami. To wielki dar Boga dla ludzi.

Staliśmy przez chwilę i daliśmy się ponieść temu co widzieliśmy w blasku gwiazd, zachwycaliśmy się, jak wielkim darem od Boga jest przyroda, wieczorne niebo. Daliśmy się ponieść nieskończonemu pięknu rozgwieżdżonemu niebu, wieczornemu zapachowi otaczającej nas przyrody, szelestowi drzew, rechotowi żab i kumkaniu ropuch w stawie na skraju Albeřic.
Przyszło mi do głowy pytanie, ale i odpowiedź: - Kto stworzył zieleń, kto przyodział drzewa w liście, wiśnie, jabłonie, grusze w kwiaty; kto sprawił, że drzewa owocowe wydają swój owoc we-

dług swojego rodzaju, a pole wydaje plon? Kto wydał rozkaz, aby wiał wiatr, kto pokrył łąki, pola, doliny i wzgórza kolorowym dywanem kwiatów? A nocne niebo! A skąd wzięliśmy się: ja, ty, oni, Ci - którzy potrafią to wszystko dostrzec i podziwiać? I znajduję na to odpowiedź na kartach Biblii:
-„ Uczyniłeś jego (człowieka) panem nad dziełem rąk Twoich, wszystko położyłeś pod jego stopy”… [Fragment Psalmu 8, wersety: 5a – 6b (wg. Biblii Nowego Świata)].

Pastor Jelínek odsunął się ode mnie o kilka kroków, patrzył na gwiazdy, które może się poruszały jak niegdyś usta prorokini Anny, matki Samuela, kiedy modliła się niezauważona w Świątyni.
To było interesujące, także i to, na co nie znałem odpowiedzi:
- … kiedy to wszystko powstało? Kto wie?
Nawet ksiądz Jelínek nie potrafił mi odpowiedzieć:
- Wiesz, nawet mądre książki nie są do tego przeznaczone, nie mają odpowiedzi.
W tajemnicę Boga nikt nie przenika, nie oddziałuje, nikt Go nie bada i nikt nie dochodzi spraw do końca.
Ludzie zajmują się tylko swoimi sprawami.
Jak na początku, na krawędzi i przed nimi jest niezmierzona przestrzeń nie poznana jeszcze...
- Biblia jednak objawia nam tajemnicę wymagającą wiary:
- „ Na początku był Słowo, a Słowo był u Boga, i bogiem był Słowo; wszystko przez niego się stało, a bez niego nic się nie stało, co powstało ”. [Ewangelia według Apostoła Jana, wersety: 1 i 3 wg Biblii Królewskiej].
- Ten biblijny Słowo objawia nam coś z Bożej tajemnicy stworzenia:
- To, co Bóg stworzył, pozwolił człowiekowi cieszyć się tym, cieszyć się tym, czym jest wiosna, lato, jesień, zima, oceany, strumienie, orły i mrówki, księżyc i gwiazdy, słońce, zapachy, myśli, dzień i noc, i zbocze przed nami, i wiatr, który nam wieje, a dzisiejszy wieczór jest taki piękny.

****

Kazanie na pastwisku.

Jako młody i gorliwy chrześcijanin chciałem głosić. Być proboszczem. Przypomniałam sobie moje wczesne dzieciństwo, jak mówiłam sobie, że pewnego dnia zostanę księdzem i będę mieszkać w Zelowie.
Ale nie zamieszkałem w Zelowie. Czy zatem nadal warto być księdzem? Czyż wszystkie moje marzenia o byciu proboszczem nie zostały pogrzebane przez to, że wyprowadziliśmy się z Faustynowa? Nie, nie zostały.
Kiedy po raz pierwszy głosiłem, miałem zaledwie siedemnaście lat. To był piękny, słoneczny, letni dzień powszedni. Jako chłopiec czasami wędrowałem, zwłaszcza gdy nie musiałem pasać krów ani owiec na zboczach wzgórz. Poznałem dobrze okoliczne lasy, łąki, potoki, drogi i leśne ścieżki.
Pomiędzy Albeřicami i Lochotynem, dwiema wioskami oddalonymi od siebie o około cztery kilometry, mniej więcej w połowie tej odległości - znajdowała się duża polana.
Dawno, dawno temu burza pozostawiła tam po sobie dzieło zniszczenia zwalając na ziemię porastające las drzewa, drzewa zabrali i wykorzystali ludzie, zostawiając tylko wyższe i niższe pniaki, gdzieniegdzie wyrosły już nowe sadzonki, nieuporządkowane – rozsiane bezładnie tak, jak wiatr niósł nasiona z drzew.
Pozostałe na polanie pniaki, częściowo porośnięte już były krzewami jeżyny, wszelkiego rodzaju ostami i zielskiem. Szczęśliwe były tu zające, jelenie i sarny, czasem pojawiały się lisy i węże.
Przede wszystkim jednak były tu obecne różne ptaki: duże i małe ptaszki.
Cóż to był za koncert, kiedy zaczęły śpiewać!
To tutaj sam, bez obecności ludzi, głosiłem. Byłem tu całkowicie wolny.
Ci, którzy mnie tutaj słuchali, nie mogli sprzeciwić się długości mojego kazania i nie mogli okazać

braku zainteresowania.
Znalazłem duży pień drzewa, stanąłem na nim i głosiłem.   Nie miałem przy sobie Biblii.
Znałem na pamięć jeden werset i był to werset z Ewangelii Jana z trzeciego rozdziału, szesnastego wersetu:
- „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że posłał na świat swego jednorodzonego Syna, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne.” [Ewangelia wg Jana, Rozdział 3, werset 16 Biblia Krolewska]
I ten werset wystarczył na całe moje kazanie. Wiem, że wtedy podkreśliłem słowo: „ świat ”.
I krzyknąłem, żeby było mnie słychać na przeciwległym zboczu. W lesie mój głos odbił się echem i powrócił. Ptaki nie przestały śpiewać, zające nie przestały biegać, jelenie nie przestały paść się, a ja głosiłem i głosiłem. Nigdy nie miałem tak długiego kazania, ludzie pewnie by uciekli, ale wydawało się, że dobrze to zrobiło ptakom i zwierzętom leśnym, bo zostały na pastwisku.
Mnie także dobrze to zrobiło, nikt mnie nie upomniał, nikt na mnie nie krzyczał, nikt nie wskazywał na mnie na zegarku, że trzeba już kończyć.

Wieczorem pojechałem do rodziny Valtów, moich krewnych. Władek Valta zapytał mnie:
- Co się stało? Wygłosiłeś dziś w lesie taką, pobożną mowę, takie kazanie jak w kościele. Wracałem z pracy i kiedy przechodziłem obok lasu, usłyszałem twój głos. Stanąłem przez chwilę i słuchałem jak wołałeś:
- „Albowiem tak Bóg umiłował świat...”- To właśnie powiedziałeś ptakom i zwierzętom leśnym?
Myślałem, że nikt mnie nie usłyszy, a jednak miałem jednego, ludzkiego słuchacza.

Pewnej niedzieli wygłosiłem drugie kazanie w Luky u rodziny Jersáków, którego słuchały dwie osoby: siostra i brat Jersákovie.
Przeczytałem kazanie ze zbioru kazań, który opublikowała Rada Synodalna. To było dla mnie niezapomniane kazanie! Byłem cały spocony ze stresu i kiedy skończyłem kazanie, pomyślałem:
- Nigdy więcej w życiu! Nie chcę być kaznodzieją. To był mój drugi rezultat głoszenia.
Jako początkującemu, Jersák podziękował mi, pochwalił i poprosił, żebym im głosił w przyszłą niedzielę, powiedział też, że: - Możesz i powinieneś głosić w przyszłości, powinieneś to robić szczególnie wtedy, gdy nie będzie tu nikogo z księży ani studentów teologii z Pragi. Będziesz głosić nam kazanie, a my zaprosimy także inne osoby.

Błagałem, żeby jeszcze nikogo nie zapraszać, przynajmniej jeszcze nie teraz, ale mnie nie słuchali. I tak, tych dwoje starszych ludzi, dodali mi odwagi. Tak rozpoczęła się moja działalność kaznodziejska. Moją pierwszą amboną był pień drzewa, salą modlitewną była polana i słuchaczami zwierzęta leśne. Nie byłem wtedy zestresowany moim, pierwszym „publicznym” kazaniem, moi słuchacze i ja, byliśmy od siebie niezależni. Ale może być może, słuchał mnie ktoś inny niż Władek Valta. Może przysłuchiwały się też anioły? Oni także są ciekawi, co u nas słychać, jaki kraj tworzymy oraz jak i komu głosimy…

****

Autostopem do Seča.

Studiowałem już w Pradze. Któregoś razu Pavel Smetana, zaprosił mnie na około tygodniowy urlop do Seča, gdzie jego ciotka miała pensjonat. Spędził tam część wakacji i to nie sam. Pavel był bowiem, znakomitym nauczycielem języka hebrajskiego i czasami wprowadzał mnie w jego tajniki, sprawdzał moje postępy i uczył nowych słów. Zaproponował, abyśmy w czasie wakacji umówili się na „konsultację” z języka hebrajskiego. Z radością przyjąłem jego ofertę nie tylko ze względu na język hebrajski, ale także ze względu na relaksujące pływanie przy tamie pobliskiej zapory.
Połączyłem zatem – „przyjemne z pożytecznym”.

Pobyt nad zaporą „Česká Prehroda" w miłym otoczeniu przyjaciół, także tych, którzy mieli swoje korzenie rodzinne w Zelowie, zapowiadał się radem interesująco. Jako student nie byłem bogaty. Pavel poradził mi, żebym pojechał autostopem. Nie jestem wielkim zwolennikiem autostopu, ale gdybym chciał pojechać do Seča za pieniądze, to byłoby zbyt drogo i nie miałem innego wyjścia. Pavel też doradził mi, żebym wyjechał poza Pragę do ostatniego przystanku autobusu miejskiego, a następnie przeszedł się kawałek w kierunku wylotu z Pragi na Seč, gdzie droga rozgałęzia się, i stamtąd pojechał autostopem.

Nie miałem doświadczenia w zatrzymywaniu samochodów, jak to potem mówili mi doświadczeni autostopowicze – w „łapaniu".
Jechało pierwsze auto (wtedy nie jeździło ich dużo) - podniosłem rękę dość nieśmiało, kierowca mnie nie zauważył. Po chwili nadjechał kolejny samochód, który też próbowałem zatrzymać, ale bezskutecznie. Jak tu dojechać do Seča, jeśli samochody nie chcą się zatrzymywać? Przestałem machać ręką, dając znaki przejeżdżającym kierowcom o swoich zamiarach i patrzyłem w przestrzeń. „Przepuszczałem" kolejne samochody. Potem znowu postanowiłem być znowu „facetem" i podniosłem obie ręce, sygnalizując, że muszę kogoś zatrzymać. Ale znowu na próżno. Jako osoba pobożna, pamiętałem o modlitwie.
- Będę się modlić, żeby jakiś samochód się zatrzymał - pomyślałem.
Ale nawet po modlitwie żaden samochód nie chciał stanąć. Westchnąłem:
- Kierowcy mnie ignorują, Bóg mnie nie słyszy, a Pavel mnie zaprosił. Nie mogę się poddać i stać jak jakiś znak/słup przy tej drodze!!!! Byłem przyzwyczajony do porażek, ale gdy dążyłem do raz obranego celu, nie poddawałem się nigdy! W końcu zawsze udawało mi się pokonać porażki.

Podjąłem ponowne działania, chociaż było to ponad moje siły. Czymś podobnym, prawdopodobnie była również modlitwa w przypadku tej wycieczki do Seča.
Znów odważyłem się podnieść rękę, kiedy to zrobiłem, wydawało mi się, że nadjeżdżający samochód zwalnia. I rzeczywiście - samochód się zatrzymał. To było czarne, duże i błyszczące, osobowe auto. Kierowca uchylił okno, był w samochodzie sam i zapytał: - dokąd chcesz jechać? Odpowiedziałem: „Na Seč". A on mi wtedy powiedział: - Możesz wsiąść, zapraszam.
Usiadłem obok niego, a on zaczął mówić: - Nie jadę do samego Seča, ale podrzucę Cię niedaleko i tam znowu zatrzymasz inny samochód. Jadę do ministra rolnictwa, towarzysza Ďuriša.
Zapytałem się go: - Czy nie boi pan zabierać autostopowiczów, jadąc służbowo do ministra?
Odpowiedź brzmiała: - Nie, nie bałem się zatrzymać, żeby cię zabrać. Nie wydajesz mi się niebezpiecznym człowiekiem. Czym się zajmujesz? - zapytał uprzejmie.
Tutaj zacząłem się trochę wiercić, bałem się mu powiedziećwprost, że studiują teologię, mógłby się zatrzymać i wyprosić na drogę. Ale mnie nie wyrzucił, mimo że mu to powiedziałem:
- Studiuję w Pradze na Ewangelickim Wydziale Teologicznym. Zainteresował się tym. Zapytał mnie, jak do tego doszło. Powiedziałem mu, że jeszcze jako dziecko w Polsce, chciałem zostać księdzem. Zapytał się: - Jesteś Polakiem ? Nie, nie jestem Polakiem, chociaż tam urodziłem się i mieszkałem. On chciał dowiedzieć się, jak moi rodzice trafili do Polski, a ja mu powiedziałem, że do Polski dotarli z Czech moi przodkowie już w XVIII wieku.
I to właśnie bardzo go zainteresowało. Pytał zaciekawiony dalej: - A gdzie mieszkaliście w Polsce? I zacząłem wyjaśniać: - Tam, gdzie mieszkali moi rodzice, było wielu Czechów. Wszyscy oni byli protestantami. Miejsce, w którym zamieszkali, nazywało się Zelów i należało do polskiego dziedzica. Koloniści czescy ze Śląska, kupili od niego ten majątek i założyli, pobudowali czeską osadę.
- No dobrze, ale powiedz mi proszę dokładniej, w którym to jest miejscu?
- Jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Łodzi – odparłem.
On już się pomału domyślał. Przerwał na chwilę, jakby nie chciał mnie urazić, i powiedział:
- Wiesz, nie jestem osobą religijną, a moi rodzice są katolikami, ale do kościoła nie chodzą. Szanuję osoby religijne, chociaż sam mam inne poglądy na temat wiary.
I przez chwilę patrzyliśmy na piękną przyrodę, mijając znajdujące się przy drodze miejsca.

Po chwili milczenia, podjął rozmowę, pytając z zainteresowaniem:
- Czym zajmowali się Twoi rodzice i czym zajmowali się pozostali Czesi?
- Utrzymywali się głównie z tkactwa i rolnictwa – odpowiedziałem - niektórzy mieli nawet sklepy i fabryki.
Choć jechał samochodem służbowo do ministra, będąc sam zapewne pracownikiem rządowym, z niekłamanym zainteresowaniem słuchał o tych „właścicielach sklepów i fabryk” normalnie, bez komentarzy: „ że byli to wyzyskiwacze ”.

Ten kierowca znał dość dobrze historię, powiedział, że przeczytał całego Jiráska, znał jego opracowanie na temat „wieków ciemnych” ludzkości. Był ciekaw, do kogo jadę, powiedziałem mu, że wybieram się do kolegi ze studiów, którego ojciec jest pastorem ewangelickim i też pochodzi z Polski. I tak w miłej atmosferze spędziłem moją pierwszą podróż autostopem w „złapanym”, zapewne „rządowym” samochodzie.
Już po chwili, kierowca położył nogę na hamulcu i powiedział: - Jesteśmy już na miejscu.
Stań sobie za skrzyżowaniem, a wkrótce na pewno „złapiesz” kolejny samochód. Cieszę się, że mogłem Cię podwieźć.
Odpowiedziałem mu: - Proszę pana, bardzo się cieszę i dziękuję, że był pan tak bardzo, bardzo miły.
Pomachaliśmy sobie jeszcze na pożegnanie, jego samochód odjechał, a ja szukałem następnego samochodu, który zawiózłby mnie do Seča. Tym razem nie czekałem długo.
Kiedy dotarłem do tamy, wyglądało to tak, jakby koparki wyjechały stąd kilka miesięcy temu.
Szedłem wzdłuż tamy przez las, od początku do końca zalewu.

Wreszcie dotarłem do celu mojej, ciekawej podróży. Pogoda była jak „z obrazka”, woda była czysta. Pavel był w Seču ze swoją dziewczyną Zdenką, był tam także jego brat Bohouš ze swoją dziewczyną. Poszedłem zgłosić się do ciotki Pavla, jak on sam mi poradził - właścicielki pensjonatu, chcąc uzgodnić z nią, ile zapłacę za wyżywienie i zakwaterowanie.
Powiedziała mi: - Przyjaciele Pavelka są także moimi przyjaciółmi, nic nie płacisz.
Od tego momentu poczułem się jak w domu. Byłem szczęśliwy, że podróż do celu i koniec dnia przerosły moje oczekiwania. Byłem bardzo szczęśliwy z bezpłatnego wiktu i zakwaterowania, jako student nie miałem dużo pieniędzy. Cieszyłem się, że wybrałem się autostopem w tak długą i nieznaną podróż i że ostatecznie wszystko skończyło się dobrze.

Po drodze rozmyślając, przepraszałem Boga, że tak mi się wydawało, że nie wysłuchiwał moich modlitw, że nie słyszeli mnie przejeżdżający obok mnie kierowcy.
Powiedziałem sobie: - Panie Boże, przygotowałeś dla mnie dzisiaj wspaniałe samochody i tak dobrych, kierowców, że zupełnie sobie na to nie zasłużyłem. Co bym stracił, gdyby wcześniej zatrzymał się pierwszy lub piąty samochód?

Przyjechałem tu także, żeby dalej powtarzać hebrajskie słowa, ucząc się tego języka.
Przed wakacjami , mój wykładowca, pan dr Jan Heller poradził nam, abyśmy wykorzystali czas wolny również na doskonalenie tego, biblijnego przecież języka. Dał nam radę, która okazała się dla mnie skuteczna. Powiedział:
- Kiedy pójdziecie na spacer, uczcie się hebrajskiego, tak jak ja to robiłem. Co krok, recytowałem jedno hebrajskie słowo, a jeśli jakieś zapomniałem, nie robiłem kolejnego czekając, aż sobie je przypomnę. Kiedy nie pamiętałem, otwierałem słownik hebrajski, który miałem ze sobą, zaglądałem do niego i szedłem dalej. Przypominałem sobie to hebrajskie słowo, dzięki zabieranemu ze sobą słownikowi. Dochodząc do końca spaceru, zawsze powtarzałem sobie sobie:
- Tutaj już nic nowego nie zobaczysz, ale za to nauczysz się nowych, hebrajskich słów.
Chociaż zalecenie dr Jana Hellera uznałem za dobrą radę, jednak w Seču nie mogłem jej zastosować w praktyce.

Wieczory nad zaporą „Česká” były piękne. Nigdy nie zapomnę jednego z nich.
Na brzegu tamy stała łódź. Ale nie wiem, czy należała do właścicielki pensjonatu, czy do sąsiada. Używaliśmy jej jednak wielokrotnie. Czekaliśmy tylko na zmrok. Ściemniało się, choć bardzo powoli. Wreszcie pojawiły się gwiazdy, choć nieśmiało ale wschodził też księżyc, unosząc się na nocnym niebie. I chodziliśmy na brzeg tamy, odwiązywaliśmy łódź od słupa i pływaliśmy po zalewie.
Była tam później jeszcze jedna łódź. Nie mieliśmy czym zapłacić za jej wynajem, pożyczyliśmy ją od dobrego sąsiada, jednak było nas tak wielu, że przepełnione łódki prawie zatonęły. Wystawały zaledwie kilka centymetrów nad powierzchnię. Tu i ówdzie ktoś wysiadał z łodzi i płynął sam obok. Chciałem też pomóc odciążyć łódź. Wysiadłem i popłynąłem obok niej, trzymając ją za krawędź burty, co niewiele pomogło. Ktoś po mnie wyskoczył z łodzi aż zakołysała się, a dziewczyny krzyczały ze strachu.

Dotarliśmy na drugą stronę tamy, gdzie rosły duże drzewa i wysiedliśmy na brzeg. Widok na falującą wodę Zalewu był przepiękny! Otaczały nas gęste korony drzew, padało na nas światło gwiazd i księżyca, który płynął majestatycznie po nocnym niebie. Wachlował nas chłodny wiatr wiejący znad powierzchni wody. Nie chciało nam się wsiadać do łódek i wracać tam skąd przypłynęliśmy, mimo, że tam też było pięknie i przyjemnie. Bóg zasugerował, żebyśmy popłynęli dalej do mostu, więc popłynęliśmy dalej. Wróciliśmy bardzo późno. Być może nawet było po dwunastym uderzeniu zegara, kiedy zakotwiczyliśmy łodzie!

Myślę sobie, że tu, nad zaporą „České Prehrodi”, nie zdążyłem za bardzo poznać hebrajskich słów, musiałem ich naukę odłożyć na inny, dogodniejszy ku temu czas.

****

Powód do nauki języka… czeskiego.

Nasz zelowski „dolnoczeski” charakteryzował się „izolacją” od języka „urzędowego” potocznie na co dzień używanego w Czechach. My mieliśmy swój własny, odrębny język czeski taki, jaki wykształcał się, kiedy nasi przodkowie wyemigrowali za granicę w XVIII wieku. Oddzielony od reszty Macierzy, zmieniał się, „podbierał” słowa z języków i dialektów ludów i narodowości, pośród których przyszło żyć naszym przodkom.
Wszędzie – w domu, w pracy, podczas załatwiania spraw urzędowych, jeśli tylko to było możliwe, zawsze rozmawialiśmy po czesku. Mieszkaliśmy w Polsce, gdzie na początku językiem urzędowym był polski, potem rosyjski, wreszcie znowu polski. Okoliczna ludność składająca się także (oprócz Czechów) z Polaków, Żydów i Niemców, w rozmowach z nami np. podczas targów, handlu itp., w większości używała języka czeskiego. Zmieniło się to dopiero po 1918 roku, kiedy Polska odzyskała swoje Państwo. Wtedy na ziemiach polskich, dominował język polski jako język w rozmowach pomiędzy narodami zamieszkującymi Polskę.
Nasz czeski był też językiem Królewskim i Biblijnym. Liturgia w kościele Ewangelicko – Reformowanym odbywała się w języku czeskim, w nim były spisane Biblia, Katechizmy, Śpiewniki. Księgi te były spisane w języku czeskim, ale w większości w jego wersji, brzmieniu z wieku XVIII i XIX. Wyjątek stanowiły publikacje religijne, otrzymywane z ewangelickich ośrodków w Czechosłowacji.
„Čeština” (czeszczyzna) u zamieszkujących Polskę Czechów, zaczęła sobie „przyswajać” słowa lub całe zwroty z języków i gwar występujących w regionach Kraju (Polski), w których przyszło nam zamieszkać: polski, niemiecki, jidisz. „Zelovaci” na Ukrainie (Wołyń) - ukraiński. „Zepsuliśmy” naszą, Królewską Czeszczyznę. Dostosowaliśmy niektóre słowa z języka polskiego, niemieckiego czy ukraińskiego do naszego czeskiego dialektu. Skutek był czasami komiczny.

Kiedy przyjechaliśmy do Czech, zastanawialiśmy się, dlaczego ludzie w Czechach czasami nas nie rozumieją, zamiast kazać nam jechać w prawo, wysłali nas na lewo, zamiast po artykuły spożywcze, wysyłali nas do sklepu obuwniczego, zamiast do rzeźnika, wysłali nas do sklepu z… krawatami.

Zelowiak w Czechosłowacji zwracał się do rodowitego Czecha, kowala:
- Panie kowalu, mój lemiesz jest złamany, czy może pan to naprawić? Na to kowal odpowiadał:
- Panie Zelowiaku, ze złamaniem, to trzeba iść do lekarza, a nie do kowala!
Zelovák: - Ze złamanym lemieszem do lekarza?
- Proszę pana, w Czechach od złamań są lekarze, a nie kowale. Tutaj to się nazywa „złamanie" (fractura), a nie „wyłamanie"(fracta).
- Proszę pana kowala, ale u nas, w Zelove, zwykliśmy mówić „fracta", a nie „fractura"...

Ale pomimo tych „nieporozumień" pomiędzy rodakami, Czechów, którzy od wielu pokoleń mieszkali w Polsce, na Śląsku i na Wołyniu, należy pochwalić za zachowanie języka. Po powrocie do Czech udoskonalili i ujednolicili swój język. Na pewno było to łatwiejsze niż uczenie się tego od zera. Mimo to byliśmy dumni, że mówimy „po królewsku". Zachowanie naszego języka ojczystego za granicą przez dwieście lat nie było takie proste, ale to, że go zachowaliśmy, wynikało także z tego, że żyliśmy w pewnym sensie w „getcie." Izolowaliśmy się i przez to nie wtapialiśmy się w otoczenie. Ułatwiło to fakt, że nas Czechów, było razem całkiem sporo i że my w domu kultywowaliśmy nasz „ królewski czeski ".

Czesi, którzy w tym samym czasie wyjechali do Niemiec, jak nasi przodkowie do Polski i na Śląsk, asymilowali się - samorzutnie tracili język. Z języka czeskiego pozostały im w większości tylko czesko brzmiące, przekręcone nazwiska.
W Polsce różnicą była powłoka ochronna przed wpływem naszego otoczenia. Czesi Zelowscy żyli w środowisku polskim - katolickim, choć środowisko katolickie w Polsce było dla nich nieporównywalnie bardziej przyjazne niż środowisko czeskich katolików, to życzliwość ta nie wpłynęła asymilacyjnie na czeską emigrację. Wręcz przeciwnie, ta polsko-katolicka życzliwość dała im możliwość kultywowania swojej religii i zachowania języka!

„Izolacja" Zelowa od otoczenia przejawiała się przede wszystkim na obszarze wyznaniowym i była filarem podtrzymującym mniejszość czeską w Polsce, wówczas także naszą, czeską tożsamość protestancką. W pewnym stopniu różniliśmy się od Polaków także jedzeniem i dotyczyło to np. „czeskich klusek z Zelowa". Przynajmniej w naszej wsi, nikt z Polaków nie gotował pierogów, mimo, że w końcu je polubili. „Klusky" były po prostu czeskim jedzeniem. Może w innych miejscach z kluskami było trochę inaczej. Izolacja objawiała się także w niektórych branżach. Tkactwo należało głównie do cechu czeskiego. W naszych okolicach, tkacze byli wśród Polaków rzadkością. Jeśli byli, to głównie Polacy, którzy mieszkali wśród Czechów i od nich przyswoili to rzemiosło. Bez wątpienia odnajdziemy i inne przykłady „ Zelowskiej Izolacji " w środowisku, w którym mieszkaliśmy. Tylko krótka refleksja na temat tego, co by się stało z czeskimi wygnańcami, którzy obchodzą dwustulecie założenia Zelowa, gdyby polskie środowisko, w którym się schronili, było protestanckie? Stopniowo mielibyśmy polskie Biblie, polskie śpiewniki, chodzilibyśmy z Polakami do tego samego kościoła. Bylibyśmy jak ci „berlińscy Czesi" i inni w pozostałych miejscach, którzy żyli w środowisku protestanckim.
Właśnie ze względu na różnicę religijną, zelowscy - czescy protestanci, wołyńscy i śląscy nie połączyli się z otaczającymi ich polskimi katolikami (lub w przypadku Wołynia – ukraińskimi, unickimi grekokatolikami lub prawosławnymi).

W ten sposób spełniło się pragnienie ich przodków, aby zachować wiarę i język.

****

Przed sądem.

Nie tylko radosne i fascynujące chwile były tymi, które przeżyłem z pastorem Jelínkiem.
Był okres, kiedy pozostał zupełnie sam, tylko z wierną mu żoną, wszyscy inni ich unikali, aby nie zostać współoskarżonymi. Wiedziałem dobrze, że to o co go oskarżono, zostało zmyślone.
Była to ze strony komunistów, próba podważenia i zniszczenia pracy duchowej w regionie Valeč.
Cieszę się, że stanąłem u jego boku w tych trudnych dla niego i jego dzielnej żony chwilach.
Inni też byli po jego stronie, choć być może nie dawali tego po sobie poznać.
Rozprawy przeciwko pastorowi, były publiczne i uczestniczyłem we wszystkich. Słyszałem, jak nasz sąsiad, który zarzucał proboszczowi tyle pomówień i innych bzdur, jak potem stojąc przed Sądem Powiatowym w Podbořanach, twarzą w warz z proboszczem Jelínkiem - wycofał wszystko i w krótkim czasie przeprowadził się z Oráčova do Brna. Nie mógł znieść spotkania z Jelínkami, ale unikał też mieszkańców Oráčova.

Najgorsze wrażenie zrobiła na mnie rozprawa sądowa w Karlovych Varach: podczas której zapalono znicze. Wydawało mi się wtedy, że sądzą największego przestępcę w Republice!
Pamiętam wysokiego, wychudzonego obrońcę, który był całkowicie po stronie księdza Jelínka.
Powiedział mu, że ten „komunistyczny" sąd ociąga się, żeby nie powiedzieć, że w Państwie dzieje się coś nielegalnego, bezprawnego – niezgodnego z Konstytucją Republiki.
Ksiądz Jan Jelínek został uznany za winnego i skazany!
Ale Dzieło Boże w Valćy, choć okaleczone przez komunistów, nie zostało zniszczone.
I oto jesteśmy tutaj i pamiętamy te słowa: „Silniejszy jest Ten, Który jest z nami, niż ten, który jest z nimi".

****

Pomocnik księdza.

Przed wyjazdem do służby wojskowej, ale także po powrocie z wojska wielokrotnie reprezentowałem księdza Jelínka, ponieważ ze względów politycznych zabroniono mu głoszenia kazań.
Pojechałem do Valčy, do Lubńca, raz czy dwa razy głosiłem w Podbořanach, Podlesicach i innych miejscowościach. Proboszcz zgłosił mnie do sekretarza kościoła w Podbořanach jako świeckiego kaznodzieję.

Ciocia Macková, która mieszkała w Valčy w sali modlitewnej, pozostanie dla mnie niezapomniana.
Kiedy przychodziłem w niedzielę na kazanie, zawsze przygotowywała kawę z białej cykorii i chleb z masłem, czasem było też ciasto i bułeczki. Uzgodniliśmy, że jeśli nie będzie jej w domu, klucz będzie w kolanie rury spustowej od rynny przy drzwiach wejściowych, a jedzenie będzie przygotowywane w kuchni. Tak to działało przez cały czas.

Pragnieniem księdza Jelínka było, abym studiował teologię i został duchownym, ale potem sytuacja potoczyła się inaczej.
Żona księdza Jelínka, Anna, była jego doskonałym pomocnikiem. Miała niezwykły dar przekazywania Biblii dzieciom. Uczyła w szkołach religii, ale także organizowała niedzielne spotkania biblijne. Zawsze uśmiechnięta „czy pada deszcz, czy świeci słońce".
Uczyła także śpiewu chóralnego. Musiała mieć sporo odwagi, skoro zaprosiła do śpiewania nawet mnie, byłem początkowo temu niechętny, ponieważ nie mogłem przełamać mojej nieśmiałości.
Później już nawet śpiewałem sam, basem. Ale nie nie trwało to zbyt długo.
Wszystkie dotychczasowe, wspaniałe duchowe doświadczenia, które tu razem przeżyliśmy,

dobiegły końca z aresztowaniem księdza Jana Jelínka.

W wyniku procesu przymusowej kolektywizacji rolnictwa w Czechosłowacji, ludzie przemieszczali się zValče, a także z okolicznych wsi, głównie do większych miast, przez co zbór Valče utracił swoją bazę członkowską, przez co ograniczył działalność.

Zbór Valče nie zniknął jednak całkowicie, jego nadzorcami zostawali kolejno pastorzy sąsiednich kościołów parafialnych. Kiedy ksiądz Jan Jelínek został wypuszczony z więzienia, a następnie trafił do Oráčova, w dalszym ciągu „gromadził" małe stadko tych, którzy pozostali w regionie Valč; głosił im kazania, nauczał, był ich duchowym doradcą i pasterzem tak jak dawniej, mimo że nie był już oficjalnie administratorem kościoła przed władzami. Pastor Jelínek mawiał: - Mogą mnie zwolnić z urzędu parafialnego, ale nie mogą mnie zwolnić z odpowiedzialności za parafię, mam to od Pana Boga, a nie z urzędu.

Jeździłem i ja do Valčy, aby głosić niezależnie od tego „czy świeci słońce, czy pada śnieg lub deszcz".
Raz padało bez przerwy od soboty do niedzieli. Pójdę: - zdecydowałem - Trzeba iść głosić!
I oczywiście pojechałem. Wsiadłem na rower, podwinąłem nogawki żeby nie zamoczyć spodni i dalej, jazda naprzód!
Woda deszczowa spływała po mojej gumowej kurtce za cholewki butów. Ciotki Mackovej nie było w domu.
Mieliśmy zebranie w zaimprowizowanej na parterze sali modlitewnej, gdzie mieściła się też siedziba jakiegoś, świeckiego stowarzyszenia młodzieżowego.
Nie wiem dlaczego, ale podczas kazania, jakieś dwie dziewczyny usiadły przede mną, przyglądając mi się i cały czas, od początku zgromadzenia do końca się śmiały.
Byłem tak zdenerwowany, że nie wiedziałem co powinienem zrobić, jak zareagować w tej sytuacji. Przeszkadzało mi to w głoszeniu kazania. Czekałem do końca spotkania z taką niecierpliwością jak nigdy dotąd.
Skróciłem kazanie. Po zakończeniu, spojrzałem w dół i oto ujrzałem moje, podwinięte aż do kolan spodnie! A one się po prostu z tego śmiały…

****

Ostatni mieszkańcy Faustynowa.

Po drugiej wojnie światowej w Faustynowie mieszkało 31 czeskich rodzin, w tym jedna w Sikawicy. Sikawica wraz z Faustynowem tworzyły jedną wspólnotę administracyjną, jedną osadę.

Z Faustynowa do Czech, wyjechały następujące rodziny: Kumpoltov, Tomešov, Tarabov, Emil Kumpolt, Horákov, Ludvík Andrš, Pavel Valta, Raifov, Glovackich (Tvrdý), Vilhem Glovacky, Bolek Andrš, Vilhem Rainiś, Fridrich Tomeš, Karel Andrš, Karel Raif , Karel Glovacky, Andršov, Jelínkov, Němcov, Pavel Tomeš, Ludvík Andrš, Grygarov, Robert Andrš, Beniamin Andrš, „Šikavský Pospíšil".
Wszyscy, poza jedną, mieszaną rodziną polsko-czeską, opuścili swoją rodzinną ziemię. Każdy z nich opuszcza rodzinny Faustynów z mieszanymi uczuciami. Wyjechali także z nadziejami, które nie dla wszystkich się spełniły. Gdyby jednak pozostali w Faustynowie, być może nigdy nie zyskaby tyle materialnie, ile w tej nowej, czechosłowackiej ojczyźnie. W nowej ojczyźnie, nawet z duchowego punktu widzenia, możliwości były inne i lepsze niż w Faustynowie!
To, czy je wykorzystaliśmy, czy nie, zależało już tylko od postawy każdego z nas.

Z biegiem czasu Faustynów, począł odchodzić z naszej pamięci. Im mniej o nim myśleliśmy, tym

bardziej się od nas oddalał. Niektórzy z nas już nigdy nie mieli okazji, zobaczyć go ponownie.
A dla tych, którzy odwiedzili go po latach, był zupełnie nie do poznania. Postęp czasu wykonał tutaj swoje zgubne dzieło!
Ci, którzy byli jeszcze dziećmi, gdy opuścili Zelów, Faustynów, Kuców i te wszystkie wsie i przysiółki wokół, dzisiaj są już starzy. Wielu z tych ludzi, już od nas odeszło.
Nie patrzymy tylko wstecz, w przeszłość, chwalebną, czy smutną, ale patrzymy w przyszłość, śpiewając - jak śpiewaliśmy w Zelowie, Faustynowie, Kucowie:
- Tam ponad gwiazdami na niebie, mam Ojca. Mam tam dom, ponad gwiazdami na niebie. Czy spotkamy się ponownie tam ponad gwiazdami?

****

Dwieście lat Zelowa.

Ich potomkowie obchodzą teraz DWUSTULECIE, rocznicę wydarzeń - kiedy czescy wygnańcy ze Śląska przybywali do Ziemi Łaskiej, gdzie kupili duży majątek i założyli nową osadę Zelów i zbudowali tu swój, nowy dom. Kiedy w myślach spoglądamy w przeszłość Zelowa, a nawet w obecną teraźniejszość, z radością zauważamy, że z Zelowa i jego okolic wyszło wiele duchowych owoców, które przyniosły i przynoszą korzyści w swoim czasie. Gdybyśmy zadali sobie pytanie, kiedy i który kościół, ewangelicki lub baptystyczny w środowisku czeskim, mógł się poszczycić tym, że z jego szeregów wyłoniło się bezpośrednio i pośrednio tak wielu duchownych: pastorów i kaznodziei, trudno byłoby znaleźć porównanie. Gdziekolwiek przybyli, w większości pozytywnie wpływali na sytuację religijną (ekumeniczną).

Głębokie w swej obfitości „korzenie" Zelowa można spotkać w wielu miejscach na Wołyniu, Ukrainie, Białorusi, ale także na dalekim wschodzie Rosji, jednak ze zrozumiałych powodów najwięcej ich można znaleźć w Czechach, gdzie ich potomkowie wrócili po dwóch wojnach światowych. Powrócili do ojczyzny swoich ojców i matek. Rozproszyli się także po innych krajach europejskich, ale także ze zrozumiałych powodów, niektórzy z nich wyjechali do Ameryki, być może nawet do Australii.
Dziś już niewielu z nich pozostało na tej podwalinie, którą na początku XIX wieku zakupili czescy założyciele Zelowa.

Kiedy dzisiaj wspominamy miniony okres istnienia Zelowa, z wdzięcznością wspominamy tych, którzy na to zasłużyli. Kiedy nasi przodkowie przybyli tutaj, pomyśleli o wszystkim, łącznie z cmentarzami, na których po zakończeniu ziemskiej pielgrzymki będą składać swoje zmęczone kości. Wytyczyli cmentarz, na którym mieli pochować swoich bliskich po śmierci, poza „murami" Zelowa i otoczyli go płotem tak, aby nikomu z żywych „nie przeszkadzać". O wielu z nich nie zapominają bliscy, którzy wciąż tu przychodzą i wspominają bliskich. Chodzą na groby, przynoszą świeże kwiaty, zmieniają wodę w wazonach, sprzątają groby; siadają przy miejscach ostatniego spoczynku, pamiętają o nich, może czasem wylewają łzy, niektórzy nawet się modlą. Ale są też takie groby, gdzie być może nie da się już usiąść, gdzie nie wiadomo już, kto śpi w nich „swój wieczny sen".

Wchodząc na cmentarz, jakbyśmy wchodzili do miejsca świętego, idziemy cicho jak na palcach, zgadzając się jedynie ze swoimi myślami, aby nie zakłócać spokoju zmarłym. Przechodzimy obok rzędów grobów, na których widniejące nazwiska są nam znane, mniej znane, a nawet zupełnie nieznane, jakbyśmy przechodzili przez „galerię" imion, które niegdyś wiele dla Zelowa znaczyły. Tutaj odnajdujemy imiona naszych przodków , stajemy przy nich przez chwilę i nadal szukamy coraz bardziej znanych imion. Cieszymy się, gdy nasz wzrok spoczywa na kamiennym pomniku, na którym wyryte jest imię, które mogłoby należeć do listy imion naszej rodziny. Ale możemy też odkryć nazwiska, które nie mają już swoich następców, ale nawet one z natury należą do imion

tych, którzy tu kiedyś żyli, budowali i pracowali.

Być może nawet cmentarz w Zelowie stał się miejscem pokuty, prośbą o przebaczenie. Tęsknotą za pojednaniem z kimś, kto już nas nie słyszy, ale także miejscem dziękczynienia za tak wiele, co nasi przodkowie dali nam w wianie. Nie słyszą naszych szeptów, próśb i podziękowań. Chcą odpocząć spokojnie w Panu. Tym, który im tu „zakłóca" i nie daje spokoju, jest cichy wietrzyk szeleszczący liśćmi na cmentarnych drzewach. Innymi „zakłócaczami" ich „wiecznego" snu są ptaki niebieskie, które gniazdują tu w koronach drzew i z wdzięczności, że „śpiący" im na to pozwalają, śpiewają i śpiewają. A stałym światłem oświetlającym ich groby, jest polne ziele - dziurawiec zwyczajny. Nasze świece i lampy nie są dla nich rozwiązaniem, szybko się wypalają i gasną, kiedy tylko zdmuchnie je wiatr.

Cmentarze Zelowski, Kucowski i Faustynowski - należą do pierwszych pomników, które nadal istnieją i zostały zbudowane za ich życia przez tych, którzy teraz tu śpią. Te „pomniki" opowiadają kolejnym zwiedzającym, dziwną, tajemniczą „mowę", która dziś jest mało zrozumiała. Kłaniamy się głęboko tym, którzy nas poprzedzili, poprzedzili we wspomnieniach, na fotografiach, w swoich pracach, a nawet w nas, będąc wciąż z nami i pośród nas.

Ile tutejszych budynków pamięta początki Zelowa? A czy taki budynek jeszcze stoi w Zelowie? A jednak istnieje pomnik, choć nie bezpośrednio z 1802 czy 1803 roku, ale zabytek należący do najstarszych i najrzadszych, po dziś dzień funkcjonujący, zelowski Kościół Ewangelicko Reformowany. Do najstarszych budynków w Zelowie należy także Dom Modlitwy Kościoła Chrześcijan Baptystów, chociaż był kilkakrotnie przebudowywany. Wszyscy wierni, którzy wówczas mieszkali w Zelowie, pracowali i finansowali budowę kościoła, ale nie tylko oni. Kościół ten należy i długo będzie należeć do skarbca czeskiego wychodźstwa religijnego. Do dziś jest „latarnią morską" dla statków szukających stałego portu, a także dla „rozbitków" na otwartym morzu dzisiejszych czasów, tego, niespokojnego i burzliwego świata, którzy szukają brzegu pewności i nadziei oraz chcą zakotwiczyć przy nim na stałe i bezpiecznie.

Wielkie burze przetoczyły się przez „latarnię morską", fale się podniosły, ale „latarnia morska" została zbudowana na „skale" i wytrzymała burze gwałtownego gniewu. Z tej „latarni" dzisiaj nie tylko światło elektryczne świeci z okien w ciemną noc Zelowa, ale przede wszystkim Światło Słowa Bożego, którego blask przenika daleko poza jego granice. Jest to Światło, które rozbija nawet najciemniejsze moc ciemności. Tego Światło nie może pochłonąć ciemność!
Nie można go związać, zbudować przeciwko niemu tamę!

Zbór w Zelowie. Zreformowana kongregacja w Zelowie wkroczyła w III wiek swojego istnienia, wraz z księdzem Miroslavem Jelínkiem i jego żoną Věrą z domu Smetanová, potomkami założycieli Zelowa. Jelínkowie mają lwi udział w budowie zboru Zelów. Realizacja marzeń, z którymi dołączyli do tego zboru, wymagała wiele pracy, wysiłku, czasu i pomysłowości. Działa tu już reprezentacyjny Dom Zborowy, który służy nie tylko zborowi, ale także szerokiej społeczności. Na poddaszu kościoła, powstało także muzeum. Tutaj zgromadzono już szereg fotografii, dokumentów i artykułów codziennego użytku, których Czesi używali w Zelowie. Pozostałe pomniki czekają na ukończenie. Z pewnością nie dokończyli swoich „planów budowlanych", a których teraz nie udałoby się tego osiągnąć bez wsparcia ze strony władz Miasta i pracy zboru.

Co zrobiliby nasi przodkowie i dokąd doszliby w ciągu dwustu, a nawet więcej lat trudów i wyrzeczeń, dokąd by doszli, gdyby nie mieli przed sobą niebiańskiego celu i nie zostali wzmocnieni przez wiarę w Baranka?
Chcę pożegnać się z Wami, tymi biblijnymi wersetami, które zapisano w tej Księdze, słowami z Listu do Hebrajczyków 13:7-8 :

- Pamiętajcie o tych, którzy was prowadzili i głosili wam Słowo Boże. Pomyślcie o tym, jak zakończyli swoje życie i naśladujcie ich w wierze!
Jezus Chrystus jest ten sam wczoraj, dziś i na wieki.

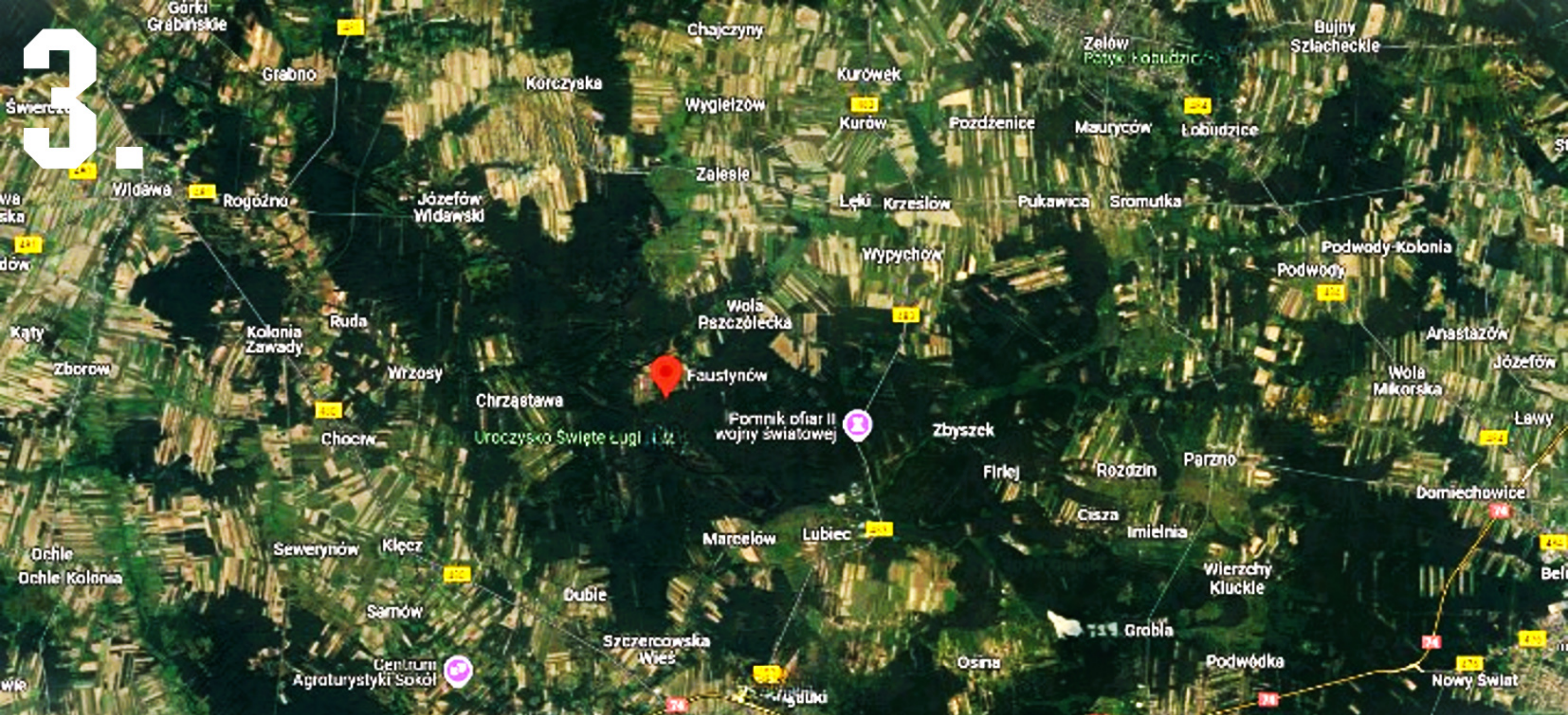
Vlastimil Pospíšil

1.

1. Faustynów i okoliczne miejscowości wspomniane przez autora książki (stan obecny)

2. Mapka - Faustynów i okolice

2.



3. Mapa fotograficzna ukazująca położenie wsi Faustynów i okolice w większej skali.

4. Stacja kolejowa, z której odjeżdżali na emigrację do Czech, autor i jego krewni z Faustynowa. Stan obecny.

5.

5. Młyn we wsi Fraszka, k.Sikawicy. Podczas wojny zrządzany prze Niemca z Wołynia, pana Arendta. Stan obecny.

6. Dom młynarza Kansego we wsi Wola Pszczółecka. Stan obecny.









7.8.9.Wieś Sikawica. Stan obecny.







10.11.12. Wieś Faustynów. Widok współczesny.

13.

13. Słynny z opowiadań babci autora,
Most Karola w Pradze, "zbudowany z jajek".

14. Zamek Królewski Hradczany w Pradze.

14.

15.



15. Kamień Jana Husa w Zelowie. Rok 1938.

16. Pomnik Jana Husa w Pradze. Lata współczesne.

16.

17.

17-18.Albeřice/Albendorf Kraj Sudecki - Czechosłowacja zdjęcia przedwojenne. Tutaj, po wojnie zamieszkało wielu Czechów z Faustynowa i Zelowa, w tym autor książki z rodziną.

18.

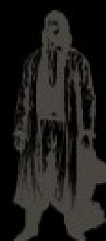
19.

19-20. Albeřice w Sudetach. Czasy współczesne. Nadal mieszkają tu potomkowie Czechów z Sikawicy, Faustynowa i Zelowa.

20.



Ilustracja: Vlasta Švejdová



Wydawnictwo im. Jakuba Szeli
Clit, 4 Stradă Livezii
Arbore - Romana